

Bronisława Mazuryk

Ocalmy od zapomnienia

Obrazki

*z przedwojennych i wojennych dziejów Krasieczyna
i wspomnienia innych osób*

Krasieczyn 2013

Wydawnictwo "Wieści Krasiezyńskie
Wydanie II nakład 150
Druk: Mała poligrafia Parafii Krasiezyń tel (0-16) 6718-414
Wydanie III (elektroniczne) na stronie internetowej Parafii
Opracowanie redakcyjne i foto ks. Stanisław Bartmiński

Wspomnienia Bronisławy Mazuryk
Nadbitka z "Wieści Krasiezyńskich" rocznik 1996
Tekst uzupełniono relacjami innych mieszkańców: Zofii
Rodzeń, Emilii Koreckiej,
wspomnieniami o Wiktorze Kuriańczyku, o rodzinie
Kurpielów, relacją z obchodów 130-lecia OSP w Krasiezyń
oraz opowieściami mieszkańców dawnej Śliwnicy.

III wydanie 2013

SSN 83-905692-8-0 (wydania pierwszego)

Od autora

Bardzo wiele napisano na temat krasiczyńskiego zamku, jego właścicieli - możnych rodów, gości którzy go zaszczycali swoimi wizytami, o okresach chwały, sukcesów, ale i klęsk jakie nawiedzały samą budowlę. Natomiast bardzo mało o ludności, która zamieszkiwała Krasieczyn, jej tradycjach i codziennym życiu.

Chciałabym zająć się tym zagadnieniem i w kilku odcinkach przedstawić mieszkańcom parafii to, co pozostało w mojej pamięci z przeżytych lat, wiedzę zdobytą na ten temat od starszych mieszkańców Krasieczyna i okolicznych wsi, oraz od mojej matki. Wiadomości o Krasieczynie i przyległych wioskach (jeśli mi zdrowie i czas pozwoli) chciałabym opisać od I wojny światowej, poprzez okres międzywojenny, II wojnę światową, wyzwolenie po czasy obecne.

Bronisława Mazuryk

Od Wydawnictwa do pierwszego wydania

Broszura zawiera, w niemal niezmienionej formie, wspomnienia Bronisławy Mazuryk zamieszczane w lokalnej gazetce "Wieści Krasiczyńskie". Redakcja "Wieści" dokonała jedynie niewielkich skrótów (ok. 10 - 12 % tekstu) oraz wprowadziła szereg uzupełnień. Nie chcąc ingerować w tekst Autorki, który ma formę osobistych wspomnień uczyniono to w formie przypisów. W znakomitej większości skorzystano z tekstów publikowanych we "Wieściach". Jedynie uzupełnienia Juliana Rudaka z Sanoka, ostatniego Komendanta AK na powiat Przemyski, oraz sprowokowane tą wypowiedzią, wspomnienia Zuzanny Sus nie były wpierw publikowane. Dodano też nieco przypisów.

. ks. Stanisław Bartmiński – red. "WK"

Od Wydawnictwa do drugiego wydania

Książeczka w nakładzie 450 egz. szybko się rozeszła. Teksty publikowane we „Wieściach”, wywoływały spory oddźwięk. Z powodu bardzo burzliwej dyskusji pominąłem w pierwszym wydaniu wspomnienia Juliana Rudaka z Sanoka, ostatniego Komendanta AK na powiat Przemyski i replikę Zbigniewa Amarowicza z Dębłina (skrót

dyskusji zamieszczam w tym drugim wydaniu). Dołączam też kilka wspomnień spisanych przez młodzież gimnazjalną, relację z 130 rocznicy powstania Straży Pożarnej w Krasieczynie, (1. 07 2006) oraz z uroczystości poświęcenia krzyża nas Sanem upamiętniającego pomordowanych na byłej granicy między Rzeszą Niemiecką i ZSSR, -jaka przez pewien czas podzieliła Polskę.

Od Wydawnictwa do trzeciego wydania

Gdy po latach, w 2013 r. przygotowywałem ten tekst na stronę internetową, postanowiłem uzupełnić go koniecznymi sprostowaniami i nowymi faktami wynikłymi z ustaleń historyków oraz książki „*Krasieczyn Dzieje Parafii i wspólnoty*”. Uzupełnienia dotyczyły m in. relacji p. Rudaka (str. 34). Autorka zakwestionowała pobyt w Krasieczynie niejakiego p. Machowskiego. Przypuszcza, że Rudak pomylił ks. Franciszka Winnickiego z Przemyśla, z ks. grecko-katolickim ks. Winnickim proboszczem z Korytnik, mieszkającym w Krasieczynie u teściów Gwiazdowiczów.

Następna sprawa to działalność p. Romana Kisiela. Autorka kwestionuje ilość zamordowanych w Korytnikach Ukraińców¹ podaną przez J. Pisulińskiego, ukrajinoznawcę z Uniwersytetu Rzeszowskiego w jego opracowaniu *Konflikt polsko-ukraiński w powiecie przemyskim zimą i wiosną 1945 roku i udział w nim grupy Romana Kisiela Sępa*, w: Pamięć i Sprawiedliwość nr 2 (2005). Wzmiankę o Kisielu-Sępie zamieściłem w przypisie.

Krasieczyn, maj 2013 ks. Stanisław Bartmiński

¹ Pisuliński Jan podaje 53 osoby, Motyka Grzegorz 28, Mazuryk w oparciu o przeprowadzone wywiady mówi o 11 Polakach zamordowanych 13 stycznia 1945 (Por Krasieczyn str. 322), i 10 Ukraińcach zamordowanych 25 maja 1945 (Krasieczyn s. 322).

Krasieczyn jaki trwa w mojej pamięci

Ludność

Krasieczyn i okoliczne wsie, podobnie jak większość miejscowości Polski Południowo-Wschodniej od zarania dziejów zamieszkiwała ludność: polska, żydowska i Rusini.² W samym Krasieczynie zamieszkiwała ludność miejscowego pochodzenia z dziada, pradziada, oraz rodziny, które przywędrowały tutaj wraz z księciem Leonem Sapiehą (ojcem Adama) z Litwy. Wymienię niektóre nazwiska: Delijdis, Molenda, Staroniewicz, Uszkiewicz, Amarowicz, Ryczan, Gwiazdowicz, było ich zapewne więcej³.

O liczbie rodzin żydowskich w Krasieczynie i pobliskich wsiach, świadczy fakt, że znajdowała się tu synagoga żydowska, która usytuowana była na parceli budowlanej Stanisława Susa w miejscu gdzie dziś stoi jego budynek gospodarczy. Nie znam terminu jej budowy, ale pamiętam, że czynna była do roku 1940. Znajdował się tu również cmentarz żydowski na wzgórzu powyżej szkoły. Szczątki nagrobków tego cmentarza znajdują się tam do dziś⁴. Nazwiska rodzin żydowskich, które pamiętają starsi mieszkańcy Krasieczyna i ja również pamiętam to: Abramojsiu, Majer, Szmulko, Don.

Przed II wojną światową w samym Krasieczynie mieszkało 4, albo 5 rodzin Rusinów (tak ich wówczas nazywano). Wsie z przewagą rodzin Rusinów to: Korytniki, Śliwnica i Tarnawce. W tych wsiach znajdowały się cerkwie i parafie greckokatolickie. Odrębność sta-

² O składzie narodowościowym ludności Krasieczyna: Budzyński w: *"Rocznikach Przemyskich"*, Fenczak w *"Tradycje kultu maryjnego w Śliwnicy na tle dziejów wsi i regionu"*

³ We "WK" podawaliśmy listy nazwisk parafian wg, częstotliwości występowania,

⁴ Jeden spośród ok. 100 cmentarzy żydowskich na terenie woj. podkarpackiego.. Większość nagrobków tzw. macew - wg Bronisława Majchrowicza i innych – zniszczyli i zużyli Niemcy do utwardzenia drogi na Komarze; Na temat cmentarza żydowskiego w Krasieczynie patrz: Przemysław Burchard: *Pamiętki i zabytki kultury żydowskiej w Polsce*. Warszawa: 1990, s. 233; *Krasieczyn, dzieje...* t. I s. 254; <http://www.sztetl.org.pl/pl/article/krasieczyn/12,cmentarze/> z 2 minutowym filmikiem; <http://www.polskieszlaki.pl/cmentarz-zydowski-w-krasieczynie.htm>;

nowiły wsie: Dybawka i Zalesie. Przeważała tu ludność polska, byli to głównie przybysze z przeludnionych wsi okolic Łańcuta i Przeworska. Kupowali oni lasy na tzw. "parcelacji", najpierw u księcia Adama, a później Leona Sapiehów. Karczowali te lasy zamieniając je w pola uprawne i tu budowali swoje zagrody. Nazywano ich "kolonistami"

Ludzie żyli pracowicie, spokojnie, nawiązywały się różne przyjaźnie, zakładali rodziny mieszane, zapraszali się nawzajem na święta i różne uroczystości rodzinne. Nikt nikogo nie pytał o narodowość, aż do czasu II wojny światowej.

Miasteczko

Trudno określić od jakiego czasu Krasieczyn posiadał prawa miejskie⁵. Najprawdopodobniej już przy jego zakładaniu (a data ta wiąże się z budową obecnego zamku tj. przełom XVI/XVII w.), celem była budowa miasta⁶. Dlatego znalazł się tu rynek prostokątny (Dziś na nim rosną ziemniaki i fasola), ale jego pierwotna nazwa przetrwała. Tu stał ratusz, którego nikt z żyjących nie pamięta, a wzmiankę o nim znalazłam w przewodniku pt. "Krasieczyn dzieje zamku i miejscowości" oprac. P. Stanisława Krycińskiego.

Z informacji uzyskanych od Stanisława Kozaka wynika, że rynek krasieczyński był czynny do wybuchu I wojny światowej. Istniał podział na kwatery. W jednej części znajdowała się targowica (handlowano tu zbożem, ziemniakami, inwentarzem żywym), inną część użytkowali rzemieślnicy (sprzedawali tu swoje wyroby - buty, beczki, płótna itp), gosposie miały wydzieloną swoją część gdzie sprzedawały nabiał i inne artykuły żywnościowe.

Nie pamiętam i bardzo mało mam wiadomości na temat jarmarków konnych jakie odbywały się na krasieczyńskim rynku (prawdopodobnie były bardzo słynne) i o zwartej zabudowie domów z wysu-

⁵ Wprawdzie przywilej lokacyjny zaginął, ale A. Fenczak w książce "Kardynał..." ustala datę założenia miasteczka na 1615-1620. Sąd ławniczy rozpoczął działalność w 1624 roku

⁶ Wiele wiadomości w: "Miasta Ziemi Przemyskiej i Sanockiej w drugiej połowie XVII i XVIII wieku" Jerzy Motylewicz, Przemysł-Rzeszów 1993. Krasieczyn wymieniony jest na 25 stronach.

niętymi od drogi poddaszami tak, że z rynku do kościoła można było przejść popod te dachy w czasie największej ulewy nie zmoczywszy się wcale. Poddasza te służyły również do rozkładania kramów podczas jarmarków. Studnia znajdująca się obok krzyża w rynku pochodzi z czasów rozbiorów Polski, zapewne pamięta rządy Cesarza Franciszka Józefa na naszym terenie. Była ona zawsze studnią publiczną. Korzystały z niej rodziny mieszkające wokół rynku, z odległych domów i użytkownicy rynku.

W Krasieczynie istniał zawsze problem dobrej wody. Stanisław Kozak informuje, że obok jego zabudowań w ziemi znajduje się fragment jakiegoś fundamentu (bardzo mocny), co wskazywałoby na to, że w tym miejscu stała jakaś okazańsza budowla. Kto wie? Może nawet wspomniany ratusz.

Wiem, że w Krasieczynie znajdował się szpital ubogich⁷. Wzmiankę o tym szpitalu znalazłam w starych rodzinnych dokumentach z 27 czerwca 1891 r. Jeden z moich przodków kupował ziemię u księcia Adama Sapiehy, w końcowym rozliczeniu miał dostarczyć 30 furmanek drewna z lasów dworskich dla szpitala. Szpital usytuowany był na działce, gdzie dziś stoi dom Państwa Teresy i Jerzego Nowickich, ale nieco niżej przy samej drodze. Miejsce to prawdopodobnie częściowo zostało zabrane pod drogę Przemyśl - Bircza przy prostowaniu tej drogi. Plac, wraz z przyległą działką miejscowa ludność nazywała "Szpitalówką"⁸.

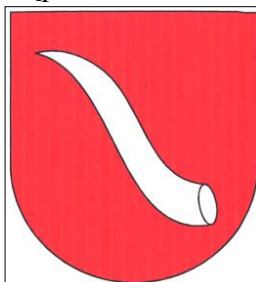
Bardzo dobrze prosperował browar krasieczyński stwarzając dużą konkurencję browarowi w Okocimiu. Piwo z browaru w Krasieczynie było chętnie kupowane nie tylko w kraju, ale i przez smakoszy, poza jego granicami. Właściciel browaru w Okocimiu Pan Giec doszedł do ugody z księciem Adamem Sapiehą, zapłacił dużą sumę pieniędzy (nie znam jej wielkości), aby wstrzymać produkcję piwa w Krasie-

⁷ O Szpitalu pisze Z. Budzyński w książce: *"Dzieje Opieki społecznej w ziemi przemyskiej i sanockiej (XV - XVIII w.)"*. Przemyśl 1987 Pierwsze wzmianki o szpitalu, szkole, miasteczku w "Testamencie Marcina Krasickiego" z r. 1630; Krasieczyn... t I str. 149.

⁸ por: Budzyński: "Dzieje... str.

czynię. W ostatnich latach ubiegłego stulecia wstrzymano produkcję piwa i browar został zamknięty. Do wybuchu II wojny światowej był on w pełni sprawny, by podjąć produkcję piwa w każdej chwili. Maszyny z browaru wymontowali Niemcy w czasie okupacji i wywieźli do III Rzeszy. W górze nad browarem pod Trzema Kopcami pracowała cegielnia. Każda cegła wypalana w tej cegielni posiadała inicjały księcia Adama Sapiehy "AS" z herbem pomiędzy literami.⁹

Stara drewniana szkoła i wikarówka zlokalizowane były przed kościołem na placu od Gminnego Ośrodka Kultury do bramy wejściowej do kościoła.¹⁰ Staraniem miejscowej ludności przy wydatnej pomocy księcia Sapiehy wybudowana została i oddana do użytku w roku 1909 nowa szkoła, w której młodzież zdobywa wiedzę po dzień dzisiejszy. Naprzeciw kościoła, po przeciwnej stronie drogi, pod ogrodzeniem parku, stała mała murowana budka, na której widniał herb miasteczka Krasieczyn¹¹ i dwa klucze. Służyła za tymczasowy areszt dla drobnych przestępców.



Tak wyglądały 2 herby Krasieczyna. Ten znajdujący się na budce przed kościołem (foto z dokumentu z arch. parafialnego) i ten zatwierdzony w roku 2004

Pieczenie jakich używano w Krasieczynie były takie same z napisem w obwodzie: "pieczęć miasteczka Krasieczyna".¹² Budkę tę, za-

⁹ Kilka tych cegieł umieszczono w murze przykościelnym, obok głównego wejścia. Kilkadziesiąt dalszych wykorzystano przy budowie pomnika na zieleńcu przed kościołem. Były to cegły o dużych wymiarach 30 x 15 x 7 cm.

¹⁰ Pierwsza wzmianka o krasieczyńskiej szkole pochodzi z roku 1630

¹¹ 22. 10. 2004 r. Komisja Heraldyczna zatwierdziła herb i flagę Krasieczyna. Nawiązuje on do herbu z pieczęci miejskiej Krasieczyna z datą 1627, przedstawiającego róg bawoli z herbu Rogala Krasickich.

¹² Przemyski historyk AS Fenczak stwierdza ("WK" 15/91) "Odciski najstarszych pieczęci miejskich Krasieczyna nie są dziś znane. W dawnych aktach znaleźć można odciski

niedbaną, chylącą się ku upadkowi, rozebrało na początku lat 1960 miejscowe Koło Gospodyń. Materiał miał być przeznaczony na rozbudowę Domu Kultury, zużyty jednak został na inne cele.

Obraz ówczesnego Krasieczyna nie byłby wyraźny dla Czytelnika, gdybym nie zwróciła uwagi na rzekę San. W tamtych czasach San płynął zupełnie innym korytem, otaczając niewielkim półkolem wzgórze z zabudowaniami folwarku w Korytnikach w kierunku Hołubli. Wszystkie pola (bardzo urodzajne mady nadszańskie), leżące dziś od mostu po wzgórze z zabudowaniami ODR Korytniki należały do Krasieczyna. Książę Adam Sapieha zmienił koryto Sanu zbliżając je do zabudowań Krasieczyna. Pola przyłączył do swojego folwarku w Korytnikach, a Krasieczyn w zamian za to otrzymał las na tzw. "Garbach". Mieszkańcom Krasieczyna odpowiadała taka zamiana, ze względu na to, że wówczas budowano domy drewniane. Łatwiej i taniej było zaopatrzyć się w drewno na budowę i remonty domów w własnym lesie. Las ten przed paroma laty stał się przedmiotem sporu po między mieszkańcami Tarnawiec i Krasieczyna. Podczas regulacji gruntów geodeci omyłkowo przepisali las Tarnawcom. Mieszkańcy Tarnawiec wykorzystali zaistniałą pomyłkę. Myślę, że w tym czasie kiedy książę A. Sapieha zmienił bieg Sanu, wybudowany został również most na rzece San łączący Krasieczyn i Korytniki. Most ten zabrały wody Sanu podczas jednej z powodzi.

Wspomnieć jeszcze muszę o przebudowie potoku śliwnickiego. Płynął on przez część Śliwnicy i przed cmentarzem od strony Birczy podmokłą łąką wpadał do Sanu. Ta podmokła łąka z widocznym korytem potoku istnieje do dziś. Koryto potoku zostało doprowadzone aż do Krasieczyna, część jego wód wykorzystywana jest do nawadniania stawu w parku, a nadmiar przez pola tzw. "przykopem" odprowadzany do Sanu. Istniała umowa spisana pomiędzy księciem, a

pieczęci "miasteczka", której tłok został wykonany po roku 1790, gdy właścicielami Krasieczyna byli Pinińscy, którzy używali herbu Jastrzębiec. Jastrzębiec to "w polu błękitnym podkowa złota do góry ocelami zwrócona, w środku swoim krzyż kawalerski zawierająca" Ten właśnie herb stał się godłem miejskim Krasieczyna i był używany do lat trzydziestych naszego stulecia". Dziś gmina ma inny herb, opisany wyżej.

mieszkańcami Krasiczyna, że wszelkie szkody wyrządzone przez wody tego potoku w uprawach pokrywać będzie książe. Dziś szkody te pokrywa PZU, tym którzy opłacą składki¹³ To dla mnie zbyt odległe czasy, wiem o tym z opowiadań ludzi starszych, dziś nie znam źródeł gdzie mogłabym pogłębić wiadomości na ten temat.

Dużo wiedzy o tamtych czasach posiadali Panowie Józef i Tadeusz Zeleszczykowie¹⁴. Pan Józef Zeleszczyk po II wojnie, jeszcze wówczas kiedy nie było przewodników PTTK, był przewodnikiem po zamku i parku krasiczyńskim, oprowadzając wycieczki i indywidualnych turystów przedstawiał im dzieje zamku i jego właścicieli, strzegł również zamku przed różnego rodzaju wandalami. Nie wiem czy robił to bezinteresownie, czy za jakąś zapłatą i kto mu za to płacił. Pan Tadeusz Zeleszczyk dzielił się swoimi wiadomościami przy każdej okazji z uczniami w szkole. Byłam w tym czasie zbyt młoda, aby skrzętnie zbierać strzępy historii, dziś tego żałuję. Zapamiętałam kilka legend opowiadanych przez P. Tadeusza. Przytoczę jedną z nich o powstaniu Krasiczyna. Brzmi ona mniej więcej tak:

"Była wieś Śliwnica z przysiółkiem Komara, a miejsce na którym stoi: zamek, kościół i zabudowania Krasiczyna stanowiły bagna nie do przebycia, na nich rosły drzewa i krzewy lubiące podmokłe tereny i gdzieś tam urodziwe dęby. Właściciel Krasic Stanisław Krasicki dostał się do niewoli tureckiej i w tym właśnie miejscu udało mu się zbiec z niewoli. Podjął decyzję, że tu właśnie wybuduje zamek obronny i kościół. Realizacja tej decyzji była bardzo trudna. Najpierw musiano odwodnić teren."

Długo myślałam, że tak musiało być naprawdę. Świadczyła o tym choćby liczba stawów (poza Parkiem) znajdujących się w Krasiczynie: Duży staw naprzeciw budynku Nadleśnictwa (wiem o nim od mojej Matki). Został odwodniony rowem, wody odprowadzono do Sanu. Dziś woda płynie przepustami, a na tym miejscu położony

¹³ Na pewnym odcinku koryto potoku przebiega na nasypie powyżej okolicznych pól.

¹⁴ Prawidłowe nazwisko, potwierdzone w „Status Animarum” dla Krasiczyna, brzmi **Zeleszczek**.; patrz: Krasiczyn T 1 s 319.

został chodnik (od kiosku "Ruch" po ogrodzenie Nadleśnictwa do kiosku spożywczego). Na starym stawowisku przed II wojną światową znajdowała się kręgielnia, tutaj młodzież grała w kręgle, po wojnie zaś boisko do piłki ręcznej (często grywałam tu w siatkówkę w niedzielne popołudnia). W miejscu tym dzisiaj znajduje się parking, przez środek biegnie droga (po przekątnej) Przemyśl-Bircza, a po przeciwnej stronie drogi stoją kioski "Ruch" i "Hamburger". Część nasypu ziemnego otaczającego ten staw znajdująca się za kioskami, została usunięta dopiero przed paroma laty. Na ogrodzie księdza, naprzeciw głównego wejścia do kościoła, znajdował się drugi staw – osuszony nie tak dawno, trzeci w parku, czwarty i podmokłe łąki w polu "Błonie" -.

Przy budowie studni i domu na posesji mojej siostry Marii Śliwy w ziemi na dość znacznej głębokości natrafiono na dębowe pale, ciosane ręką człowieka, które również mogą świadczyć o utwardzaniu gruntów. Dzisiaj moje rozumowania zostały rozwiane, ponieważ badania archeologiczne prowadzone na tym terenie świadczą o tym, że w miejscu, gdzie stoi obecny zamek, przed 1580 rokiem stał zamek drewniany wzmocniany murami z kamienia.

Miejskie zwyczaje i zajęcia

Mieszkańcy Krasieczyna posiadali prawa miejskie (mieszczan) i pieczołowicie ich strzegli. W stosunkach między ludzkich używano zwrotów "pani", "pan", do młodej niezamężnej kobiety "panno". Ta forma przetrwała do dziś z wyjątkiem "panny". Mężczyźni nosili specjalnie szyte ubrania-fraki, jednakowy krój i wystrój, oraz oryginalne kapelusze (podobne do cylindrów, ale z okrągłym denkiem). Tak ubrani chodzili na nabożeństwa do kościoła, oraz uczestniczyli w różnych uroczystościach: państwowych i lokalnych. Kobiet jednolite stroje nie obowiązywały.

Krasiczyn nigdy nie posiadał tradycji rolniczych¹⁵. Jego mieszkańcy to przeważnie rzemieślnicy: stolarze, szewcy, rymarze, cieśle, rybacy, rzeźnicy, tkacze, murarze, bednarze albo pracownicy browaru, zamku, folwarku i cegielni¹⁶. W pomieszczeniu gdzie przed wybudowaniem nowej remizy OSP, strażacy składowali swój sprzęt przeciwpożarowy, miał swoją siedzibę Cech Rzemiosł Różnych. Miejscowi rzemieślnicy kształcili uczniów i wyzwalali czeladników, wykonywali usługi na rzecz: zamku, miejscowej ludności i ludności okolicznych wsi¹⁷.

Szczególnie słynny na całą okolicę był warsztat tkacki Władysława Kuczkowskiego i Michała Amarowicza. Po zakończeniu jesiennych prac polowych ludność okolicznych wsi jechała do tego warsztatu wioząc ze sobą bale włókien: lnianych, konopnych i owczej wełny. Włókna te tkacze przędli, a następnie z przędzy tkali płótna: lniane, konopne i samodziały wełniane. Według relacji P. Kazimierza Zybińskiego przed II wojną światową w Krasiczynie czynnych było około 50 różnego rodzaju warsztatów rzemieślniczych. Warsztaty przechodziły przez pokolenia z ojca na syna. Jeśli w rodzinie było więcej synów, wówczas jeden dziedziczył rzemiosło ojca, pozostali uczyli się dowolnego zawodu.¹⁸

Spółeczność Krasiczyna to krąg ludzi zamkniętych w sobie "Obywatele Krasiczyna". Przybysz z zewnątrz nie od razu zostawał zaakceptowany w środowisku. Żeby został przyjęty do grona "Obywateli", musiał wsławić się jakimś szczególnym czynem, który znalazłby uznanie mieszkańców i wzbudził ogólny szacunek. Jak już

¹⁵ Motylewicz: „Miasta ... str. 76 ocenia, że na mieszkańca Krasiczyna przypadało 0,015 łana gruntu. Porównywalnie: w Babicach 0,15, w Jaćmierzu 0,054, w Zarszynie 0,07.

¹⁶ Motylewicz op, cit str. 77: „Mieszkańcy Krasiczyna pracowali przede wszystkim na potrzeby Zamku ... W połowie XVIII w. rzemieślnicy stanowili 44,1 % ogółu mieszkańców.

¹⁷ Na temat przemysłu w Krasiczynie pisał: S. Zabrowarny *Stosowanie pracy najemnej w dobrach galicyjskich księcia Leona Sapiehy przed zniesieniem pańszczyzny w 1848 roku*, „Zeszyty Naukowe Akademii Rolniczej w Szczecinie”, Seria nauk społecznych i ekonomicznych, 1979, nr 80, s. 183-188;

¹⁸ O rzemieślnikach krasiczyńskich patrz: Motylewicz: „Miasta...” str. 113 i następne. Autor opisuje wszystkie branże istniejące w miasteczku.

wspomniałam w Krasiczynie nigdy nie było większych gospodarstw rolnych. Mieszkańcy posiadali niewielkie arealy ziemi (a byli i tacy co jej nie posiadali wcale). Na posiadanych zagonach uprawiali: ziemniaki, kukurydzę, warzywa, czasami nieco zbóż. Hodowali po jednej lub dwie krowy, albo kozy, po kilka kur, królików czy gęsi. Uzyskiwane plony służyły do zaopatrywania własnych rodzin w żywność, rzadko kiedy na sprzedaż. Pomimo tak wspaniale rozwiniętego rzemiosła rękodzielniczego, oraz zaopatrzenia w żywność z własnych gospodarstw przydomowych ogólnie w Krasiczynie panowała bieda tzw.

"Bieda galicyjska"

Były miesiące tłuste, kiedy rzemieślnicy mieli bardzo dużo pracy, zarobki były dobre i wiodło się nienajgorzej, ale były i chude, kiedy do warsztatu nie zaglądał nawet przysłowiowy "pies z kulawą nogą". Rybakom zamarzł San i nie mogli wypłynąć na połowy ryb. Powódź, lub gradobicie zniszczyły plony na uprawianych gruntach (powodzie były o wiele częstsze niż dziś). Jeszcze do tego wszystkiego muszę dodać, że praca rzemieślników była bardzo marnie wynagradzana. Tak miejscowi ludzie jak i społeczeństwo okolicznych wsi było biedne. Często po wykonaniu jakiejś pracy rzemieślnik musiał czekać na zapłatę miesiącami, a nawet latami, bo usługobiorca nie posiadał pieniędzy, aby się z nim rozliczyć. To były przyczyny, że do domów zaglądała bieda i życie stawało się bardzo skromne. Ludność pożyczala pieniądze u Żydów na bardzo wysokie procenty, kupowała żywność w sklepach na kredyt albo pożyczala żywność (ziemniaki, mąkę) od zamożniejszych na tzw. "odrobek". Z chwilą nadejścia prac wiosennych w polu wartość pożyczonej żywności musiano odrobić - przy sadzeniu, pielęgnacji roślin i zbiorach plonów, aby w następnym roku mieć od nowa otwarte konto. W okolicznych wioskach panowała

bieda, ponieważ gospodarstwa były bardzo rozdrobnione, wsie przeludnione.¹⁹



¹⁹ P. **Rozalia Lisowiec** wspomina: "Mąż był zawodowym rybakiem. Mieli spółkę z Michałem, Kazimierzem i Janem Lisowcami. Mieli wspólne sieci, łódź. Ryby łapali od Krasieczyna do Dybawki a sprzedawali do spółdzielni w Przemyślu. Sieci i łódź przywoził im Michałowski. Jak im dobrze poszło mogli złapać i tonę ryb na raz. Ryb było dużo, ogromne szczupaki, a od Chołowic przywozili sumy. Łeb miał jak krowa. Dzierżawę płacili księciu i na wigilię dawali parę metrów ryb. Ale w zimie i w lecie było ciężko. Pan Mróz w sklepie sprzedawał mi na bóg, ale w lecie musiałam długo pracować za 70 groszy dziennie, aby oddać te 30 czy 40 złotych.

Emigracje

Rodzice nie mieli możliwości podziału swych małych gospodarstw pomiędzy kolejne pokolenia dzieci, dlatego, że nie było już co dzielić. Dzieci zaczęły opuszczać swoje rodzinne domy udając się za poszukiwaniem chleba, tak w innych rejonach kraju jak i poza jego granicami. Stąd te głośnie przed I wojną światową emigracje ludności (głównie wiejskiej) z Galicji do Niemiec, Francji, Ameryki i innych krajów w poszukiwaniu pracy i chleba.

Przed 30 laty rozmawiałam z P. Anną Kuczkowską (Panną Hanią Kuczkowską - tak ją wszyscy nazywali). Panna Hania była garderbianą księżnej Katarzyny Sapiehowej. Pomimo, że dożyła późnej starości zachowała wspaniałą pamięć i trzeźwy umysł. Rozmawiałyśmy o czasach z przed I wojny światowej. Opowiadała mi o krasicyńskiej biedzie i o bardzo skromnym wyżywieniu ludności. Najczęstsze posiłki to ziemniaki i kasza kukurydziana tzw. "mamałyga" pod różnymi postaciami. Potrawy mięsne gościły na stołach w Święta Wielkanocne i w niewielkich ilościach w Boże Narodzenie. Chłopcy z innych miejscowości, którzy przychodzili na zaloty do "krasicyńskich pannen" wyszydali kaszę kukurydzianą. Krasicyńskie dziewczęta w odwecie ułożyły wiersz. Całego wiersza nie zapamiętałam, ale jedna ze strof brzmiała tak :

"Choć my panny z mamałygi,
Wy stroicie do nas dygi."

Przypominam sobie opowiadanie Jana Hrycajko o naszej wspólnej sąsiadce – okres międzywojenny (Pan Jan z rodzicami i rodzeństwem do 1940 r. mieszkał w tzw. "rządcówce", był to okazały budynek piętrowy usytuowany przy zakręcie drogi - dziś pomiędzy nową remizą OSP, a domkami Nadleśnictwa). Opowiadał tak: "dzieci naszej sąsiadki były głodne i płakały, sąsiadka nie miała je czym nakarmić, ale miała stadko gąsek, które gęś wysiedziała – zaczęła więc pocieszać dzieci, żeby nie płakały - że mają gąski, gąski do jesieni urosną, wówczas je pozabija i dzieci nie będą już głodne..." Sąsiadka ta żyje do dziś, może nawet pamięta to zdarzenie. Nie wszyscy biedowali,

byli tacy którzy żyli dostatnio, ale ich była mniejszość. Mimo wszystko, jak wynika z opowiadań, ludzie byli weseli, bardziej życzliwi i wyrozumiali jeden dla drugiego.

*Krasiczyn pod zaborem,
budowa twierdzy Przemyśl*

Krasiczyn od 1772 roku tj. od I rozbioru Polski pozostawał pod zaborem austriackim. Stało się to na mocy traktatu zawartego dnia 5 sierpnia 1772 roku między państwami rozbiorowymi i traktatu z Polską zatwierdzonego przez Sejm Polski 18 września 1773 r. Monarchia austriacka zajęła znaczny obszar ziem południowo-wschodniej Polski. Obszar zajęty przez Austrię wynosił 1508 mil geograficznych, a mieszkało na nim według pierwszego spisu 2.650.000 ludzi. Po III rozbiorze pod zaborem austriackim znalazło się dalszych 866 mil kwadratowych na których zamieszkiwało ok. 1.200.000 osób.

Położenie Przemyśla i jego walory strategiczne były powodem, że po wkroczeniu wojsk austriackich do tego miasta w roku 1772 w cesarsko-królewskim sztabie austriackim zrodził się pomysł budowy twierdzy obronnej. Realizacja tego zamierzenia doszła do skutku po znacznym pogorszeniu się stosunków rosyjsko – austriackich w wyniku wojen krymskich, a pełną parą ruszyła budowa dopiero po wojnach napoleońskich. Lata rozbiorów coraz bardziej przygnębiały naród polski i przekreślały wszelkie nadzieje na zmianę położenia. Rabunkowa gospodarka i eksploatacja naturalnych bogactw Polski przez obcych potentatów doprowadziły do tego, że życie stawało się coraz trudniejsze, a tęsknota za niepodległością i wolnością coraz większa. W czerwcu 1914 roku po zamordowaniu następcy tronu austriackiego arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie rozpoczyna się I wojna światowa. Przypominam te wydarzenia, bo wywarły wielki wpływ na losy nie-których mieszkańców Krasiczyna.

Wojenne losy ludzi

Zdolni do wojska mieszkańcy Krasieczyna otrzymują karty wcielenia do armii austriackiej. Rozpacz panuje ogromna, muszą opuścić swoje domy, rodziny, dorobek całego życia i iść walczyć. Dokąd? W imię czego? O co? Nikt tego nie wie. Podobna atmosfera panowała we wszystkich okolicznych wsiach. Przemysł mimo wybudowanej twierdzy ogromnym kosztem - nie jest gotowy do obrony. Zaczynają się gorączkowe prace: kopanie rowów strzeleckich i łącznikowych, budowa zasieków i pól minowych, zaopatrzenia twierdzy w żywność. Spalono 21 wsi i 23 przysiółki położone w pobliżu twierdzy. Wysiedlono połowę ludności z Przemysła i okolic.

Odbiegnę trochę od tematu i przedstawię losy rodziny mojej matki z tego okresu: Matka mojego dziadka pochodziła z Krasieczyna, wyszła za mąż do Wyszatyc. Jej siostra mieszkała w Krasieczynie w domu, w którym ja obecnie mieszkam. W chwili wybuchu wojny dziadek był wdowcem i wychowywał 5 dzieci. W czasie gorączki wojennej w Przemysłu Austriacy zabrali dziadka wraz z najstarszym synem i parą koni do prac związanych z umacnianiem "twierdzy Przemysł" (do odrobienia tzw. szarwarku). W tym samym czasie wysiedlono całą ludność z Wyszatyc (nie wiadomo gdzie) a wieś spalono. Po powrocie do domu zastali tylko zgłiszczka. Dziadek z synem (bratem mojej mamy) przyjechali do cioci do Krasieczyna i tu przetrwali wojnę. Przez cały okres dziadek poszukiwał przez Czerwony Krzyż dzieci, ale bezskutecznie. Odnalazł je dopiero pod koniec wojny w Czechach, ale nie czwórkę, tylko dwójkę dzieci.

Większość mieszkańców Wyszatyc w tym i moja matka z rodzeństwem wywiezionych zostało do Czech, do miasta Jaromierz. Tam mieszkali w drewnianych barakach. Panowała okropna bieda, głód, wreszcie wybuchła epidemia cholery. Moja matka miała wówczas 13 lat, a jej starsza siostra 15, oraz dwoje młodszego rodzeństwa. Tych dwoje dzieci zmarło w Czechach na cholerę. Dziadek odnalazł 2 starsze córki i przywiózł je do Krasieczyna. Podobnych tragedii było wiele.

Losy wojny oszczędziły sam Krasieczyn, pomimo że jeden z fortów "twierdzy Przemyśl" znajdował się tak blisko - w Prałkowcach. Mężczyźni poszli na wojnę, we wsiach pozostały kobiety, starcy i dzieci. Ocalały domy, natomiast walki toczone na przełomie lat 1914/1915 pomiędzy wojskami austriackimi i rosyjskimi spowodowały wiele zniszczeń w zamku. Uszkodzone zostały, w znacznej mierze, dachy, kopuła kaplicy, mury wieży zegarowej i loggii²⁰

Najtrudniejsza dla Krasieczyna i okolicznych wsi była klęska moru Epidemie: cholery, tyfusu, a nawet nieliczne przypadki dżumy nękały niedożywioną ludność przez wiele lat. Dla umierających w tych epidemiach tworzone oddzielne cmentarze. Z tego co się orientuję, cmentarze takie były w Korytnikach, Zalesiu i Krasieczynie. W Zalesiu cmentarz zmarłych na cholerę znajduje się w lesie przy tzw. "drodze kościelnej", wiodącej z Zalesia przez 3 Kopce do Krasieczyna. W Korytnikach pod lasiem na wzgórzu niedaleko zabudowań ODR. W Krasieczynie nad Sanem, pod lasem (nie znam dokładnego położenia - prawdopodobnie w miejscu tym dziś znajduje się pole namiotowe).

Czas I Wojny Światowej, spustoszenia w zamku.

Żołnierze niszczyli co im wpadło w ręce - głównie nakrycia stołowe, oraz oczyścili piwnice z win. Nie pozostawili w spokoju okolicznych domów. Rabowali z domów żywność i co tylko się im podobało. W szczególnym zagrożeniu znalazły się młode kobiety. Musiały się ukrywać. Armii rosyjskiej udało się dojść aż pod Kraków. W zdobytym Przemyśle budują mosty na Sanie, remontują zniszczone tory kolejowe, oraz naprawiają wszystkie uszkodzenia twierdzy. Planują wykorzystać twierdzę do własnych celów obronnych. Okupacja Krasieczyna przez Rosjan trwała ok. 3 miesiące. Polacy walczyli

²⁰ "W czasie pierwszej wojny światowej zbiory zamku przewiezione w bezpieczne miejsce nie poniosły prawie strat. Poważnie natomiast uszkodzona została górna część baszty Boskiej, w tym dach i latarnia, dalej grzebień attyki południowego skrzydła, mury wieży Zegarowej, dachy loggii i skrzydeł mieszkalnych. Natychmiast jednak po ustąpieniu frontu zabrano się do prac konserwatorskich i naprawy szkód". Píše R. Aftenazy w książce "Materiały do dziejów rezydencji" T. VIIIA str. 76 W-wa 1991.

niemal na wszystkich frontach tej wojny, a wśród nich również mieszkańcy Krasieczyna i okolicznych wsi.

*Wojenne szlaki niektórych ludzi z Krasieczyna*²¹

Jan Gwiazdowicz - ojciec Pani Stanisławy Zybińskiej (wg relacji Kazimierza Zybińskiego). Kiedy otrzymał kartę wcielenia do wojska, był już żonaty i miał dzieci. Trudno było rozstać się z domem. Po paru miesiącach walki w armii austriackiej dostaje się do niewoli rosyjskiej. Rosjanie wywożą niewolników daleko na Sybir. Tutaj dostaje się do pracy w kopalni złota. Kopalnia złota – wielkie słowa. Kopalnia ta, to spory kawał ziemi, ogrodzony szczelnie drutami kolczastymi. Niewolnicy przy pomocy różnych narzędzi przegartywali tę ziemię w poszukiwaniu złota. Pracowali pod otwartym niebem bez względu na pogodę. Mieszkali w bardzo prymitywnych warunkach w barakach, a wyżywienie jakie otrzymywali było ilościowo bardzo skąpe i prawie bezwartościowe. Po zakończonej pracy każdego dnia przeszukiwano dokładnie odzież jeńców, czy przypadkiem któryś nie schował grudki złota i każdego prześwietlano czy nie ma złota w przewodzie pokarmowym. Jeśli się okazało że ma, wówczas zamykano go w specjalnym pomieszczeniu, dostawał środki przeczyszczające i musiał oddać ukryte złoto. Tam, w Syberii, spędził 4 lata. Wrócił do domu po zakończeniu wojny.

Wincenty Mróz - idąc na wojnę również zostawił żonę i dzieci. Jego drogi wojenne wiodły przez Węgry, Włochy do Polski. Na wojnie został ranny. Po czterech latach tułaczki i walk wrócił do domu po zakończeniu wojny. Często wieczorami przychodził do mojego ojca i opowiadał o swoich losach wojennych.

Franciszek Molenda (wg informacji córki Pani Jadwigi Kuriańczyk), został powołany do wojska austriackiego będąc jeszcze kawalerem. Bardzo ciężko było mu iść na wojnę, bo w Krasieczynie zostawała narzeczona, z którą trudno było się rozstać. Pan Franciszek śpiewał w chórze kościelnym. W niedzielę na nabożeństwie na chórze

²¹ Więcej o wspomnianych i innych mieszkańcach: patrz *Krasieczyn t. II* s. 170

zasnęła mała dziewczynka. Pan Franciszek zniósł ją z chóru na rękach. Jeden z kolegów powiedział: "Franek dlaczego rozpaczasz jak wrócisz z wojny, to ta będzie twoją narzeczoną".

Niedługo walczył Pan Molenda w armii austriackiej. Po kilku miesiącach zostaje ranny i dostaje się do niewoli rosyjskiej. Już rannemu żołnierz rosyjski przebił twarz bagnetem i wybił parę zębów. Zostaje wywieziony na Kamczatkę, były tam okropne mrozy, temperatura spadała do -60°C . Jeńców nie pilnowano szczególnie, bo gdzie można było uciekać w taki mróz? Jedyne miejsce, do którego chodzili to był sklep. Do sklepu szło przeważnie dwu mężczyzn, ubierali wszystką ciepłą odzież, jaką posiadali jeńcy w obozie. W sklepie zaczęli narzekać na mróz, a stary Rosjanin siedział, przy żelaznym piecyku ogrzewał ręce i w pewnej chwili odzywa się: "To nie jest jeszcze duży mróz, odkąd przyjechali Polacy to u nas nie ma dużych mrozów, wcześniej mrozy sięgały do -72°C ".

W obozie wybuchła epidemia szkorbutu. Jeńcy na noc podwiązywali sobie chustkami, szalikami (czym kto mógł) brody do czubka głowy, aby się nie udusić wypadającymi zębami w czasie snu. Po pewnym czasie do obozu przyjechali dowódcy rosyjscy i zapytali, czy w obozie są jacyś rzemieślnicy. Pan Franciszek był stolarzem i zgłosił się. Został przewieziony do Moskwy i tu pracował do końca wojny. Zapłatą było marne wyżywienie, ale te czasy wspominał mile. Podoobała mu się Moskwa, mieszkańcy tego miasta i tradycje w nim panujące. Do Krasieczyna wraca po zakończeniu wojny, kiedy wszyscy myśleli, że już nie wróci. Okazało się, że narzeczoną nie czekała na niego. Najpierw musiał wyleczyć rany otrzymane na wojnie i w niewoli (wrócił bez jednego zęba), a następnie żeni się z dziewczynką, którą zniósł przed laty z chóru w kościele. Była nią Zofia Fedyk, która przez lata wojny wyrosła na piękną pannę (często opowiadał tę historię). Tym dopisało szczęście, a byli i tacy, którzy z wojny już nigdy nie powrócili, a rodziny nie dowiedziały się gdzie są ich groby.

Gmina i jej władze po I Wojnie światowej

Wieś Krasiczyn administracyjnie podlegała gminie Krasiczyn, która miała swoją siedzibę w Prałkowcach²², najpierw w prywatnym wynajętym domu, a następnie w budynku wybudowanym specjalnie w tego celu (to do niedawna budynek szkolny). Administracja gminy to: Jan Marhall (ojciec Pani Jadwigi Rybakowej) ze Śliwnicy – wójt. Emil Lanocha z Kruhela – sekretarz i Stanisław Stelmaszczyk (ojciec Józefy Bednarczykowej) - woźny. Jan Marhall ze Stanisławem Stelmaszczykiem dojeżdżali codziennie do pracy w urzędzie podwodą konną (konie były własnością Marhalla). Innego połączenia komunikacyjnego pomiędzy Krasiczynem a Przemyślem nie było. Gmina Krasiczyn podporządkowana była władzom powiatowym w Przemyśle, a powiat Przemyśl należał do województwa lwowskiego.

Organizacje społeczne

Po zakończeniu wojny w Krasiczynie rozpoczynają działalność różne organizacje społeczne. Wznawia swoją działalność (zawieszoną na okres wojny) Ochotnicza Straż Pożarna. Powstają takie organizacje jak: Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej i Koło Gospodyń. Rozpoczęły swoje funkcjonowanie Posterunek Policji, Poczta i Kasa Stefczyka. W budynku, w którym do niedawna mieściły się biura Nadleśnictwa pracował Zarząd Dóbr Księcia Leona Sapiehy i poczta.

Ochotnicza Straż Pożarna swój początek bierze od przemysłowej straży pożarnej w browarze. Została założona w 1868 roku, dokumenty znajdują się w archiwum we Lwowie. Stanisława Kucharska, mieszkanka Krasiczyna, posiada fotografię, na której znajduje się oddział straży pożarnej z browaru.

Po zaprzestaniu produkcji piwa i zamknięciu browaru strażacy postanawiają nadal kontynuować swoją działalność. Za budynkiem, w którym przed wybudowaniem nowej remizy OSP przechowywano

²² Patrz: *Krasiczyn t 2* str. 303

samochody, motopompy i inny sprzęt, wybudowali drewnianą szopę, w której przechowywali pompę i inny sprzęt gaśniczy. Szopę tę szumnie nazywano remizą. W części budynku posiadali izbę, w której mogli schodzić się na zebrania. Franciszek Molenda do straży pożarnej należał przed I wojną. Po powrocie z niewoli wspólnie z kolegami wznawiają działalność tej organizacji.

Straż pożarna posiadała pompę ręczną z węzami (pompa zachowała się do dziś), oraz drobny sprzęt (bosaki, siekiery). Do pożaru, czy na zbiórki strażacy zwoływali się za pomocą trąbki (innej sygnalizacji nie mieli). Zaprzęgiem konnym do pożaru wieziono pompę i sprzęt przeciwpożarowy, strażacy szli piechotą obok wozu. Pamiętam te zbiórki i wyjazdy do pożarów, remiza znajdowała się obok naszego domu, a w ostatnich latach przed II wojną władzę w straży sprawował Franciszek Molenda i mój ojciec Józef Mazuryk. Biegałam za ojcem na zbiórki. W tym czasie trąbka strażacka przechowywana była w naszym domu, ażeby ojciec szybciej mógł oznajmić pożar. W razie większego pożaru, czy innego niebezpieczeństwa ksiądz proboszcz zezwalał na użycie dzwonów kościelnych, które biły na trwogę (tak wówczas mówiono).

Drugą organizacją, która zasługuje na specjalne wyróżnienie i zachowanie w pamięci nie tylko mieszkańców Krasiczyna, ale i szerszego kręgu ludzi było:

Koło Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej

Działalnością tego koła kierowali: Henryka Moros i ks. Tadeusz Jaśkiewicz Katecheta. Działalnością również interesował się i przychodził na różne próby ks. proboszcz Józef Rogulski. Koło Młodzieży zajmowało się przede wszystkim szerzeniem kultury. Posiadało swój dom tzw. Kasperówkę, która usytuowana była pomiędzy budynkami Bronisława Zybińskiego - Zygmunta Urycza, a Antoniego Kuczkowskiego. W tym domu odbywały się próby różnych sztuk teatralnych, chóru, oraz prowadzone były inne prace. Koło Młodzieży Katolickiej to również chór kościelny, który śpiewał na nabożeństwach w kościele i różnych uroczystościach parafialnych. Katolickie

Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej w Krasieczynie było bardzo liczną organizacją. Część jej członków rozsypała się po Polsce, część już nie żyje. W Krasieczynie pozostały: Stanisława Kucharska, Stanisława Zybińska, Domicela Huczko, a może i inni członkowie, o których nie wiem.

Koło Gospodyń

Pracowało ono w Krasieczynie przed II wojną światową. Przewodniczącą Koła była Maria Uszkiewicz - Matka Józefa Uszkiewicza. Nie wiele mogę dziś powiedzieć o działalności tego koła. Nie wiem czy istniało przed I wojną Światową. Wiem na pewno, że pracowało w pierwszych latach po-wojennych. Patronat nad Kołem sprawowała Księżna Katarzyna Sapiehowa. Po I wojnie koło to zajmowało się rozdaniem, wśród ludności darów, jakie napływały z różnych państw. W późniejszych latach organizacją różnych konkursów i wystaw z osiągniętych sukcesów w uprawie warzyw i owoców. Wiem, że moja matka należała do tego Koła, a za udział w jakimś konkursie w nagrodę otrzymała dwie sadzonki - jabłoń i śliwę. Jabłoń rosła na naszej posesji do 1968 roku. Zawsze podkreślała skąd ta jabłoń pochodzi.

W okresie międzywojennym w Krasieczynie i okolicy powstało wiele placówek handlowych:

1. Sklep spożywczy Legenzy w Krasieczynie (w miejscu gdzie dziś znajduje się restauracja Krzysztofa Czopika. Był to długi budynek od po toku, aż po dzisiejszy pawilon sklepowy. Część budynku została spalona podczas napadu UPA na Krasieczyn)²³.

2. Sklep spożywczy Pawła Mrozia w Krasieczynie (budynek już nie istnieje, a w jego miejsce wybudował dom Bogusław Fedyk).

3. Sklep spożywczy Bronisława Kuczkowskiego na Komarze.

4. Budka z mięsem Kuczkowskich i Sacharko (Żyd z Korytnik) w rynku w Krasieczynie.

²³ **Zuzanna Sus** wspomina, że w budynku tym była także świetlica, w której odbywały się zabawy ludowe organizowane przez Józefa Pirożyńskiego ze Śliwnicy oraz siedziba paramilitarnej organizacji "Strzelec", Komendantem "Strzelca" był właśnie J. Pirożyński pracujący jednocześnie jako ogrodnik w księcia Sapiehy.

5. Sklep spożywczy ze sprzedażą alkoholu Jana Marhalla w Śliwnicy²⁴.

W Krasieczynie nad Sanem w miejscu obecnej stołówki Przedsiębiorstwa Zaopatrzenia Hutnictwa przed wojną stała rzeźnia (potocznie nazywana szlachtuzem), własność Kuczkowskich. W rzeźni tej prowadzono ubój zwierząt oraz zajmowano się przetwórstwem mięsnym. Mięso i jego przetwory sprzedawano w budce w rynku, w Przemysłu i w okolicznych sklepach. Stali klienci posiadali w sklepach otwarte "konta" i towary kupowano na kredyt. Raz w tygodniu, przeważnie w soboty rzemieślnicy rozliczali swe usługi i robotnicy otrzymywali zapłaty, wówczas regulowano rachunki w sklepach. Były rodziny, których nie stać było na terminowe spłacanie zaciągniętych długów - takim ludziom kredytu nie udzielono.

Pożyczki i lichwa

W tym czasie Żydzi i zamożni ludzie zaczęli pożyczać pieniądze na bardzo wysokie procenty. Przyjmowali również od nich pieniądze na bardzo niskie procenty, a często zdarzało się tak, że przebiegły Żyd, czy inny "dobroczyńca" parę razy wypłacił ciułaczkowi procent, a później cały kapitał przepadał. Zaczęło się szerzyć tzw. lichwiarstwo.

Ksiądz Proboszcz Józef Rogulski wspólnie z organistą Adamem Cichobłazińskim, aby zapobiec tym lichwiarskim metodom zorganizowali w Krasieczynie "Kasę Stefczyka". Była to pierwsza forma spółdzielczości oszczędnościowo-pożyczkowej w Polsce. Na siedzibę kasy ustalono murowaną część budynku gminnego, w którym wcześniej mieściła się izba rzemiosł różnych. Izbę tę przeniesiono do Przemysłu. W "Kasie Stefczyka" ludność Krasieczyna i okolic mogła

²⁴ **Zuzanna Sus** wspomina, że sklep prowadziła P. Bachowska. Organizowała tu okazyjne imprezy "dla towarzystwa" np. zabawy na Sylwestra, Karnawałowe, czy "śledzika". W nieistniejącym budynku pp. Marhallów działała polska czytelnia, będąca centrum życia kulturalnego Polaków w Śliwnicy. Prowadziła ją nauczycielka z Krasieczyna P. Zofia Marhall, która organizowała i reżyserowała wiele przedstawień. Życie kulturalne śliwnickich Ukraińców skupiało się przy ich świetlicy "Na Pastwisku". Tu odbywały się wspólne polsko-ukraińskie festyny i "Hałachówki", organizowane głównie przez Foka. Jeżdżąc na koniu po wiosce, w odpowiednim przebraniu spraszał na nie mieszkańców. Por. także: A.S. Fenczak: „Śliwnica Szkice z dziejów wsi i parafii” str. 92, 96 i inne.

odkładać swoje oszczędności i zaciągać kredyty na podstawie wcześniej ustalonych stałych stawek procentowych. Niedoskonałość działalności tej kasy tkwiła w tym, że więcej było chętnych do zaciągania kredytów niż tych, którzy przynieśli do niej swoje oszczędności. Kasa działała wyłącznie w oparciu o środki finansowe własne, dlatego nie mogła pomyślnie załatwiać wszystkich, którzy zwracali się do niej o kredyty. Kasa działała do śmierci Ks. Józefa Rogulskiego. Po jego śmierci Adam Cichobłaziński doprowadził do likwidacji kasy.

Posterunek policji mieścił się on we własnym budynku w rynku. Komendantem posterunku był Kurzyński, posterunkowi to: Jakub Bednarz i Nalej. Długoletnim sołtysiem Krasieczyna w okresie międzywojennym był Michał Amarowicz - ojciec Zygmunta Amarowicza, dziadek Zenona. Cieszył się on dużym zaufaniem mieszkańców Krasieczyna. Dzielnie strzegł ich własności tj. lasów, działek wiejskich, pastwisk, budynków, oraz był doskonałym łącznikiem pomiędzy Urzędem Gminy a mieszkańcami.

W Krasieczynie, porody dzieci odbierane były w domach, ale przez wykwalifikowane położne (akuszerki). Najpierw była nią Błońska z Komary, a następnie Anna Uszkiewicz.

Działało również stałe **przedszkole** (zwane ochronką). Budynek mieścił się najpierw w ogrodzeniu parkowym, obok domu Józefy Fedyk. Następnie Księżę Leon Sapieha wybudował nowy, obecny, budynek dla ochronki, a stary rozebrano i działkę włączono w obszar parku²⁵. Ochronkę prowadziły Siostry Służebniczki. Przed II wojną światową w ochronce były dwie siostry: s. Emelda i s. Leokadia. Uczęszczałam do jednej i do drugiej ochronki.²⁶

²⁵ Siostry sprowadziła do Krasieczyna księżna Jadwiga Sapieżanka 4. 06. 1864. Mieszkały do 1878 r. w budynku szkolnym, następnie do 1893 r. w prowadzonym przez siebie "szpitaliku" z kolei w budynku dworskim na terenie parku. Od 1914 zamieszkały właśnie na "Fedykówce", wniesionej jako wiano zakonne pochodzącej z Krasieczyna s. Gabrieli Fedyk. W zamian za przejętą Fedykówkę Sapieha wybudował im w r. 1938 dom użytkowany do dziś. W ciągu 132 lat (1864 - 1996) pracowało w Krasieczynie ponad 200 sióstr. Więcej: Krasieczyn t II s 129.

²⁶ Wg relacji **Zuzanny Sus** Siostry opiekowały się też Stowarzyszeniem Druhen, któremu patronowała księżna Katarzyna. Należało doń ok. 20 dziewcząt z Krasieczyna, Śliwnicy, Nahurczan i Komary. Urządzały one z pomocą Zofii Marchall ,przedstawienia i festyny.

Kształcenie dzieci

Mieszkańcy Krasiczyna nie przykładali większej wagi do kształcenia swoich dzieci w szkołach ponadpodstawowych. Najważniejsze było zdobywanie zawodów. Nieliczne rodziny kształciły swoje dzieci: Zaleszczyków, Faców, Morosów

Mój ojciec był jednym z najlepszych uczniów w szkole. Kiedy kończył VII klasę Ksiądz Rogulski przyszedł do dziadków, namówić ich, aby go posłali dalej do szkół. Wówczas babcia odpowiedziała: "kował po to ma narzędzia, aby mu żelazo rąk nie parzyło, a rodzice po to chowają dzieci, aby im lżej było na stare lata". Ojciec zamiast dalej do szkoły poszedł do pracy w cegielni. Opowiadał mojej matce to zdarzenie i mówił, że jeśli jego dzieci byłyby zdolne, to nigdy nie zmarnowałyby im życia. Matka przyjęła te słowa ojca jako swój obowiązek

Mieszkańcy Krasiczyna tak mężczyźni jak i kobiety szczególnie w niedzielę ubierają się jeszcze po mieszczańsku, choć dzisiaj miasteczko więcej do wsi niż do miasta jest podobne. Do parafii oprócz Krasiczyna należy 11 wsi, niektóre z nich nawet bardzo odległe. Szkół jest tylko 3, w miejscu trzyklasowa, w Tarnawcach dwuklasowa i w Olszanach jednoklasowa. Nadto w Krasiczynie w dworskich zabudowaniach znajduje się Ochronka ze Służebniczkami N.M.P utrzymywana kosztem księcia. Siostry z niej robią ekskursję do Korytnik i Krasic, gdzie młodzież czytać, pisać i katechizmu uczą.

Proboszczowie

Po śmierci Księdza Józefa Rogulskiego proboszczem parafii Krasiczyn został ksiądz Jan Lasek²⁷. Ksiądz Lasek przed objęciem parafii wcześniej pracował naukowo. Jego dorobek naukowy nie jest mi znany, ponieważ jako dziecko nie interesowałam się tymi sprawami. W parafii dał się poznać jako osoba skromna i pracowita. Interesował go nie tylko kościół i jego dobro. Potrafił zadbać o gospodarstwo przy

²⁷ O proboszczach krasiczyńskich : *Krasiczyn t. II* s. 16.

plebanii, parafialne gospodarstwo rolne i leśne w Reczpolu, założył pasiekę pszczół, którymi sam się zajmował, a dla każdego, kto zwrócił się do Niego w potrzebie miał słowa pocieszenia, albo przychodził z pomocą. Szybko zjednał sobie przychyłność i uznanie parafian. Osobie ks. Laska w swoich wspomnieniach postaram się poświęcić nieco więcej miejsca²⁸

Od redakcji: Autorka zamierza wprawdzie opisać dalsze losy Krasieczyna, zanim jednak ta praca powstanie i zanim zostanie opublikowana, w tym miejscu pozwolę sobie w formie uzupełnienia, wstawić wspomnienie o ks. Janie Lasku P. Juliana Rudaka²⁹.

²⁸ Ks. dr Jan Lasek po rezygnacji z profesury w Seminarium Duchownym w Przemyśle został proboszczem w Krasieczynie. Opracował w r. 1947 przechowywany w Archiwum Parafialnym "Wykaz proboszczów w Krasieczynie", w latach 1793 - 1951, który uzupełniam do r. 1997 ks. BS

- Józef **RZEPECKI** 1793 - 1820, **PRZYBYŁOWICZ** 1821 - 1827, Franciszek **GOŁA-SZEWSKI** 13. 1. 1828 - 1846, **SKIBICKI** (administrator) 1847. Alojzy **KOZACZYŃSKI** 1847 - 1874, Stanisław **WOJNA** 1875 - 1886 (ociemniały zrezygnował, zmarł 1903), **ZIEMBA** 1886 - 1892, **PIĘKOŚ** 1892 - 1894, **MIKSIEWICZ** 1894 - 1899 (następnie proboszcz i dziekan żurawicki), Józef **ROGULSKI** 1900 - 1937, Jan **LASEK** 1937 - 1951, Andrzej **CZYŻ** 1952 - 1957, Jan **KORDECZKA** 1957 - 1969, Edward **KWAŚNIK** 1969 - 1970 (następnie przeszedł na probostwo w Lubatowej). Stanisław **BARTMIŃSKI** 1970 - (uzupełnienie: 25 sierpnia 2007 r. przeszedł na emeryturę, po nim ks. Wiesław **KALAMARZ** do 25 sierpnia 2012 r. Odszedł na probostwo w Krościenku Wyżnym. Po nim ks. Stanisław **GUZY**.

²⁹ "W moim opisie losów Krasieczyna w 1945 r. zaledwie wspomniałem ks. Laska. A ten wspaniały człowiek, wielki przyjaciel i dobrodziej, jak też gorący patriota odegrał decydującą rolę w historii Krasieczyna. Brak mi słów by to opisać i określić. Być może wrócę do tego w przyszłości, teraz jedno nasuwające mi się wspomnienie.

W początkiem czerwca 1945 przyszedł do mnie kościelny z prośbą, że ksiądz proboszcz pilnie prosi mnie, bym przyszedł na plebanie. Na plebanii spotkałem już wójta Jana Szubana i czterech chłopców z okolicznych wsi. W drugim pokoju ks. Lasek poinformował mnie, że ci czterej spotkani w poprzednim pokoju wieśniacy są Rusi-nami i wiedzą, że grozi im wysiedlenie, przyszli prosić o przepisanie ich do Kościoła rzymsko-katolickiego. Chętnych do przepisania jest około 63 rodzin. Tak ks. Lasek, jak też wójt Szuban twierdzili, że są to nadzwyczaj dobrzy i uczciwi ludzie, mieszkający tu, w Śliwnicy, Nahurczanach i dalej od niepamiętnych czasów i nigdy nie uczynili niczego, co wskazywałoby na ich wrogość do Polaków, czy też niechęć. Są Rusinami, ale dobrymi sąsiadami. Po naradzie wyraziliśmy zgodę i sprawę przepisania zostawiliśmy ks. Proboszczowi, który uczynił to sobie wiadomym sposobem. Wiem, a minęły już lata od tej rozmowy, że nie było żadnych problemów z nimi ani u Ojców, ani u Synów. Odezwały się dopiero u Wnuków z końcem lat osiem-dziesiątych. Opisuję to tak jak

Okres międzywojenny

Dobiegał koniec lat trzydziestych. Mieszkańcy Krasieczyna i jego okolic otrząsnęli się już z pożogi wojennej. Życie zaczęło się toczyć coraz lepszym torem. Łatwiej można było znaleźć pracę w samym Krasieczynie - przy remoncie zamku, ogrodzeniu parku, w cegielni, folwarku, w ogrodzie przy zamku, w lesie. Część mężczyzn podjęła pracę w Przemyśle w fabryce "Polna", oraz w odlewni mosiądzu (szyldy i klamki) P. Szumeldy. Wprawdzie trudno było dochodzić do pracy w Przemyśle pieszo, albo jeździć rowerem bez względu na pogodę (innej komunikacji nie było), ale nęciła stała praca, która przynosiła stałe, niezłe dochody.

Rodzinom polepszało się życie z tygodnia na tydzień. Mój ojciec w sezonie letnim pracował przy remoncie zamku, a w zimie jako drwal w lesie. Rodzice posiadali niewielkie gospodarstwo rolne. Z dochodów, jakie uzyskiwali, mogli pozwolić sobie na zatrudnienie stałej pomocy domowej. W okresie międzywojennym Księżę Leon Sapieha zatrudniał stałego pracownika w browarze, był nim Józef Zaleszczyk (ślusarz z zawodu). Codziennie chodził on i konserwował wszystkie maszyny (czyścił je, oliwił), a raz w roku uruchamiał lokomobilę (maszynę parową) i sprawdzał, czy wszystkie maszyny są sprawne. Park ogrodzony został wysokim, drewnianym płotem. Każda dranka tego ogrodzenia zapuszczona została środkiem wodoodpornym. Ogrodzenie wyglądało okazale (wysokie, czarne). Dorastałam, pierwsza rzecz, jaka zaczęła mnie interesować to - co jest za tym ogrodzeniem? Pamiętam, że wychodziłam na barierkę ganku i zaglądałam, ale niewiele mogłam zobaczyć.

pamiętam, niech to będzie przyczynkiem do historii Krasieczyna i przykładem szlachetności, jaki zdarzył się w tamtym czasie. Ale aby on się zdarzył potrzeba było tamtych ludzi i ich uczciwości. Więcej: A.S. Fenczak: „*Śliwnica Szkice z dziejów wsi i parafii*” str. 105 i następne, o kościelno-prawnych podstawach "Przypisywania".



Widok zamku z okresu międzywojennego

Wybuch II wojny światowej

Nadszedł rok 1939 - rok pogodny, ciepły. Zapowiadały się bardzo dobre urodzaje. Żniwa przeszły spokojnie. Ludzie cieszyli się, że życie będzie jeszcze łatwiejsze. Nadszedł kres tym nastrojom optymistycznym. Zawrzało. Powszechna mobilizacja. Wojna³⁰. Niemcy napadli na Polskę. Wszyscy mężczyźni zdolni do wojska poszli na wojnę. Pozostali w domach jak przed laty - starcy, kobiety i dzieci. Ciotka mojego dziadka - Staroniewiczowa w niedługim czasie po I wojnie światowej pozostała sama. Najpierw zmarł jej mąż, następnie syn, a po nim synowa. Ciocię (staruszkę) dziadek zabrał do Wyszatyc, a dom wydzierżawili rodzinie Taców. Moja matka opiekowała się ciotką i dlatego otrzymała w testamencie dom i pole w Krasiczynie. Córka Państwa Taców przez pewien czas po ukończeniu seminarium nauczycielskiego uczyła w Krasiczynie w szkole, a następnie wyszła za mąż i wyjechała do Warszawy.

³⁰ Więcej: *Krasiczyn t I s.92*

W roku 1933 zmarł Władysław Tacy - urzędnik księcia Sapiehy. W naszym domu pozostała jego żona emerytka. Córka państwa Taców - Janina Krupa każdego roku z mężem i synem przyjeżdżała do matki na wakacje. W roku 1939 mąż nie mógł dostać urlopu i Pani Janina przyjechała na wakacje z synem. Chciała jak najwięcej czasu spędzić z matką i odłożyła swój powrót do domu na ostatnie dni wakacji. Niestety musiała zawrócić z drogi. Do Warszawy już się nie dostała. Jej mąż z Warszawy został deportowany wraz z rządem do Rumunii. We Lwowie uciekł z transportu. Przed odjazdem zdążył spakować wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy i wysłał je pocztą do Krasieczyna.. Cała przesyłka przepadła, nigdy nie doszła do adresata.

Mój ojciec też poszedł na wojnę. W domu pozostała matka z dwójką dzieci i lokatorami, którzy pozostali bez żadnych środków do życia. Pani Tacowej wstrzymano emeryturę, córka nie poszła do pracy i nie otrzymała pensji, no i dziecko. Matka jak mogła starała się utrzymać dom, gospodarstwo i pomóc przeżyć najgorsze chwile lokatorom.

Po kilku dniach walki front zbliżał się do Krasieczyna. Potężny huk armat zrywał ze snu dzieci, nie pozwalał również zasnąć dorosłym. Wszyscy żyli w wielkiej trwodze. Księżę Leon Sapieha pozwolił na powycinanie furtek w nowym ogrodzeniu parkowym i schronienie się mieszkańców w piwnicach zamku. Grube mury piwnic głużyły odgłosy armat, tutaj dzieci mogły spać spokojnie i starsi wymieniając się nawzajem mogli nieco od-począć. Minęło kilkanaście dni. Huk armat ustał, nastąpiła głucha cisza. Front ominął Krasieczyn. Ludność wróciła do domów. Następnie do Krasieczyna wkroczyło wojsko polskie.

Żołnierze byli bardzo przemęczeni: walką nieprzespanymi nocami i głodem. Chodzili po domach i prosili o chleb i ciepły posiłek. W tym czasie chleba się nie kupowało, każda gospodyni piekła go w domu. Matka opowiadała, że piekła chleb, jego zapach rozszedł się po okolicy. Głodni żołnierze zaczęli przychodzić i prosić o ten chleb. Czekali aż matka wyjmie z pieca. Matka cały wypiek (9 dużych bochenków -

tyle mieścił piec piekarski) rozdała im zaraz po wyjęciu z pieca (jeszcze gorący), a dla rodziny, żeby nie była głodna, piekła placki na płycie kuchennej. Sklepy pełne były wojska, żołnierze wydawali ostatnie grosze na papierosy, napoje i suchą żywność, którą można było zabrać z sobą.

Wraz z wojskiem przybył również do domu nasz ojciec. Wyglądał jak wszyscy: brudny, głodny, utrudzony. Pierwsza rzecz, jaką uczynił, to zdjął z nóg buty. Nogi były odparzone, całe w pęcherzach. Matka jak mogła opatrzyła mu nogi, nakarmiła i doprowadziła do porządku. Mówił, że od kilku dni nie spał w nocy i nie zdejmował butów z nóg. Nie jadł normalnego posiłku tylko suchy chleb. Mówił też, że walka dobiega już końca, nie ma nadziei na żadne zwycięstwo, już tylko uciekają przed Niemcami nie wiadomo dokąd. Matka przygotowała łóżko, aby mógł choć trochę wypocząć. Podał godzinę, o której ma go obudzić i zasnął. Matka po obudzeniu ojca zaczęła go prosić, aby nie szedł już na tę wojnę, ale on odpowiedział: "ty wiesz, co mnie czeka za dezercję - kula w głowę na oczach twoich i dzieci - trudno, muszę iść, może uda mi się powrócić". Poszedł, ale daleko nie uszedł. W okolicach Lwowa spotkało ich drugie uderzenie, tym razem wojsk sowieckich w plecy. Tego się nie spodziewali, znaleźli się w dwóch frontach. Żołnierze zaczęli poddawać się do niewoli - jedni do sowieckiej, drudzy do niemieckiej, a kto mógł ratował się ucieczką. Mojemu ojcu udało się zbiec z tego potrzasku. Na wsi pod Lwowem zamienił mundur na łachmany i w takim przebraniu, wędrując nocami, po paru dniach od pamiętnej wizyty w domu, wrócił z wojny. Krasieczyn był już zajęty przez Niemców. Wkroczyli tu około połowy września (dokładnej daty nie pamiętam). Podobnie jak mój ojciec uczynił wspomniany Krupa z Warszawy, który uciekł z transportu do Rumunii. W dwa albo trzy dni po moim ojcu dotarł też do Krasieczyna do żony, syna i teściowej.

Nikt nie wiedział, jaki czeka nas dalszy los pod okupacją niemiecką. Książę Sapieha zaczął pośpiesznie pakować wartościowe rzeczy z zamku i wywozić je do Przemyśla, a stąd koleją do Krako-

wa³¹. Miejscowa ludność nie wiedziała jak się zachować i czekała bezradnie. Po dwóch tygodniach okupacji - Niemcy ustąpili za San do Korytnik. W Krasiczynie pojawili się sowietzi. Na rzece San urządzono granicę sowiecko - niemiecką. Nikt nie wiedział, co się dzieje i co to wszystko ma znaczyć. Zamek zajęli Sowietzi. Rozkwaterowano ich również po prywatnych domach³². Zaczęły się smutne czasy.³³

³¹ Roman Aftanazy we wspomnianej książce pisze: "Cenniejsze zbiory, w tym obrazy, biblioteka, oraz archiwum nowsze, zostały przez Leona Sapiechę przerzucone przez San do folwarku w Hołubli, potem zostały zabrane do Krakowa i umieszczone u stryja kard. Adama Sapiehy, ... Biblioteka została w całości przekazana do zamku w Pieskowej Skale... Zbiór 160 portretów sapieżyńskich w listopadzie 1970 r. oddano do Muzeum Ziemi Przemyskiej". (str. 84-85). A to relacja Andrzeja Sapiehy z tego, co zastał w zamku i całej miejscowości w 1941 r.: Na podłogach śmiecie, szmaty, papiery, porozrzucone i poniszczone książki. Ściany pstro pomalowane, obwieszane propagandowymi obrazami i afiszami. Mebli żadnych – w ich miejsce mnóstwo drewnianych prycz. W łazienkach wanny i umywalnie powyrywane. W baszcie sierpy i młoty w miejsce herbów. W kaplicy kompletna ruina: rzeźby na ścianach zniszczone aż do wysokości, do jakich dzicz mogła sięgnąć, ołtarze, ławki gdańskie, Chorek drewniany i tablice marmurowe wyrąbane. Wszystkie 3 pomniki zniknęły. Grobowiec zamknięty, ale słyszeliśmy, że był zbezczeszczone. Kościół w miasteczku w strasznym stanie. Była w nim stajnia i podobno rzeźnia, bo były ślady krwi na podłodze. Nie ma ołtarzy ani ambony a ściany gołe. Domy miasteczka prawie wszystkie rozebrane".

Podobnie B. Szybka, *Z dziejów biblioteki Sapiehów w Krasiczynie*, [w:] *Kardynał Adam Stefan Sapieha*.: Czerwonoarmiści rozpoczęli rabunek opuszczonego przez Leona Sapiechę zamku. Profanacji i niemal całkowitemu zniszczeniu uległy groby rodu Sapiehów w podziemiach kaplicy. Fama, jaka utrzymuje się do dziś, głosi iż Sowietzi po wdarcu się do krypty grobowej porozrzucałi szczątki ludzkie po całym niemal dziedzińcu pałacowym, a opróżnione metalowe trumny wykorzystywali, jako wanny do kąpieli. Zdemolowali wnętrze kaplicy, zniszczyli ołtarz wraz z obrazem Wniebowzięcia NMP, rzeźby, uszkodzili też inne elementy, nawet kamienne.

³² **Stanisława Kucharska** z Krasiczyna tak to wspomina: " Byłam w Zamku, gdzie pracowałam u księżstwa od 1938 r. przy pakowaniu porcelany, biblioteki, obrazów i innych rzeczy... gdy przyszli Rosjanie. Początkowo byli grzeczni... Potem przyszli gorsi. Zdemolowali grobowiec, powyciągali trumny, bo chcieli widzieć jaki ten książę jest, porozciągali zabalsamowane zwłoki z metalowych trumien... w jedną niedzielę porozbijali całą kaplicę.

³³ (Za okupacji sowieckiej) - wspomina **P. Rozalia Lisowiec** – wieczery wigilijnej nie robiliśmy wcale. Mieszkałam u Szpilikowej, na święta zawsze chodziliśmy do Przemyśla, ale w tym roku nikt nie miał głowy. Pasterki nie było wcale. Msze się nie odbywały. (przed wywózką do Równego) Kościół był zamknięty. Klucze od kościoła miał Władysław Pisarki, mieszkał tam, gdzie dziś Sławek, pracował w biurze sowieckim, ale nikomu nie szkodził

Do naszego domu też dokwaterowano rosyjskiego oficera (lejtanta). Zajął jeden pokój, przyniósł ze sobą patefon z dużą tubą i od rana do nocy słuchał rosyjskich melodii z płyt. Często po nocach organizował przyjęcia dla kolegów i noce były gwarne. Po jednej stronie domu w kuchni i pokoju mieszkała Pani Tacowa z córką, zięciem i wnukami, a po drugiej nasza rodzina: ojciec, matka, dwoje dzieci, niania, no i sowiecki oficer w pokoju. Nam pozostała tylko mała kuchnia w której skupiało się całe życie. Niania i ja spałyśmy w mieszkaniu Pani Tacowej.

Władysława Tacowa i rodzina Krupów znalazła się w okropnej sytuacji, bez jakichkolwiek środków do życia. O powrocie do Warszawy należało zapomnieć. Moja matka jak mogła tak dzieliła z nimi posiłki, chleb, zaopatrywała ich w mleko, ale to było dość trudne utrzymywać dodatkowo cztery osoby. Ojciec po powrocie z frontu poszedł nadal do pracy w lesie. Węgla wówczas nie było, nikt go nie kupował, a zbliżała się zima, każdy potrzebował zaopatrzyć się w opał, więc zbyt na drewno był bardzo duży. Po pewnym czasie ojciec widząc beznadziejną sytuację u Krupów namówił P. Krupę ażeby poszedł z nim do pracy w lesie. Pan Krupa bał się tej pracy, nie miał żadnego pojęcia jak się w lesie pracuje, ale ojciec zaczął go uczyć każdej pracy. Od razu nie zarobił tyle ile mój ojciec, ale zawsze już zarabiał i zaczęło się u nich inne życie. Tak przepracował całą zimę.

Przekraczanie granicy

Jesienią 1939 roku (październik, listopad) do Krasieczyna przychodziło dużo różnych obcych ludzi (Polacy, Żydzi), którzy chcieli przedostać się na drugą stronę granicy w niemiecką strefę okupacyjną. Było to bardzo trudne, bo trzeba było wpław przejść rzekę San. O przewoźniku łódką nie mogło być mowy. Sowietów byli bezwzględni, strzelali do ludzi i zabijali ich na miejscu. Niemcy tolerowali przekraczanie granicy. Ludzie ci przychodzili do domów najbliższych położonych nad Sanem, aby obserwować sowiecką straż graniczną i o wieczornym zmierzchu, lub porannym świcie, skorzystać z nieuwagi strażnika i przejść przez San. Taka wędrówka ludzi i przekraczanie

granicy trwały do pierwszych opadów śniegu i pierwszych mrozów. Z nadejściem zimy przeprawa przez San stała się niemożliwa³⁴

W tym czasie zginął jeden z mieszkańców Krasieczyna - Jan Kuczkowski, który usiłował przekroczyć granicę i został zastrzelony przez sowieckiego strażnika granicznego. Ilu obcych ludzi zginęło - tego nikt nie wie, ich ciała pochłonęły nurty Sanu. Nasza matka jak mogła pomagała ludziom w przekraczaniu granicy. O noclegu w domu nie mogło być mowy, ale w budynku gospodarczym była słoma i siano - tu można było przenocować uchodźców. Musiała być bardzo ostrożna z uwagi na oficera sowieckiego, który mieszkał w domu i straż graniczną nad Sanem. W odpowiedniej chwili zabierała ojca lornetkę wojskową, wychodziła na strych i przez okienko obserwowała ruchy strażnika. Miał pod kontrolą dość długi odcinek brzegu Sanu. Kiedy oddalił się na dość dużą odległość w górę, lub w dół dawała umówiony znak osobie czekającej, że może iść i przekroczyć granicę. Przekraczanie granicy odbywało się jedno lub dwu osobowo, w większych grupach było to niemożliwe. O swych poczynaniach opowiadała nam kiedy już dorośliśmy i mogli zrozumieć ogrom niebezpieczeństwa³⁵.

³⁴ **Julian Rudak** z Sanoka uzupełnia: "W 1939, w październiku, na Zamku przebywał kpt. służby stałej garnizonu przemyskiego o przybliżonym nazwisku Machowski. Był on oficerem II wydz. Dowództwa Okręgu Korpusu Dziesiątego i w oparciu o pozostałe osoby organizował przeprawy oficerów i żołnierzy przez San do Dubiecka. Cała akcja opierała się na Polskim Czerwonym Krzyżu i na pomocy wielce zasłużonego ks. Winnickiego z Przemyśla. Bliższe szczegóły tej akcji nie są mi znane. Z końcem roku oficer ten został aresztowany i wywieziony. Informacje przekazał mi ks. Winnicki. W pewnym sensie spuściznę po wspomnianej akcji przejął ks. Jan Lasek, ale nic bliższego nie udało mi się ustalić, natomiast sam ks. Lasek w rozmowie ze mną stwierdził, że były takie zamiary, ale niewiele się działo, z uwagi na akcje Sowietów wywożących mieszkańców Krasieczyna i okolic".

Niektórzy mieszkańcy Krasieczyna, np. Antoni Amarowicz orientowali się, że przetrzudem uciekinierów zajmowali się także mieszkający na plebanii Jan Mykita i jego późniejsza żona, mieszkająca obecnie w Olszanach, Paulina.

³⁵ Wspomina P. **Bronisław Majchrowicz** z Krasieczyna ("WK" 6/90) Ruskie zrobili granicę na Sanie. Pamiętam, że wszystkie domy i płoty obwiesili swoimi Leni-nami i Stalinami, afiszami, flagami. Życie było bardzo nerwowe, bo ciągle strzelali na Sanie. Bardzo dużo ludzi zginęło, najwięcej "Na skale". W jedną noc słychać było przeraźliwe wołanie: Ratunku, ratunku! Pobiegłem zobaczyć, ale dobiegłem tylko do drogi kościelnej. Dalej były

Pamiętam jak Sowietci świętowali kolejną rocznicę rewolucji październikowej. Do naszego domu sowiecki oficer przyniósł flagi, oraz portrety Lenina i Stalina. Ojciec musiał powiesić tę dekorację na ganku przed domem. Pierwsze miesiące okupacji minęły na ogół spokojnie. Istniały różne ograniczenia swobód (określona godzina wieczorna, do której można było się poruszać, przesłanianie okien wieczorem) poza tym życie toczyło się normalnie.³⁶

Wywózki na zesłanie

W styczniu 1940 r., albo w pierwszych dniach lutego (dokładnej daty nie pamiętam) wywieziono mieszkańców Górnej Dybawki (tzw. Kolonii) w nieznane. Wiadomo było jedynie, że w Przemyśle na Bakończycach załadowani zostali do bydłowych wagonów i pojechali na wschód. Dokąd nie wiadomo? Wśród zesłańców był również brat

straże. U Pawła Kuczkowskiego mieszkał taki pomyłony człowiek. Nazywaliśmy go "Dulcyneo. On poszedł nad San, a tam człowiek zamarzał w przerębli. Ruskie robili takie dziury w lodzie, on wpadł w jedną - i nie mógł się wyratować. I tak wołał przez półtora godziny. Dulcyneo go wyratował, a jak Ruskie go zabierali, cały był zamarznięty, jeszcze dziś słyszę, jak ubranie na nim chrzęściło. Zabrali go na Sybir.

³⁶ **Bronisław Zybiński** tak wspomina swoje kontakty z Rosjanami: "WK" 5/ 90: *Myśmy kopali kartofle koło cmentarza Przywiozłem do domu, patrzę, a z mego wozu ktoś zabiera kartofle - Co tu robisz ? - mówię - połóż, bo cię tymi widłami podzielę - trochę "gram wariata". Poproś to ci dam. Położyli i poprosili. - My myśleli, że to "gosudarskie"... Taka to banda szła, obdarte, biedne... Potem ja u nich pracowałem w Zamku i w Mielnowie. Wstawiałem kotły, piece, budowałem łaźnię, taką na wszy (odwyszalnię)... Rosjanie mi nie płacili, ale można było się pokumać. Jeden kradł to, drugi to, ja miałem chleb, oni samogonkę i tak można było żyć.*

Jak przyszli Rosjanie to już nie było co niszczyć w Zamku. Jakieś książki się walały po dziedzińcu. Oni te książki spalili w jamie na rynku, niedaleka krzyża. Meble niszczyli "eto pamieszczyka" i rabali. Potem był szpital. Tych rannych było do cholery. Prosił o jedzenie, bo gdy przywieźli, to starsi rozkradli, a ranni dziadowali. Mówilem komendantowi, że zdychają z głodu, a on na to "E, u nas luda mnogo, niech pozdyszą" Umarłych wywozili samochodami. Jak wzięli Finlandię (12. 02.1940) w dużej sali w zamku miała być akademia. Kazali mi pobielić ściany. Pomagali żołnierze. Wycieli taką dużą tuję i we dwóch maczali w wapnie i malowali. Po kostki stali w wapnie, wyświnieni, brudni. A na ścianę nic nie donieśli.

ojca - Jan Mazuryk z żoną i czwórką dzieci. Później okazało się że wywieziono ich na Sybir.³⁷

Sowieci popełnili błąd wywożąc mieszkańców Dybawki na Sybir. Uznali ich za osadników (kolonistów), jacy zamieszkiwali dawne tereny Polski na wschodzie, (ludzi zamożnych), którzy byli Polakami, otrzymali tam grunty za zasługi wojenne, albo nabyli je za pieniądze. Sowieci po wkroczeniu w dawne granice Polski w pierwszej kolejności wywieźli ich na Sybir. Kiedy wkroczyli na nasze tereny wystarczyło im jedno słowo "osadnik", czy "kolonista", aby ludzi wywieźć w nieznane. Nie wiedzieli, że są to ludzie biedni, którzy za ciężko zapracowane grosze kupowali u księcia lasy, karczowali je, aby następnie pobudować skromne zagrody.

Po Dybawce za parę miesięcy (na początku kwietnia) przyszła kolej na mieszkańców Krasieczyna. Pewnego dnia wieczorem powiedziano wszystkim, aby spakowali najpotrzebniejsze rzeczy, tyle ile

³⁷ **Bronisława Fedasz** z Dybawki tak wspomina swoje wysiedlenie: ("WK" 9/93): *W roku 1940 na Sanie powstała granica... Wydano rozkaz, aby wioski położone nad Sanem wysiedlić. W marcu wysiedlono Dybawkę, Prądkowce, Mielnów i Chołowice na Korośnicę koło Drohobycza. Przydzielono na każdą rodzinę po 2 furmanki... Ojciec położył na jednej ciężko chorego dziadka Jana Czerkawskiego, matkę i dzieci oraz kilka okłódków słomy. Na drugiej meble jakie mieliśmy, sieczkarnię, beczkę, do której wsypał zboże. Do wozu przywiązał krowę... Wieziono nas do Przemyśla na Bakończyce, tam nas trzymano dwa tygodnie. Jaką mieliśmy żywność, wszystko nam wyszło, a na Dybawkę nie wolno było wrócić. Wreszcie podstawiono wagony towarowe i po dwie rodziny do jednego wagonu. Nas jechało 15 osób... I tak wieziono nas trzy dni do Drohobycza. Tam podstawiono po 2 furmanki i przewieziono nas na Korośnicę, 4 mile od Drohobycza. Tam zastaliśmy tylko zgniłe ziemniaki, a jeszcze chodziła komisja i spisywała ziemniaki i nie wolno ich ruszać bo to państwowe. Dostaliśmy gospodarstwo 3 ha ziemi... Kiedy wkroczyli Niemcy na te tereny, pozwolono nam wrócić na swoje i na swój koszt. Ojciec zabrał na jedną furmankę to co było oraz krowę. Matce i nam kazał iść piechotą do pociągu w Drohobycz... Niczym nas nigdzie nie poczęstowano, szliśmy bardzo głodni, na wieczór dotarliśmy do Drohobycza, wsiedli do pociągu i przyjechali do Przemyśla. Tu wstąpiliśmy do pani Szancer, która nas przyjęła bardzo przytulnie. Na Dybawce ogarnął nas wielki smutek. Domy porozbierane,... pola pozarastane trawami. Z naszego domu jakieś 20 % zostało: na 4 słupach był dach podziurawiony. Na wiosnę zasadziliśmy ziemniaki, wszystko ładnie rosło, aż tu w czerwcu spadł grad. Napadało ze 20 cm. I znów wszystko zniszczyło się na polu i w ogrodzie... Wszyscy chodziliśmy boso... w trawie było dużo takich drutów kolczastych z tej granicy i nieraz jak się nadepnęło na te druty trudno było nogę oderwać od ziemi... Ja wojnę pamiętam. Oby już nigdy na świecie nie było wojny.*

można zabrać jednokonną furmankę i rano żeby byli gotowi do drogi. Nikt z dorosłych ludzi tej nocy nie spał. Pakowano rzeczy. Co potrzebne? Co niepotrzebne? Ile można zabrać na jednokonną furmankę? Gdzie nas powiozą? Jaki będzie dalszy los? Te pytania dręczyły każdego. Matka i ojciec zapakowali do tobołów: odzież, obuwie, pościel, trochę żywności, najpotrzebniejszy sprzęt gospodarstwa domowego. Reszta rzeczy musiała pozostać w domu. Pozostało też zboże w skrzyniach na strychu, ziemniaki i warzywa w piwnicy, krowa, świnia i kury w stajni. Kiedy nastał ranek pod każdy dom zajechała furmanka (byli to gospodarze okolicznych wsi). Każda rodzina zapakowała swoje rzeczy i dzieci na furmankę. Dorośli szli pieszo obok wozów. Ojciec do wozu przywiązał jedną krowę (tak uczyniła większość mieszkańców Krasiczyna). Rodzinom, które w okolicznych wsiach posiadały krewnych umożliwiono pojechać do tych krewnych. Skorzystali z tego nieliczni:

Rodziny Stanisława Kozaka i Władysława Mazuryka wyjechały do swych krewnych do Zalesia. Antoni Bamburak ze swoją rodziną wyjechał do Trzcianca.

Ksiądz Proboszcz Jan Lasek na furmankę, którą mu podstawiono do dyspozycji zapakował: szaty liturgiczne, monstrancję, kielichy, chrzcielnicę, dwa obrazy które noszono na procesjach (jak zauważyłam obrazy te znajdują się w kościele w Tarnawcach),³⁸ oraz inny sprzęt potrzebny do odprawiania nabożeństw. Wraz z gospożą i SS Emeldą udało mu się wyjechać do Rokszyc.³⁹ Tu był kościół w którym mógł odprawiać nabożeństwa. Tu były rodziny, które pomogły mu w przetrwaniu okupacji sowieckiej. Pozostałe furmanki skierowano do Przemyśla. W Przemyślu ludność podzielono na dwie grupy. Tych, którzy mieszkali nad Sanem przy granicy sowiecko-niemieckiej wieziono na Bakończyce. Tutaj zrzucono wszystkie rzeczy z furmanek, furmani odjechali, a ludzie pozostali czekać na dalszy transport.

³⁸ Osiemnastowieczne obrazy, malowane przez ks. Mikołaja Tereńskiego, odnowione z ofiar dzieci pierwszokomunijnych w r. 1996, znajdują się w Krasiczynie.

³⁹ **Rozalia Lisowiec** wspomina: *Mąż z Pisarskim, ks. Laskiem i jeszcze kimś poszli do kościoła, bo Ruskie kazali wszystko księdzu zabrać do Rokszyc.*

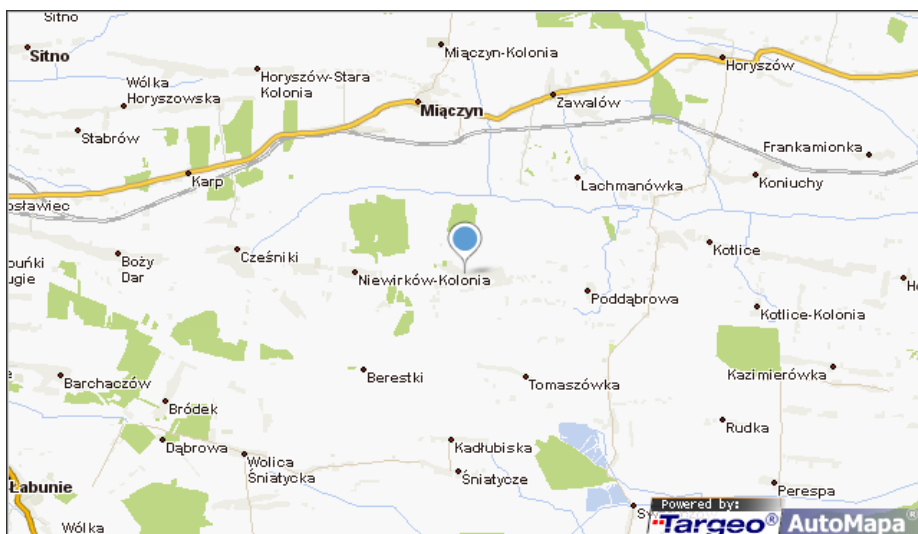
W nieznane

Czekaliśmy cały dzień i całą noc. Pamiętam, że mojemu bratu (2 lata) i mnie (5 lat) wiosenny wiatr sparzył twarze - płakaliśmy z bólu. Około południa dnia następnego nadjechał pociąg z bydłecymi wagonami. Załadowano nas do tych wagonów wraz z inwentarzem. Odjechaliśmy w nieznane.

Drugą grupę ludności Krasiczyna skierowano w górę ulicy Słowackiego w Przemyślu. Następnie Zaleszczyków i Krupów osiedlono w Hermanowicach, rodzinę Majchrowiczów w Kniażycach, a pozostałych w Żrutowicach i okolicy. (Niedaleko za obecną południowo-wschodnią granicą Polski). Ich los przedstawię w dalszej części.

Dokładnie nie pamiętam jak długo trwała nasza podróż w tych towarowych wagonach. Przypominam sobie, że pociąg jechał bardzo powoli, często się zatrzymywał, ale na terenach niezabudowanych, wśród pól, czasem jakiegoś lasu. Nie wiadomo było nigdy jak długo trwał będzie postój. Mężczyźni wyskakiwali z wagonów, ale nie mogli się od nich oddalić, bo w każdej chwili pociąg mógł ruszyć. Podczas postoju sprzątano nieczystości jakie nagromadziły się podczas podróży w wagonie (potrzeby fizjologiczne załatwiano wewnątrz wagonu), oraz karmiono krowy. Kwiecień był zimny, matka jak mogła tuliła nas do siebie. Powietrze w wagonie było jednak bardzo ciężkie, nie było czym oddychać. W takich warunkach nocowaliśmy, ale ile był tych nocy nie pamiętam. Pociąg zatrzymał się w mieście. Koniec podróży koleją. Kazano wysiąść i zabrać swoje rzeczy. Każdy pytał: Gdzie my jesteśmy? Od miejscowej ludności dowiedzieliśmy się: Na Wołyniu w Międzyrzecu⁴⁰.

⁴⁰ **Międzyrzecz** w pobliżu Korca, do 1939 roku miasteczko liczące 2 192 mieszkańców, w większości Żydów, trochę Ukraińców i niewielu Polaków, którzy mieli od 1705 r. własny kościół. Podczas wojny naziści z Równego żandarmeria i ukraińska policja wymordowała Żydów podczas kilku akcji. 22 maja 1942 roku rozstrzelano 1600 osób a dla okolicznych getto zlikwidowano 26 września 1942 (rozstrzelano 1,5 tys. osób). W 1943 r. w opuszczonych domach żydowskich chronili się polscy uchodźcy z rzezi wołyńskiej, Latem tego roku UPA wymordowała wielu Polaków.



Tutaj czekały już na nas podstawione furmanki. Podobnie jak w Krasiczynie, każda rodzina załadowała swoje toboły i dzieci na wóz, krowy przywiązano do wozów, dorośli szli pieszo obok i tak ruszyliśmy w dalszą drogę. Droga była bardzo trudna, trwały tu jeszcze wiosenne roztopy. Miejscami leżał śnieg, drogi nieutwardzone - rozmokły. Koła wozów po osie tonały w rozmiękłym gruncie. Ludzie musieli pomagać koniom i pchać wozy. Pamiętam, że moja matka idąc obok wozu co pewien czas topiła buty w błocie, musiała ich szukać rękami i wyjmować z błota. W takich warunkach podróż trwała cały dzień (ponad 20 km). Słońce miało się ku zachodowi, kiedy dotarliśmy do wsi Niewirków⁴¹ - Wola Małyńska.

Miejsce zesłania

Władysław i Ewa Siemaszko w książce *"Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939 - 1945"*, W-wa 2008 2 tomy, str. 1440 ISBN 9788360748015 zawarli spis miejscowości, w których przebywali Polscy zesłańcy.

⁴¹ Niewirków leży w gminie Międzyrzec, ma północny wschód od powiatowego miasta Równe, w województwie wołyńskim na dzisiejszej Ukrainie w odległości ok 360 km od Krasiczyna. jadąc przez Lwów i Krzemieniec, albo bardziej na północ przez Dubno.

Tu przydzielono nam pół domu, pokój i kuchnię, drugą połowę otrzymali Maciej Lisowiec z żoną Zofią, siostrą mojego ojca i ich wychowankiem Józefem Tarnawskim. Wraz z domem otrzymaliśmy wspólnie zabudowania gospodarcze: stodołę, oborę i piwnicę na powierzchni ziemi, oraz grunty rolne o łącznej powierzchni 3.80 ha.

Dom był zupełnie pusty. W kuchni trzon kuchenny z żelazną płytą, pod którą można było zapalić, zagotować wodę i przygotować jakiś gorący posiłek - po kilku dniach suchych, zimnych pokarmów. Nad drzwiami z kuchni do pokoju wisiał obraz Świętej Rodziny przy warsztacie stolarskim. Dokładnie pamiętam ten obraz i mam go do dziś przed oczyma. Nigdy nigdzie takiego obrazu już nie widziałam. Obok domu stały dwie duże sterty słomy. Ojciec przyniósł słomę do domu, rozścielił na podłodze (w domu była podłoga) i tak prze-spaliśmy pierwszą noc. Jak później opowiadali są-siedzi ukraińscy, właścicielami gospodarstwa była rodzina polska Makarewiczów. Byli to koloniści, zamieszkiwali niedługo, o czym świadczył dom drewniany, nowy, niezupełnie wykończony, oraz budynki gospodarcze w podobnym stanie.

Gospodarze byli zamożni i pracowici, zauważyć to można było na każdym kroku. Do zagrody wjeżdżało się drogą obsadzoną drzewami owocowymi dobrze utrzymanymi. Przy końcu drogi, po prawej stronie stał dom, a po lewej, w znacznym oddaleniu, obora i piwnica. Pomiedzy domem a oborą, przy sadzie znajdowała się studnia. Całość zamykała duża, kryta słomą, z bocianim gniazdem na szczycie stodoła. Od domu i obory oddzielało ją obszerne podwórze, po którym mogły swobodnie chodzić 4 konie w 2 parach i wprowadzać w ruch kierat przy omłotach lub rżnięciu sieczki. Nie brakowało tu niczego. Znajdowały się plantacje malin, truskawek i porzeczek dla własnych potrzeb. Właściciele tego gospodarstwa wcześniej zostali wywiezieni na Sybir.

O tym że rodzina Makarewiczów była rodziną polską świadczyły książki polskie znajdujące się na strychu domu. Ocalały, niepotrzebne nikomu z miejscowej ludności. Ojciec chodził na strych i znosił różne bajki, które czytał nam w zimowe wieczory. Przyniósł też elementarz, na którym uczył mnie poznawać pierwsze litery. W roku 1942 miałam

rozpocząć naukę, martwił się co będzie z moją nauką. Były też książki dla dorosłych, które czytał sam, albo mama.

Życie w Niewirkowie

Po przespanej nocy zaczęto organizować nowe życie. Poszły w ruch narzędzia: siekiery, piły (co kto miał), mężczyźni zbijali prycze z desek, stoły, ławy, które miały nam posłużyć do wyposażenia wnętrza domu. Dwa meble przywiezione z Krasieczyna to: kufer, w którym rodzice przywieźli ubrania, oraz kanapa. Teraz miała służyć jako łóżko dla mnie. Kiedy prycze były już gotowe - napelniono je słomą (sienników nie było). Na słomę prześcielono prześcieradła i dopiero pościel. Z tą słomą (jak pamiętam) były ciągłe kłopoty; prześcieradło skrecało się wraz z słomą. Słoma często się ścierała i wysypywała z pryczy, często musiano ją wymieniać.

Zamieszkaliśmy na pustkowiu. Do najbliższego sąsiada (był nim Polak miejscowego pochodzenia Pan Mędzel - młode małżeństwo z synem w moim wieku), ponad 1 km drogi. Do innych – Ukraińców (Jakubec, Sydor, Morski) jeszcze dalej. Zagrody były porozrzucane z dala od siebie. Najbliższe rodziny deportowane w te strony to dwie rodziny żydowskie od Dynowa. Pamiętam że jedna rodzina nosiła nazwisko Aszkenazy, a druga Najder, w drugiej rodzinie córka miała na imię Tołba. Z tymi ludźmi rodzice zaprzyjaźnili się. Byli oni częstymi gośćmi w naszym domu i odwrotnie. Jak się później okazało do Woli Małyńskiej deportowano dużo rodzin z Krasieczyna. Najbliżej nas mieszkali: Zybińscy, Gwiazdowiczowie, Bronisław Fedyk z żoną i dziećmi, Piotr Amarowicz z rodziną, nieco dalej: Leon Amarowicz z żoną, Stanisław Rawka z żoną i dwoma synami, Franciszek Molenda z rodziną i Siostra Leokadia.

Żelaźnica

Drugą część deportowanej ludności z Krasieczyna osiedlono we wsi Żelaźnica, rejon Międzyrzec, byli wśród nich: Stanisława Kuchar-ska (wówczas Zamorska) z matką, Antoni Amarowicz z rodziną, Bronisław Lisowiec z rodziną, Karol Szafrński z matką, Michalina

Kuczkowska z córką i dwoma synami i inni. Gdy dobiegły końca prace związane z urządzaniem domu, przyszła prawdziwa wiosna, a wraz z nią wiosenne siewy, sadzenia ziemniaków. Nikt nie był przygotowany na taką ewentualność. Nie było nasion ani sadzeniaków, a co najgorsze ani koni ani narzędzi (traktorów wówczas nie znano). Zboża ozime zasiał jeszcze dawny właściciel gospodarstwa - Pan Makarewicz, przezimowały pięknie.

Stosunki z Ukraińcami

Miejscowi Ukraińcy okazali się bardzo przychylni dla nowych osadników. Przyjechali końmi, przywieźli nasiona i sadzeniaki, oraz pomogli przy wiosennych pracach polowych. Tego nikt się nie spodziewał. Oprócz zbóż jarych, ziemniaków i warzyw mama zasiała za stodołą duży zagon lnu, drugi konopi, oraz posadziła tytoń. Interesowały mnie bardzo te rośliny, bo nigdy dotąd takich nie widziałam. Moja matka знаła się na wszystkich pracach w gospodarstwie, jak już wspominałam pochodziła z Wyszatyc. Gospodarstwo mojego dziadka Marcina Wachty, a następnie wuja Macieja to było jedno z najlepszych gospodarstw we wsi. Znała się również bardzo dobrze na wszystkich pracach domowych, bo długie lata spędziła wśród sióstr zakonnych. Siostra dziadka - Irena Maria Wachta była w zakonie i często zabierała mamę do siebie na ochronki, w których przebywała. Dzięki cioci Irenie nauczyła się gotować, piec różne ciasta, robić przetwory, prząść, haftować i robić wiele, wiele różnych rzeczy, które teraz okazały się bardzo przydatne, tutaj należało być pod każdym względem samowystarczalnym. Pracy było dużo; najpierw pielęgnacja upraw, sianokosy, następnie żniwa (ręczne – sierpami), a po żniwach omłoty, kierat na podwórzu. Nigdy nie widziałam takich omłotów, w Krasieczynie młócono cepami. Omłoty trwały w jednym gospodarstwie 2 do 3 dni, następnie kierat wraz z maszyną omłotową przewożono do następnej zagrody. Ludzie szli za kieratem świadcząc sobie wzajemną pomoc.

Życie codzienne na zesłaniu

We wsi znajdował się sklep (kooperatywa) tak go nazywano, ale po pierwsze było do niego daleko, a po drugie nie wiele można było w nim kupić: sól, cukier, zapalki, naftę, byle jakie cukierki, nawet papierosów ani tytoniu nie było. Pamiętam, że pierwszego lata mężczyźni zrywali liście z wiśni, suszyli je, siekali, robili skręty i palili je. To była namiastka tytoniu. Szczęśliwi byli, kiedy można już było zrywać liście tytoniu i z nich przyrządzać machorkę, albo z całych liści skręcać – cygaro. Bibulek również nie było, więc skręty robiono w papierze takim jaki można było zdobyć. Po przyjeździe na Wołyń ojciec wspólnie z siostrą Zofią rozpoczęli poszukiwania swojego brata Jana. Wiedzieli, że został wywieziony na wschód, ale nie wiedzieli dokąd. Myśleli że może znajdują się niedaleko siebie. Dni mijały szybko, pełne codziennych trudów i pracy. Stosunki między miejscową ludnością, a przybyszami układały się coraz lepiej. Najpierw ograniczały się one do pomocy sąsiedzkiej w pracach gospodarczych, z czasem zaczęto odwiedzać się nawzajem oraz zapraszać do siebie z okazji świąt i uroczystości rodzinnych. Z tego co zapamiętałam, oraz z późniejszych opowiadań matki wynika, że życie było tu zupełnie odmienne od naszego.

Mieszkanie składało się z jednej dużej izby, w której nie było podłogi, tylko równo ubita ziemia. W izbie tej było jedno, lub dwa łóżka starannie zasłane ze stosem haftowanych poduszek (często po sam sufit). W kątach izby wisiały obrazy święte, przystrojone haftowanymi ręcznikami. Pod ścianami wokół izby stały ławy, przy jednej ścianie bardzo duży piec, a pośrodku duży stół. Łóżka nie służyły do spania, ale wyłącznie do wystroju wnętrza. Ławy służyły do siedzenia i do spania latem. Zimą cała rodzina spała na piecu. Kuchni do gotowania potraw w izbie nie było. Potrawy gotowano w piecu. Taki piec przypominał piec do pieczenia chleba, lub obecny kominek, tylko usytuowany na takiej wysokości, że gospodyni mogła swobodnie przy nim pracować. Przed piecem stał przypiecek - coś w rodzaju murewaney ławy na którą stawiano potrawy przygotowane do gotowania i już gotowe, wyjęte z pieca. Do gotowania potraw służyły wysokie

garnki z dwoma uszami zwane - hładiszki. Gospodyni paliła w piecu następnie odgartywała ogień na boki i tył (tam nadal się paliło), a na nagrzaną spód pieca wstawiano przy pomocy wideł dwójek - specjalne do tego celu - garnki hładiszki. Tak gotowano wodę, mleko, wszystkie potrawy. W piecach tych wypiekano również chleb i inne pieczywo. Cała rodzina spożywała potrawy z jednej misy, jeśli w domu podejmowano gości, to też podawano jedną misę dla kilku osób. Najczęściej podawaną potrawą na przyjęciach była – sałamacha (gęsty zawieszisty sos z kawałkami różnego rodzaju mięs), maczano w niej kawałki chleba, chlebem nabierano mięso i tak ją konsumowano. Najpopularniejszym pieczywem były - korżyki (drobne bułeczki z ciasta drożdżowego z różnego rodzaju nadzieniem - z serem, makiem, suszonymi owocami, a nawet z buraczkami ćwikłowymi i fasolą), pamiętam że bardzo smakowały mi te korżyki. Minęły wykopki i siewy jesienne.

W jesieni matka zaczęła moczyć wcześniej wybrany len i konopie i międlić je. Kiedy uporała się z tą pracą ojciec wywiózł część włókna do przędzenia, a część mama przędła sama - ręcznym wrzecionem (wrzeciono to mam do dziś). Z uprzedzonych nici miejscowy tkacz utkał płótna. Z konopnego płótna mama poszyła sienniki - rozpoczęło się luksusowe spanie. Lniane wiosną bielila na słońcu na prześcieradła i odzież. Z siemienia lnianego i konopnego u miejscowych rzemieślników tłoczono olej, który służył do przygotowywania potraw.

Siostra zakonna - Leokadia mieszkała jak już wspomniałam -w Woli Małyńskiej, ale w znacznym oddaleniu od nas. Musiała zdjąć habit zakonny. Nosila prostą suknię i włosy związane przepaską do tyłu. Była parę razy w naszym domu. Stawiała mamie bańki w czasie choroby.

Nadszedł grudzień a z nim Święta Bożego Narodzenia. Za oknami leżał śnieg, ale nie mogłam pogodzić się z tym, że w domu nie ma choinki, nie chodzą kolędnicy - jak bywało w Krasieczynie. Wprawdzie w domu śpiewano kolędy, ale nastrój świąt był smutny.

W styczniu albo w lutym (dokładnej daty nie pamiętam) 1941 roku przyszedł list od brata ojca - Jana. Stryj donosił, że są z rodziną na Uralu, że bardzo ciężko pracują i ślepną z głodu. Opisał też drogę na Sybir, jaką odbyli w ostrą zimę 1940 roku. W czasie podróży w bydlęcych wagonach z zimna i głodu zmarł ich najmłodszy synek. Nie mogli go normalnie pochować tylko podczas jakiegoś postoju pociągu zagrzebali go w śnieg przy torach kolejowych. List był okropny, wszyscy chodzili przygnębieni. Zaczęli przygotowywać paczki, ażeby wysłać na Sybir. Ojciec ze swoją siostrą przygotowali kilka paczek z żywnością (mąka, kasze, słonina, cukier), co mogli i wysłali je. Jak się później okazało dotarły do nich jedna, albo dwie paczki, reszta zaginęła w drodze.

Przed świętami Wielkanocnymi 1941 roku mama miała pełne ręce roboty. Miejscowe kobiety zobaczyły pisanki jakie mama pisała – piękne, kolorowe. W tych stronach pisanek nie znano. Zaczęto mamie znosić jaja na pisanki. Mama siedziała pisała i pisała. W zamian za te prace znoszono jej różne podarki (jaja, słoninę, miód, masło), co kto miał w domu. W dniu 14 lipca 1941 r. przyszła na świat moja siostra. Urodziła się 2 dni przed świętem Matki Boskiej Szkaplerznej, wszyscy orzekli że będzie miała na imię Maria. Takie imię sobie przyniosła. Chrzest siostry musiano odłożyć, ponieważ rozpoczęły się żniwa. Do prac żniwnych szliśmy całą rodziną, łącznie z nowonarodzoną siostrą. Matka z ojcem pracowali przy żniwach, a ja z bratem bawiliśmy się, oraz zajmowali siostrą. Spała ułożona pod mendlem zboża. Musiałam pilnować, żeby słońce na nią nie świeciło, albo żeby nie płakała. Przywołana mama, karmiła ją, przewijała i ponownie układała w cieniu pod mendlem. Po zakończeniu prac żniwnych ojciec wynajął furmankę i pojechaliśmy do kościoła rzymsko-katolickiego w Niwirkowie, ochrzcić siostrę. Rodzicami chrzestnymi zostali Zofia Zybińska (żona Bronisława) i Maciej Lisowiec. Ksiądz śmiał się, że niemowlę jest opalone, poznać żniwiarza.

Coraz częściej docierały do nas wieści, że toczy się wojna między Niemcami a Rosją. Wieści te przekazywano z ust do ust, o dokładne

informacje było trudno (brak radia i prasy). Jesienią (chyba we wrześniu) pewnego dnia wieczorem rodzice zauważyli, że obok naszego domu przebiegło dwóch rosyjskich żołnierzy. Śpieszyli się bardzo. Uciekali na wschód. Następnego dnia w Woli Małyńskiej pojawili się Niemcy.

Życie na zesłaniu pod okupacją niemiecką

Życie stało się bardzo trudne. Pozamykano wszystkie młyny. Ludzie zaczęli majstrować żarna. Odtąd zboże na chleb czy inne potrawy mielono na żarnach. Żołnierze niemieccy chodzili po domach i pytali czy jest "szpek" (słonina, boczek - mięso wieprzowe). Miejscowi ludzie nie wiedzieli o co chodzi – tłumaczyli się jak mogli że żadnego szpiega nie ma. Niemcy, jeśli gdzieś znaleźli mięso wieprzowe, to je zabierali. Zakazano ludziom hodowli świń (nie wiem dlaczego).

Zaczęto organizować Getta dla ludności żydowskiej. Do Getta w Międzyrzeczu zabrano naszych sąsiadów od Dynowa. Córcie Aszkenezego udało się zbiec - przyszła do nas. Ukrywała się w plantacji malin obok domu, a na noc mama wpuszczała ją na strych i tam spała. Chodziła też do innych sąsiadów Polaków (musiała unikać Ukraińców żeby jej nie wydali Niemcom). Opowiadał mi pan Kazimierz Zybiński, że przychodziła również do nich i tam przez miesiąc się ukrywała. Na imię miała Szańcia. Pamiętam, że była bardzo ładną dziewczyną w wieku 16-17 lat. Miała ładne błęde warkoczki. Nie wiem jaki spotkał ją dalszy los.

Po wkroczeniu wojsk niemieckich na Wołyń miejscowa ludność zmieniła swój stosunek do osiedleńców. Na przykład: przyszli sąsiedzi do sadu i obrywają jabłka, kiedy ojciec zapytał dlaczego tak robią, otrzymał odpowiedź: "to nie wasze - to Makarewicz". Po zorganizowaniu Getta zaczęli mówić: "Polacy i Żydzi na jednej desce stoją – skończą się Żydzi -zaczną się Polacy". O pomocy sąsiedzkiej nie było już mowy.

Nadchodziła zima, a z nią coraz większe trudności. Kończyła się odzież i obuwie. Z moich ubrań i butów, z których wyrosłam, mógł jeszcze korzystać mój brat, a ja miałam już braki. Braki w odzieży i

obuwia zaczęli odczuwać dorośli. Późną jesienią, kiedy mróz ścisnął ziemię i nie pozwalał już pracować w polu mama zaczęła do domu znosić słomę i splatać z niej cienkie warkoczyki. Kiedy ojciec zapytał ją, co robi? Odpowiedziała, że będzie szyć buty. Śmiał się z niej, ale ona pracy nie przerwała. Kiedy miała już dostateczną ilość warkoczy, zaczęła szyć szarymi nićmi buty (podobnie jak koszyczki do wypieku chleba, albo słomiane beczki - miejscowa ludność w takich przechowywała soloną słoninę i mięso). Buty udały się. Matka i ojciec całą zimę w obejściu gospodarskim nosili takie buty. Miejscowi ludzie też nie mieli obuwia, pamiętam, że w zimie owijali nogi różnymi szmatami, przywiązywali je do nóg sznurkami lub rzemykami i tak chodzili. Latem nosili sandały z łyka lipowego zwane - pustoly, albo chodzili boso. Życie na obczyźnie biegło normalnym torem. Jedni umierali, drudzy się rodzili. Zawierano małżeństwa, wyprawiano wesela, chrzciny (choć skromne - przy "bimberku", ale wyprawiano).

Jan Osiega wyuczył się od miejscowych specjalistów nowego zawodu – pędzenia bimbru. Zmajstrował odpowiednie urządzenia i zawsze był gotowy do świadczenia usług w tym zakresie (innego alkoholu nie było). Tę umiejętność przywiózł Osiega po powrocie do Krasiczyna.

Szczególnie niepomyślny los spotkał Piotra Amarowicza. Jechał na Wołyń z liczną rodziną, a tu w ciągu jednej zimy 1941/42 zmarł mu ojciec, później żona, pozostawiając nowonarodzone dziecko, następnie teściowa i ostatnie zmarło niemowlę. Zima była ostra, spadł duży śnieg, ziemia zamarzła bardzo głęboko. Mężczyźni szli kolejno kopać groby jeden po drugim. Nie było to takie łatwe, kuć ziemię jak beton przy silnym mroźnym wietrze. Pan Piotr pozostał sam z dwoma córkami (Stanisława 6 lat i Zofia 5 lat) oraz z gospodarstwem. Warunki życia zmusiły go do założenia nowej rodziny. Pojął za żonę Władysławę Gwiazdowicz. Z jej siostrą Stanisławą, też na Wołyniu, ożenił się Kazimierz Zybiński. Wysiedleńcy zawierali małżeństwa nie tylko między sobą, ale też mieszane z miejscową ludnością. Np. Karol Szafrński ożenił się z panną miejscowego pochodzenia - Kamilą

Tiszer. Panna Janina Ligejza wyszła za mąż za Wincentego Zalewskiego - rodaka z Wołynia. Mieli oni jednak pochodzenia polskie. Młodzież ukraińska niechętnie spoglądała na młodzież polską i odwrotnie.

Życie pod okupacją sowiecką w Krasieczynie

Historia Krasieczyna z okresu II wojny światowej pod okupacją sowiecką nie byłaby pełna gdybym pominęła w niej życie mieszkańców oko-licznych wsi, oraz tych którzy wysiedleni zostali do Żrutowic (lata 1939-1941). Ze wspomnień Heleny Bobek wynika, że ksiądz Jan Lasek zamieszkał w Rokszycach w rodzinie Marii Olszańskiej (rodzina bezdzietna) oraz w rodzinie Jana Sawickiego. Zmieniał miejsca zamieszkania (musiał się ukrywać). Sowieci często go szukali. Prawdopodobnie mieli zamiar księdza zabić. Teraz nabożeństwa odbywały się w kościółku w Rokszycach. Wszyscy ludzie wyznania rzymskokatolickiego z okolicznych wsi uczęszczali na msze św., nabożeństwa majowe i różańcowe do Rokszyc. Ks. Lasek wypisywał metryki chrztów, zawarcia małżeństw i rozdawał je swoim parafianom mówiąc, że księgi parafialne mogą zaginąć w tej zawierusze, albo zostać zniszczone. Dobrze byłoby, aby każdy zachował metryki. Helena Mazuryk z Komary posiada je do dziś⁴².

Do Krasieczyna, Śliwnicy, Tarnawiec, Dybawki wstęp był całkowicie zabroniony - strefa przygraniczna. Helena Mazuryk posiadała stałą przepustkę, na podstawie której miała prawo wstępu do Krasieczyna. Rosjanie mieszkali w Krasieczynie całymi rodzinami. W jednym domu mieszkali, a inne rozbierali, drewno z rozbiórki przeznaczali na opał. Ona handlowała z Rosja-nami. Sprzedawała im mleko, śmietanę, masło, ser, jaja, ażeby zdobyć ruble na zakup innych produktów potrzebnych do prowadzenia domu. W kościele nigdy nie była i nie wie jak wyglądał kościół w tym czasie. Domy w których mieszkali Rosjanie przedstawiały widok okropny - w jednej części domu mieszkali, a w drugiej załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne.

⁴² Szeroko o tym pisze A. Fenczak „Śliwnica...” str. 103 i nast.

Raz udało się jej być w zamku. W całym zamku unosił się jeden fetor - fetor odchodów ludzkich. Za ubikację służyła również kaplica zamkowa.

Wojska radzieckie zaczęły umacniać swoje pozycje wzdłuż brzegów Sanu. W tym celu rozpoczęto budowę bunkrów (które stoją do dziś). Do budowy zaangażowali całą cywilną ludność okolicznych wsi - do pracy musiały iść nawet młode dziewczynki. W domach pozostali tylko starcy i dzieci. Właściciele koni musieli stawić się na placach budów z zaprzęgami konnymi. Pracowano od rana do późnych godzin popołudniowych, bez żadnego posiłku, napoju, obroku dla koni i bez wynagrodzenia. Sowieci przystąpili też do organizowania kołchozów w okolicznych wsiach. W Zalesiu do kołchozu zabrano wszystkie grunty - skumulowano je i zaczęto kolektywnie uprawiać. Pierwszym "hołową selrady" i "hołową kołchozu" (sołtysem wsi i przewodniczącym kołchozu) został wybrany Józef Kurecki (ojciec Bronisława). Niedługo pełnił tę funkcję. Za jakieś drobne przewinienie oddano go do sądu, został skazany na karę więzienia - jego miejsce zajął Franciszek Rodzeń z Poręby.

Stanisław Kozak pracował w tym czasie w fabryce im. Kirowa. Fabryka ta mieściła się w Przemyślu na Bakończycach przy ul. Jasińskiego w pomieszczeniach, które ostatnio zajmował Państwowy Ośrodek Maszynowy. Do pracy z Zalesia dojeżdżał rowerem. Przez las przez Prątkowce - do Przemyśla i na Bakończyce. Zarobki były dobre, sklepy sowieckie miały dobre zaopatrzenie - opłacało się pracować. Najgorsza była dyscyplina pracy. Za bardzo błahe przewinienia pracowników stawiano przed sądem. Sąd karał bezwzględnie, skazywano ludzi na kary więzienia, bezpłatne przymusowe roboty, lub zsyłkę na Sybir. Sędziowie to Żydzi - z Przemyśla, Dobromila i Sambora. Pan Stanisław też znalazł się przed sądem za to, że spóźnił się do pracy 20 minut. Obronił się tym, że do pracy dojeżdża daleko rowerem. Wyjechał z domu o zwykłej porze, ale w drodze zepsuł mu się rower co było powodem spóźnienia. Spodziewał się, że sąd nie

weźmie pod uwagę jego usprawiedliwienia i czeka go surowa kara. Nie wie do dziś czemu zawdzięcza uniewinnienie.

Wojska sowieckie zostały zaskoczone atakiem wojsk niemieckich w czerwcu 1941 r. Uciekali z rodzinami z domów w nocnej bieliźnie. Mieszkańcy Zalesia obserwowali ten obraz z lasu w Prałkowcach. Dom rodzinny Kozaków ocalał, mieściła się w nim pralnia – wmontowane były duże kotły pralnicze. Na opał rozebrano stodołę. Po powrocie z Zalesia zastali tylko dach na czterech słupach. Oszalowali stodołę deskami z ławek po teatrze letnim pozostawionymi przez Rosjan w parku.

Na zesłaniu w Żrutowicach

Jak już wspomniałam wcześniej część mieszkańców Krasieczyna została wywieziona do Żrutowic⁴³ i okolicznych wsi. O pobycie w Żrutowicach tak opowiada Stanisław Zwoliński:

W Krasieczynie na (Komarze) pozostawiliśmy dom rodzinny, drewniany, taki, jakich większość znajdowała się tu przed II wojną światową. Dom był mały, ale dwurodzinny. Po jednej stronie domu mieszkała Pani Anastazja Prokopska z dwoma synami (Władysławem Stecykiem i Adamem Prokopskim) a po drugiej stronie nasza rodzina (rodzice i ja z bratem Józefem). Tak jak w Krasieczynie, dwurodzinny dom otrzymaliśmy w Żrutowicach z tą różnicą, że był to dom nowy, okazały, obok domu znajdowały się dwa piękne stawy. Właściciel tego domu Chomka został wraz z rodziną deportowany na Sybir. Jednemu z synów Chomki udało się zbiec z trans-portu, ukrywał się. Często przychodził do rodzinnego domu i miał żal do nas, że my go zajmujemy. Ojciec Stanisława, Antoni tłumaczył mu: "cóż ci chłopie poradzę, ja też musiałem opuścić swój dom - nie wiem co się z nim dzisiaj dzieje. Tym, co w Krasieczynie posiadali dobre, piękne domy w Żrutowicach i okolicy przydzielono domy bardzo złe i odwrótne, ci

⁴³ **Żrutowice** wieś licząca ok. około 530 mieszkańców. przed II wojną należała do pow. przemyskiego, obecnie w obwodzie starosamborskim. na Ukrainie,

którzy w Krasieczynie posiadali domy byle jakie, tu otrzymali najlepsze. Najgorszy los spotkał rodzinę Marii i Józefa Krzysików. W Krasieczynie przed wojną byli właścicielami pięknego domu. Żyli zamożnie, ogólnie ich szanowano. Pan Józef śpiewał w chórze kościelnym. Tutaj otrzymali lepiankę nad potokiem. Lepianka wykonana była ze słomy plecionej w warkocze, owijanej na drewniane pale oblepiona gliną i pokryta słomą. Żyli w skrajnej nędzy.

Nie można nic złego powiedzieć o miejscowej ludności. Pomogła przybyłym obsiać i obsadzić pola. Najwięcej zainteresowania przesiedleńcom okazał miejscowy sołtys. Tym, którzy nie mieli swojego inwentarza, darowano krowy, albo cielęta. Cielętko otrzymała również rodzina Zwolińskich. Nie panował tutaj żaden rygor. Kto chciał mógł uprawiać rolę i zajmować się hodowlą, a komu to nie odpowiadało, mógł pracować w swoim zawodzie. Nie zakładano kolchozów. Ojciec Stanisława Zwolińskiego pracował w Sowieckim Zakładzie Szewskim w Przemyśle. Cały czas przebywał poza domem - mieszkał w Przemyśle. W zakładzie panowała surowa dyscyplina - musiał się jej podporządkować. Przede wszystkim nie mógł się spóźnić do pracy, bo za to karano najsurowiej. Do żony i dzieci przyjeżdżał raz w miesiącu, albo raz na dwa miesiące. Przyjechał, zostawił pieniądze i szybko wracał do pracy.

Nasz pobyt na wygnaniu nie trwał długo 14 a może 15 miesięcy. Latem 1941 roku (w czerwcu, a może na początku lipca) do Żrutowic wkroczyli Niemcy. Ojciec przeprowadził rozeznanie, że nasz dom w Krasieczynie stoi cały i podjął decyzję powrotu. Kiedy przyjechaliśmy do Krasieczyna (wynajętą furmanką) okazało się, że ktoś w nocy podpalił nasz dom. Dogasał ogień, tliły się jeszcze ostatnie belki. Do dziś nie wiadomo kto był tak dowcipny? Ktoś z miejscowej ludności - czy okolicznych wsi? Rodzina Zwolińskich zamieszkała w czworaku, który stał przy drodze w miejscu, gdzie dziś pobudowane są nowe domy rodziny Majchrowiczów.

W tym samym czasie udało się powrócić do Krasieczyna Józefowi Krzysikowi z żoną. Ich dom ocalał, ale oni byli już sterani życiem –

nie-dołężni. W Krasieczynie panował okropny głód. Nie mieli skąd zdobyć żywności. Żona najpierw straciła wzrok i nie podnosiła się już z łóżka - bo i po co? Nic nie widziała, gotować nie miała co - więc leżała. Mąż chodził pomiędzy ludzi, udało mu się czasem dostać coś do jedzenia. Wracał do domu i kładł się do łóżka obok żony. Żona zmarła z głodu, a on o tym nie wiedział, jeszcze dwie noce spał z trupem żony. Po śmierci żony samotnym Józefem zaopiekowała się rodzina Majchrowiczów. Choć sami byli w trudnej sytuacji to jednak otrzymywał od nich regularnie jedzenie i tak dożył normalnej śmierci. Jego dom został spalony przez UPA podczas napadu na Krasieczyn. Pan Stanisław opowiada, że głód był nie do zniesienia. Jego rodzina korzystała z darmowej zupy dla głodnych, ale tą zupą nie można było zaspokoić głodu. W lesie na Komarze, nad domem Pańczyszynów rosły borówki. Pan Stanisław cały dzień zbierał borówki - ubierał pełne wiadro. Borówki te sprzedał Anieli Dębickiej (matka Zofii Szuban) za 1 kg mąki. Mąki tej matka nie zużyła od razu tylko trzymała i używała po łyżce do zagęszczania zup. Ludzie wynosili z domów co jeszcze mieli wartościowego i jeździli daleko (pociągami na gapę), aby zdobyć trochę mąki, ziemniaków, kawałek chleba.

Co słychać w Krasieczynie ?

Zimą ludzie wysiedleni na Wołyn zaczęli interesować się co się dzieje w Krasieczynie? Kilka młodych osób, wśród nich również wychowanek Zofii i Macieja Lisowców - Józef Tarnawski wyruszyło w drogę zobaczyć Krasieczyn i przeprowadzić wywiad co się w nim dzieje. Długo musiano czekać na powrót tej grupy młodzieży, która udała się do Krasieczyna. Droga była bardzo niebezpieczna. Wyruszyli bez żadnego środka lokomocji, zdani na własne nogi i przygodne pojazdy. Mieli do przekroczenia, w jedną i drugą stronę, granicę niemiecką. Niemcy, pomimo że posuwali się z frontem coraz bardziej w głąb Rosji, utrzymywali za sobą, na tyłach, granicę, której pieczołowicie strzegli. Przekroczenie tej granicy, jeśli wpadłoby się w ręce Niemców, groziło śmiercią, albo innymi sankcjami karnymi (obóz, wy-wózka do Niemiec).

Jeszcze jedna przeszkoda w tej podróży, to łapanki, jakie organizowali Niemcy, na młodych ludzi i wywozili ich na przymusowe roboty do Niemiec. Dlatego musieli zachowywać szczególną ostrożność. Sprzyjała im je-dynie młodzieńcza brawura. Udało się. Po kilku (może kilkunastu - nie pamiętam dokładnie) tygodniach, po przeżyciu wielu przygód, powrócili wszyscy - cali i zdrowi. Radości nie było końca, a jeszcze więcej opowie-daniom i pytaniom. Dowiedzieliśmy się, że w Krasieczynie pozostały tylko nieliczne domy. Większość została rozebrana przez Sowietów. Powrócili też do Krasieczyna ludzie, którzy zostali wysiedleni do pobliskich miejscowości. W Krasieczynie i okolicy panuje głód, ludzie nie mają żadnej żywności, chorują, umierają i szerzy się epidemia tyfusu. Moja matka dowiedziała się, że nasz dom stoi - ocalał. Zamieszkał w nim brat ojca, Władysław Mazuryk. Dom rodzinny Mazuryków na Komarze Sowietci rozebrali, więc po powrocie z Zalesia zajął nasz.

Decyzja powrotu do domu

Matka podjęła natychmiastową decyzję powrotu do domu. Nikt i nic nie było w stanie odwieść jej od tego celu. W domu zapanowała nieprzyjemna atmosfera Ojciec nie chciał słyszeć o powrocie. W końcu któregoś dnia mama powiedziała: "Zabieram najmłodsze dziecko (7 miesięcy) i o żebraczym chlebie wracam do Krasieczyna". Otrzymała odpowiedź ojca: "Masz ty tak zrobić, to ja cię zawiozę na miejsce, ale żebyś nie żałowała jak będziesz głodować, tu ci chleba nie brakuje". Ponieważ dom Macieja Lisowca też ocalał, oni również podjęli decyzję powrotu. Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do podróży. Wiadomo było jedno: najważniejsze co należy ze sobą zabrać to żywność (zboże, ziemniaki), ale jak to zabrać? Postanowiono, że wracać będziemy furmankami. Do naszych dwóch rodzin dołączył jeszcze Bronisław Lisowiec z żoną i dwójką dzieci (oni byli wywiezieni do Żelaźnicy). Mężczyźni wymienili z miejscowymi gospodarzami krowy na konie. Wysprzedano wszystko, co tylko można było sprzedać, a za pieniądze zakupiono wozy i uprząż dla koni. Pożegnaniom z miejscową ludnością nie było końca. Każdy, kto

przychodził, upominał się o "hostinec" - podarunek, prezent na pamiątkę, a już nie było co darować. Ale mama jakoś sobie radziła. Tej dała maślniczkę do robienia masła, tamtej łyżkę i widelec - dawała co mogła, aby wszystkich zadowolić. Tak w pierwszych dniach kwietnia 1942 r. po 2 latach na obczyźnie, stanęły gotowe do drogi 3 furmanki jednokonne - trzech rodzin z całym dobytkiem.

Wyruszyliśmy w drogę do domu, drogę długą, nieznaną, pełną prze-różnych przygód. W pierwszym dniu podróży stanęliśmy w Międzyrzecu. Wypadło nam przejeżdżać popod ogrodzenie Getta⁴⁴. Zauważyli nas nasi sąsiedzi - Żydzi zgrupowani w Getcie. Przybiegli do drutów kolczastych wynędniali, głodni. Za nimi przyszli Żydzi z Krasiczyna. Żegnali nas wszyscy ze łzami w oczach. Mówili, że utracili wszelką nadzieję powrotu do domu. Kobiety podzieliły z nimi chleb przygotowany dla nas na drogę. Przykre i smutne było to pożegnanie - cóż można było dla nich zrobić? Musieliśmy jechać dalej. Po kilku dniach tułaczki skierowano nas do dużego majątku ziemskiego (miejscowości nie pamiętam), właścicielką była samotna kobieta, narodowości ukraińskiej. Tutaj zgrupowanych już było ponad 20 furmanek uchodźców podobnych do nas (z Kupnej, Bachowa i innych miejscowości - terenów przygranicznych sowiecko-niemieckiej granicy). Na dużym placu zebrano wszystkie furmanki i mężczyzn. Kobiety i dzieci skierowano do dużej izby czeladniczej. Warunki w tej izbie były przeokropne. Wszyscy spali pokotem na wy-

⁴⁴ W 1941 r. w Międzyrzecu w okręgu Równe, żyło 2100 w tym żydowscy „uchodźcy” (tak podaje autor art.) z Polski. Komisarzem niemieckim był Regierungsrat Beer. Akcje eksterminacyjne przeciwko Żydom przeprowadzał oddział SD z Równego przy współudziale niemieckiej żandarmerii i ukraińskiej policji. Żydzi byli kierowani do ciężkich robót bez prawa do wynagrodzenia, zakazano im opuszczać miejscowość, były grabieże oraz pobicia przez ukraińską policję. 22 maja 1942 r. oddział SD ze Równego rozstrzelał około 1600 osób pochodzenia żydowskiego. Wkrótce potem do getta przesiedlono Żydów z okolicznych wsi. Getto zlikwidowano 26 września 1942 r., gdy rozstrzelano ok. 1500 Żydów. M. Czajka wg strony: <http://www.sztetl.org.pl/pl/city/miedzyrzec-korecki/>

tartej brudnej słomie. Nie było czym oddychać. Nie pozwolono nam opuszczać tego miejsca dopóki nie otrzymamy specjalnych rozkazów.

Ojciec poszedł do właścicielki tego majątku prosić żeby nas przyjęła do dworu (ze względu na małe dziecko). Obiecał, że mama będzie jej pomagać we wszystkich pracach domowych. Zgodziła się, zamieszkaliśmy z mamą w jednym małym pokoiku we dworze. Ojciec dzień i noc spędzał przy furmance. Mama prała, prasowała, przygotowywała posiłki, ja musiałam zajmować się siostrą. W tym majątku pewnego dnia Niemcy urządzili łapankę na młodych ludzi celem wywiezienia ich na roboty przymusowe do III Rzeszy. Józef Tarnawski (wychowanek Macieja Lisowca) wpadł do dworu, szukając schronienia. Mama schowała go pod ławkę, ławkę przykryła chustą i usiadła na niej karmić dziecko. Mojego brata i mnie wysłała do ojca, nakazała nam nie odstępować go ani na krok. Udało się - nikogo z naszych trzech rodzin nie zabrano. Po kilku dniach otrzymaliśmy ten specjalny rozkaz. Kazano wszystkim wracać na miejsca skąd wyruszyli w drogę. Nasze wszystkie trzy rodziny postanowiły nie podporządkować się temu rozkazowi i nadal kontynuować powrót do domu.

Jechaliśmy jak koczownicze plemię. Bywało różnie: w niektórych wsiach pozwolono nam przenocować u kogoś w stodole, w domu ugotować jakąś ciepłą stawę, ale bywały i takie, że nawet nikt do studni nie pozwolił dostąpić i wody nabrać. Musieliśmy spać za wsią na wozach. Mężczyźni w nocy na przemian pełnili warty. Myliśmy się w rzekach lub potokach. W rzekach i potokach robiono pranie, potrawy kobiety gotowały na ogniskach. Po kilku tygodniach takiej podróży, dojechaliśmy w pobliże granicy niemieckiej. Nie można było dalej jechać, trzeba było najpierw rozeznaczyć sytuację, jakie istnieją możliwości przekroczenia tej granicy. Zatrzymaliśmy się we wsi Krupiec⁴⁵.

⁴⁵ Krupiec to miejscowość gminna w powiecie Dubno, w województwie wołyńskim. Przed wojną Dubno liczyło 15,5 tys. mieszkańców, w tym 45% Żydów, 29% Ukraińców i 26% Polaków. Po zajęciu przez ZSSR, we wrześniu 1939 r. Rosjanie dokonali masakry więźniów, a po 25 czerwca 1941 r. Niemcy pogromu Żydów. Getto liczyło 12 tysięcy mieszkańców. Zlikwidowało je etapami gestapo z Równego. (patrz przypis wcześniej-

Po wstępnych rozeznaniach okazało się, że legalne przekroczenie granicy jest niemożliwe. Musieliśmy się zatrzymać w tej wsi na dłużej. Z zakwaterowaniem nie było żadnych problemów. Każdy z gospodarzy prosił żeby zamieszkać u niego. Nikt nie wiedział dlaczego są nam tak przychylni. Jak się później okazało to we wsi nie było ani jednego konia, wszystkie zabrali Niemcy. W gospodarstwach, pomimo że był już maj, nie wykonano żadnych prac wiosennych. Nasze konie umęczone podróżą ruszyły do pracy na roli. Narzędzia rolnicze były niemal w każdym gospodarstwie (nie było jedynie koni), było więc czym pracować. Siostra Ojca - Zofia Lisowiec знаła dobrze język niemiecki, zaczęła więc chodzić (zabierając ze sobą drugą osobę) do strażnicy przygranicznej, aby rozeznaczyć sytuację. Może uda się przekupić Niemców, lub użyć jakiegoś podstępu i tę granicę przekroczyć. We wsi Krupiec spędziliśmy dwa tygodnie. Zdawało się, że sytuacja jest całkiem beznadziejna, że tej granicy nie przekroczymy nigdy. Niemcy budowali tutaj drogę asfaltową, codziennie do pracy przywozili jeńców i ci pracowali przy budowie. Żołnierze niemieccy pilnowali tych jeńców. Zbliżyć się do nich nie było można. Wieczorem ich odwozili. Nie wiem jakiej narodowości byli ci jeńcy.

Sytuacja życiowa krasiczyńskich Żydów w getcie

Ze wspomnień Stanisławy Zybińskiej (żony Kazimierza) wynika, że po naszym odjeździe z Woli Małyńskiej w Międzyrzeczu los Żydów uległ pogorszeniu z dnia na dzień. Najbardziej dokuczał im głód, następnie brak podstawowych środków do utrzymania czystości (mydło, proszek do prania) i lekarstw. Zaczęły szerzyć się różne choroby, najpierw wśród dzieci, a następnie również wśród dorosłych. Kobiety krasiczyńskie organizowały (indywidualnie) pomoc dla mieszkańców getta, aby mogli przetrwać te trudne chwile. Stanisława raz lub dwa razy w tygodniu przygotowywała żywność (chleb, mąkę, kaszę, jakiś

szy) W 1943 roku do Dubna ewakuowali się polscy uchodźcy z rzezi wołyńskiej. 28 lutego 1944 Niemcy ewakuowali polskich mieszkańców do Brodów, a stamtąd wywieźli do Rzeszy na roboty.

tłuszcz, czasem kawałek mięsa, lub parę jaj, mleko dla dzieci), tyle ile mogła unieść i szła piechotą do Międzyrzecza do Getta. Żywności miała mało, niosła ją dla sąsiadów i znajomych, a tu ze wszystkich stron wyciągały się błagalnie ręce. Każda Żydówka prosiła, aby szła do niej. Z trudem mogła donieść swój pakunek do miejsca przeznaczenia.

Pewnego dnia idąc do Międzyrzecza zauważyła przy drodze prowadzącej do miasta (wysadzaną z obu stron drzewami), mężczyzn kopiących jakiś dół. Pracę nadzorowali Niemcy. Nie wiedziała co kopią, nie interesowała się tą pracą i nikt jej nie zatrzymywał. Spokojnie doszła do getta. W getcie panował popłoch i duże zdenerwowanie. Wszyscy na przemian opowiadali jej, że wczesnym rankiem przyszli do getta Niemcy i zabrali wszystkich mężczyzn. Nie wiadomo gdzie ich poprowadzono i po co? Jak mogła uspokajała kobiety i dzieci mówiąc, że widziała po drodze grupę mężczyzn pracujących przy jakichś wykopach - to chyba oni. Wróciła do domu pełna niepokoju. Jej również udzielił się nastrój mieszkanki getta. Mechanicznie przygotowała nowy zapas żywności i następnego dnia wyruszyła ponownie w drogę do getta. Przechodząc obok miejsca, w którym po-przedniego dnia kopano dół zauważyła, że dół jest zasypany świeżą ziemią. Podeszła do tego miejsca, wydało się jej jakieś dziwne. Świeża żółta glina poruszała się jakby kryła pod sobą iskierki jakiegoś życia, szybko poszła w dalszą drogę.

Kiedy przyszła do miasta, miasto również wydało się jej jakieś opustoszałe i ciche. Jeśli na ulicy pokazał się przechodzień to szedł szybko i znikał w bramie domu. Nie wiedziała, co to wszystko znaczy? W getcie zastała zupełną pustkę, bez żadnego mieszkańca. Nikt już nie wyciągnął ręki po jej żywność. Teraz zrozumiała jak okropna zbrodnia została popełniona. Ziemia, nad którą stała przed chwilą kryła ciała wszystkich mieszkańców getta. Tak zginęli nasi sąsiedzi Żydzi od Dy-nowa rodziny Aszkenzych i Najderów, oraz Żydzi deportowani wraz z nami z Krasieczyna - córka Dona z małym dzieckiem na ręku.

Z trzech córek Abramojsia, Maniucha zginęła w getcie, natomiast Esterze i Hance udało się uratować. Stanisława Kucharska (Zamorska) uzupełnia wspomnienia Pani Zybińskiej. Ona była jedną z tych kobiet, które dostarczały żywność Żydom do Getta w Międzyrzecu. Mówi, że nie zawsze można było wejść na teren getta. Niemcy pilnowali bram, czasem byli tacy, którzy tolerancyjnie patrzyli na osoby wchodzące do getta, ale byli i surowi, którzy gotowi byli strzelać do przybyszów. Ludzie już znali Niemców i wiedzieli kiedy jak postąpić. Jeśli nie można było wejść na teren getta, to żywność wrzucała na jego teren przez ogrodzenie. Estera i Hanka – Abramojsiówny po ucieczce z Getta z ukrycia obserwowały egzekucję jego mieszkańców. Do wykopanego dołu szli oni po desce na końcu której byli zabijani (prawdopodobnie prądem elektrycznym). Widziały jak szły na śmierć ich matka i siostra Maniucha – trzymając się pod rękę. Pierwszego schronienia Esterze i Hance udzieliła Stanisława Kucharska (wówczas Zamorska). Nie mogły one jednak długo ukrywać się u niej, ponieważ dom, w którym mieszkała stał przy drodze. Ona zajmowała się szyciem odzieży i przychodziło do niej dużo ludzi - ktoś mógł zauważyć w jej domu żydowskie dziewczyny (ogólnie znane). Dom Adama i Katarzyny Zybińskiej stał na uboczu następne schronienie znalazły u Zybińskich. Ludzie z Krasiczyna ułatwili im kontakt z rosyjską partyzantką. Wstąpiły do niej i wraz z partyzantami dostały się w głąb Rosji. Następnie (nie znam okoliczności) z Rosji dotarły do Izraela. Przez długie lata prowadziły korespondencję z mieszkańcami Krasiczyna Panią Marią Molendówną, Panią Stefanią Fedyk i jeden list napisały do P. Piotra Amarowicza. Z listów wynikało, że po tych wszystkich tragediach znalazły spokojne, dostatnie życie. W roku 1986 Pani Stefania Fedyk opowiadała mi, że utrzymuje z nimi kontakty. Upłynęło sporo czasu. Czy żyją nadal? Czy z kimś jeszcze korespondują? - Tego nie wiem.

Powrót do Ojczyzny

W Krupcu - ciocia - Zofia Lisowiec pewnego majowego popołudnia, po powrocie ze strażnicy granicznej oznajmiła, że możemy

przekroczyć granicę, ale tylko nielegalnie. Może to nastąpić w nocy (dokładnej daty nie pamiętam), ponieważ w tę noc wartę graniczną będą pełnić żołnierze tolerancyjni, ale lepiej żebyśmy nie wpadli w ich ręce. Od wymienionej daty dzieliły nas dwa dni. Mężczyźni czas ten wykorzystywali na naprawę wozów, uprząży i pakowanie dobytku. Kobiety piekły chleb i przygotowywały żywność na drogę. Miejscowe gosposie pomagały w tych czynnościach i przynosiły: masło, jaja, kury i inne produkty obdarowując nas na drogę (z wdzięczności za pomoc w pracach polowych). We wsi znajdowali się przewodnicy, którzy przeprowadzali przez granicę (sobie znanymi drogami) różne osoby. Były to zawsze osoby pojedyncze, albo małe grupy idące piechotą. O przeprowadzeniu trzech furmanek i całych rodzin z małymi dziećmi nie chcieli nawet słuchać. Jednak w końcu po namowie i odpowiednim wynagrodzeniu zdecydowali się wykonać tę czynność.

Nadszedł termin ustalonej nocy. Nikt nie spał, wszyscy z niecierpliwością oczekiwali na przyjscie przewodników. Należało się spieszyć, majowe noce bywają krótkie. Wreszcie przyszli dwaj mężczyźni. Nakazali, aby zachowywać się jak najciszej, uważać żeby koń nie zarżał, dziecko nie zapłakało, ani wozy nie oddawały żadnych odgłosów. Ruszyliśmy w drogę. Niemożliwe do wykonania stały się nakazy. Konie ciągnęły bardzo ciężkie wozy, droga była polna, piaszczysta, co bardzo utrudniało im poruszanie się. Przewodnicy ponagłali żeby się spieszyć. Wszyscy szliśmy na piechotę po tym piasku. Mężczyźni pchali wozy, żeby ulżyć koniom. Już przekroczyliśmy granicę, gdy nadjechała straż. Przewodnicy zniknęli pod osłoną nocy korzystając z tego, że Niemcy zainteresowali się furmankami. Strażnicy zaczęli się bardzo źle odnosić do nas. Krzyczeli, popychali nas i mówili, że wszystkich wystrzelają. Zaczęło świtać, gdy doprowadzili nas do jakiegoś domu. Tu nakazali czekać, nigdzie nie ruszać się ani na krok. Oni jadą do strażnicy dowiedzieć się co z nami zrobić. Czekaliśmy. Mama poprosiła gospodynię domu czy może ugotować zupę dla dzieci. Zgodziła się. Mama obrała ziemniaki, a gospodyni zabrała obierki i zaczęła płukać je bardzo starannie. Na mamy pytanie

dlaczego tak robi? Odpowiedziała, że ona też musi ugotować zupę dla swoich dzieci (z obierków) - po tej stronie granicy panował już głód.

Czas się bardzo dłużył w oczekiwaniu na Niemców. Nie wiadomo było, co nas czeka. Około godziny 10.00 a może 11.00 usłyszeliśmy warkot motocykla - jadą. Przyjechali, ale nie ci, którzy złapali nas w nocy. Przyjechało dwóch zupełnie innych Niemców. Kazali nam ustawić się pod ścianą domu. Byliśmy pewni, że to już koniec z nami. Pamiętam, że mama stała z siostrą na rękach, po jednej stronie mamy stał brat, a po drugiej ja (drżałam na całym ciele, nogi nie mogły mnie utrzymać jakby były z gumy, lub z galarety), po jednej i po drugiej stronie stali pozostali uczestnicy ucieczki. Jeden z Niemców starszy rangą zaczął zadawać pytania w języku niemieckim. Odpowiedzi udzielała Zofia Lisowiec. W pewnej chwili Niemiec zwrócił się do wszystkich w języku polskim. Powiedział, żeby do niego mówić po polsku, bo on doskonale rozumie język polski. Chwila grozy minęła, atmosfera rozluźniła się. Niemiec długo wypytywał o wszystkie okoliczności naszej podróży, Słuchał uważnie, w końcu wypisał nam przepustkę i powiedział żebyśmy nie jechali jak dotąd polnymi drogami, nie ukrywali się, tylko prosto główną szosą podążali do Przemysła. Obdarowano Niemców: masłem, bimbrem, żywymi kurami - niczym nie pogardzili, wszystko przyjęli i odjechali. Kim byli ci Niemcy i dlaczego tak z nami postąpili - nie wiadomo. Byli po prostu dobrymi ludźmi. Nam łzy radości kręciły się w oczach.

Mieliśmy już przed sobą drogę wolną do samego domu. Przepustka okazała się bardzo przydatna w dalszej podróży. Drogą jechało wojsko niemieckie na front - różne formacje. Zatrzymywali nas i legitymowali, po obejrzeniu przepustki kazali jechać dalej. Respektowali ten świstek papieru. Jadąc mijaliśmy wraki czołgów, samochodów i motocykli, porzucone w przydrożnych rowach, a wśród pól żołnierskie mogiły z brzoźowymi krzyżami, a na nich zawieszone hełmy. Ślady niedawno stoczonych walk w tych miejscach. Tych śladów było dużo. Następna trudność, na jaką napotkaliśmy, to nasze konie. Ustały z wysiłku i przemęczenia, a przy tym karmione były lichy, tyle co

pasły się na przydrożnych rowach. Owies na paszę już dawno zjadły (nie było go za wiele), a żyta szkoda było skarmiać. Odtąd nasza karawana zaczęła się poruszać żółwim tempem. Trzy konie zaprzęgano do jednego wozu i podciągano wóz do przodu, wracano po ostatni wóz i znowu podciągano go do przodu - tak po kolei. Wszystkie osoby szły pieszo. Czasu było tyle, że można było odpocząć, nim przyciągnięto trzeci wóz. Droga dłużyła się bardzo, zmęczone i niedożywione były konie, ale ludzie też myśleli tylko o jednym: zacząć normalnie żyć, tym bardziej, że żywności ubywało.

Ta podróż była najbardziej dokuczliwa dla naszej mamy, z małym dzieckiem przy piersi. Nie narzekała, dzielnie znosiła wszystkie trudy. Ojciec z siostrą napisali list do brata Władysława do Krasieczyna (po tej stronie granicy poczta funkcjonowała normalnie, choć na listy trzeba było czekać długo). Opisali, w jakich znajdujemy się warunkach i prosili żeby przyszedł nam z pomocą. List szedł długo, ale w końcu dotarł. Stryj dobrał jeszcze dwóch mężczyzn i dwa konie. We trzech z uprzężą, wierzchem wyruszyli nam na spotkanie. Spotkaliśmy się między Medyką a Przemyślem, gdzieś w okolicy Hurka. Po powitaniu, do każdego z naszych wozów doprzęgnięto jeszcze jednego konia, tak, że każdą furmankę ciągnęła para koni i odtąd podróż odbywała się już normalnie. W pierwszych dniach czerwca we wtorek o 15.00 a może 16.00), o 2 miesięcznej tułaczce z 2 tygodniową przerwą postojową w Krupcu dojechaliśmy szczęśliwie do Krasieczyna. Pamiętam, był to wtorek dlatego, że jeden dzień dzielił nas od święta Bożego Ciała.

Wreszcie w domu !

W Krasieczynie poznawałam po kolei każdy dom, browar, ochronkę, zarząd dóbr księcia Sapiehy, zamek, dom ludowy; ale obraz Krasieczyna był okropny. Po rodzinnym domu mojego ojca na Komarze pozostała kupka gruzu i część komina. Zniknęło z powierzchni ziemi ponad dwie trzecie domów, a może więcej. Wspomnę tylko, że od obecnego domu Kazimierza Zybińskiego do Rynku zostało rozebranych ok. 25 domów (w tym 16 domów zwartej zabudowy Rynku).

Domy, które pozostały, a dotychczas nie zostały zasiedlone przez ludzi, miały powyrywane drzwi i okna - straszyły pustką. Ogrody zaniedbane porosły bardzo bujnymi pokrzywami, powyrywane ogrodzenia albo ich zupełnie brak. Garstka obywateli Krasieczyna, która już wcześniej powróciła z pobliskich miejscowości pozajmowała domy, które nadawały się jeszcze do zamieszkania (tak zajął nasz dom brat ojca Władysław, (dzięki czemu uratował go przed dalszą dewastacją przez ludność okolicznych wsi). W podobnej sytuacji znalazły się pola. Nikt ich nie orał i nie uprawiał przez dwa lata. Powódź wiosenna 1942 r. pokryła je mułem i różnymi śmieciami (gałęzie, stare deski itp) Porośnięte były różnymi chwastami. Można je było orać i uprawiać nie pytając czyją stanowią własność. Studnie zasypane różnymi nieczystościami (gałęzie, druty kolczaste, gruz, śmiecie). Nie było skąd wody zaczerpnąć. Zamek stał pusty, opuszczony przez wojska sowieckie ze śladami olbrzymiego wandalizmu⁴⁶.

Normalnie funkcjonował kościół, ale i on znajdował się w opłakanym stanie. Puste mury bez ołtarzy i obrazów, brak organów, ławek, ambony i balasków. Z opowiadań mieszkańców, którzy wcześniej powrócili do Krasieczyna i pomagali Księdzu Janowi Laskowi w uporządkowaniu kościoła wynikało, że wojsko sowieckie trzymało w nim konie i prowadziło ubój zwierząt. Ludzie czyścili mury kościoła i posadzkę z odchodów zwierzęcych i śladów krwi. Pozostał tylko betonowy postument głównego ołtarza, który przykryto białym obrusem na nim ustawiono maleńką szafeczkę (ok. 50 cm wysoka i 30-40 cm szeroka) do przechowywania Najświętszego Sakramentu. W takich warunkach ks. Lasek odprawiał nabożeństwa. W parku sowieci pozostawili ławki ogrodowe po letnim teatrze. Ludzie wnieśli te ławki do kościoła, służyły wszystkim przez długie lata.

Mieszkańcy Krasieczyna - widok żałosny. Odzież zniszczona, bosi, głodni, wynędzniali. W Krasieczynie nie było żadnej żywności, ludzie

⁴⁶ Z rzeczy, których nie zdołał wywieźć książę Leon większość uległa zniszczeniu, ale niektóre zachowały się wcielone do Lwowskiej Galerii Obrazów. Wymienia je R. Aftenazy w wyżej cytowanej książce

puchli i umierali z głodu. W domu gromadzkim Śliwnicy zorganizowana była przez Niemców kuchnia dla głodnych. W kuchni tej rozdawano bezpłatnie zupę (szumna nazwa zupa), był to jakiś płyn, w którym pływało parę ziaren kaszy, albo kilka kawałeczków ziemniaków. Zupę wydawał nieżyjący już Rodzeń - pytał "siła dusz" ile osób? po otrzymaniu odpowiedzi: "cztery", mówił: "dwi chochli" i wlewał do naczynia zainteresowanego dwie chochle zupy (ok. 1 litra). Aby nakarmić tą zupą 4 osobową rodzinę dolewano do niej wody, dodawano lebiędę, albo pokrzywę, jeszcze raz gotowano i to był główny posiłek mieszkańców Krasieczyna.

Myślę że mieszkańcy Krasieczyna również krytycznym okiem patrzyli na nas: brudnych, zakurzonych - po tylu dniach podróży, spalonych wiatrem i słońcem, bosych (kto wówczas chodził w butach?), w zniszczonej odzieży. Nie byliśmy jedynie głodni, bo choć w trudnych warunkach - gotowane na ogniskach lub w przygodnych domach - to jednak jedliśmy regularne posiłki. Ze stryjem Władysławem przyjechaliśmy do domu. Jego żona Helena na powitanie przygotowała przyjęcie. Na przyjęcie były placki ze śruty owsianej (owies mielony na żarnach), pieczone na płycie kuchennej. Do dziś pamiętam te placki. Miałam pełne usta łusek z owsa, przyczepiały się do języka, podniebienia, dziąseł, kłuły w gardle. Były nie do zjedzenia. Przyjęła nas tym, co miała najlepszego. Oprócz tego owsa i trawy nic więcej nie mieli do jedzenia. Zajmowali jedną stronę domu, druga stała pusta (pokój i kuchnia). Wnieśliśmy tam nasz majątek i podobnie jak przed dwoma laty na Wołyniu pierwszą noc przespaliśmy w kącie pokoju na wiązce słomy, ale pod własnym dachem. Następnego całego dnia - środa - mama poświęciła na pranie naszej odzieży i mycie nas żebyśmy byli podobni do ludzi.

W dzień Bożego Ciała wczesnym rankiem wyruszyliśmy ponownie w drogę. Jednym koniem, pustą furmanką (bez bagaży), cała rodzina. Jechaliśmy do Wyszatyc do mamy brata - Macieja Wachty. W Wyszatycach zbiegli się krewni, znajomi, sąsiedzi aby nas powitać. Wszyscy pytali gdzie byliśmy? Jak tam było? Pytań było bez końca.

Opowiadań również. W Wyszatycach nie było takiego głodu jak w Krasieczynie, ale ludzie żyli skromnie - oszczędzali żywność, dlatego że zbiory zapowiadały się nienajlepiej.

Wiosenna powódź 1942 roku zniszczyła zasiewy zbóż ozimych, ocalały niewielkie arealy. Ludzie więcej liczyli na urodzaj zbóż jarych, a zwłaszcza jęczmienia. Wuj Maciej bardzo się ucieszył, że przywieźliśmy z sobą trochę zboża. Podarował nam wór jęczmienia i drugi ziemniaków. Pomimo, że już czerwiec - mówił żeby wysiać ten jęczmień i posadzić ziemniaki. Jest to trochę ryzykowne, ale może uda się zebrać plony. Radził też żeby ziemniaki przed sadzeniem drobno pokroić, uważać żeby w każdym kawałeczku było oczko. Rodzice dostosowali się do rad wuja i po powrocie do domu zajęli się siewem jęczmienia i sadzeniem ziemniaków. Posiali również trochę buraków cukrowych (nasiona z Wyszatyc). Niewiele mogli siać i sadzić, bo nasion nie mieli. Kiedy po Krasieczynie rozniosła się wieść, że wróciliśmy i przywieźli trochę zboża, ludzie zaczęli przychodzić i prosić: "choć jedną garsteczkę zboża". Mama początkowo rozdawała, ale kiedy ojciec to zauważył skrzyczał ją: "co my będziemy jedli – do nowych zbiorów półtora roku, w tym roku żniw nie będziemy mieli. I czym obsieje pola przed zimą". Zaprzestała rozdawać zboże, ale kiedy piekła chleb – za-pach świeżego chleba roznosił się wokół. Znowu przychodzili ludzie prosili: "choć kawałeczek chleba". Też musiała część chleba rozdać. Teraz robiła to tak, żeby ojciec nie widział.

Pewnego czerwcowego dnia ojciec naprawiał powywracane płoty wokół domu, brat i ja bawiliśmy się obok ojca. Księżę Leon Sapieha z księżną Katarzyną sadzili wokół parku przy ogrodzeniu tuje (tuje te rosną do dziś - są duże), kiedy zobaczyli, że wróciliśmy - przyszli do nas. Długo rozmawiali z ojcem, pytali o wszystkich ludzi z Krasieczyna po kolei. Księżę powiedział: "dobrze, że wróciliście, bo tam będzie bardzo niebezpiecznie". Nie wiem skąd mieli taką informację.

Po raz drugi widziałam księcia i księżną w dniu 15 sierpnia 1942 r. W tym dniu nabożeństwo z okazji Wniebowzięcia M.B ksiądz Jan Lasek odprawił w kaplicy zamkowej. Było to dla mnie bardzo duże

przeżycie, po raz pierwszy przez taras przekroczyłam bramę zamku. Szliśmy krążgankami do kaplicy. Księżna przywiozła ze sobą wieniec dożynkowy, który ksiądz poświęcił. Mieszkańców w Krasieczynie i okolicy było niewielu, wszyscy pomieścili się w kaplicy. Po tym nabożeństwie już nigdy więcej pary książęcej nie widziałam.

Jeszcze w sierpniu Niemcy wzbronili wstępu do zamku. Zorganizowali w nim szpital polowy. Było różnie - raz zamek był zajęty przez Niemców, a raz stał pusty, ale bez wstępu do niego. W domu nie było wiele roboty, nie było krów, świń, kur. Był tylko jeden koń. Ojciec z koniem był ciągle poza domem gnębiony przez Niemców różnymi szarwarkami. Ja zajmowałam się siostrą i bratem. Mama przechodziła przez San na pola majątku Korytniki (teraz majątek był w rękach Niemców) - tutaj po żniwach pozostało dużo kłosów pszennych na polach. Mama zbierała je, przynosiła do domu, suszyła i rękami wykruszała z nich ziarno. Zajmowały się tym również inne kobiety.

Nauka w czasie okupacji

Lato 1942 roku dobiegało końca. Pierwszego września rozpoczęłam naukę w Szkole Podstawowej w Krasieczynie. Szkoła podzielona była na dwie części. Na piętrze uczyły się dzieci ukraińskie, na parterze w jednej klasie - polskie. Ukraińskie dzieci uczyła nauczycielka (nie pamiętam jej nazwiska), była to osoba spokojna i nic się o niej nie słyszało ani dobrego, ani złego. Polskie dzieci uczył Czarowicz - szara eminencja. Chyba nie ma w Krasieczynie człowieka, który mógłby powiedzieć o nim dobre słowo. Jeszcze dziś, jeśli pomyślę o swoim pierwszym nauczycielu, to mam przed oczyma obraz człowieka, który nie powinien mieć żadnego kontaktu z dziećmi czy młodzieżą. Program nauczania obejmował: j. polski, rachunki i religię. Klasy były łączone nie po dwie, ale po kilka. Jedni mieli ciche czytanie, drudzy rozwiązywanie zadań z matematyki, a trzecich pytał przy tablicy. To, że poznałam poszczególne litery alfabetu, nauczyłam się je składać w słowa, oraz poznałam cyfry matematyczne zawdzięczam dziewczynkom ze starszych klas i swojemu ojcu, a nie nauczycielowi.

Naukę w pierwszej klasie rozpoczęło nas czworo. Janina Popowicz ze Śliwnicy, Adam Wąsik i Tadeusz Lisowiec z Krasieczyna, oraz ja. Uczyliśmy się na dwie zmiany: od 8.00 do 11.00 klasy starsze, a od godz. 11.00 młodsze. Często bywało tak, że przychodziliśmy do szkoły na godz. 11.00 klasa była zamknięta - wewnątrz gwaro. Pan Czarowicz zamknął dzieci i poszedł na ryby, jeszcze nie zdążył wrócić. Starsi uczniowie, kiedy zauważyli, że zaglądamy przez okna, otwierali je i wciągali nas do środka klasy, żebyśmy nie marzli albo nie mokli na zewnątrz. Najczęściej zsuwano wszystkie ławki razem, jeden ze starszych uczniów siadał i grał na harmonijce ustnej, albo na grzebieniu a pozostali uczyli się tańczyć. My przyglądaliśmy się temu widowisku. Nieraz bywało tak, że zapadał zmierzch, a "nauczyciel" nie wracał, wówczas przez okno opuszczaliśmy klasę i wracali do domów. Na domiar złego "nauczyciel" stosował kary cielesne". Każdy uczeń musiał przynosić ze sobą do szkoły kij wycięty ze świeżej wierzby. Kiedy źle odpowiadało się przy tablicy, albo za jakieś inne błahę przewinienie, żądał aby uczeń podał mu kij i tym kijem bił bez opamiętania. Stałam się szczególną ofiarą "p. nauczyciela", otrzymywałam lanie niemal każdego dnia, nie wiem za co. Bił mnie wierzbowym kijem po bosych nogach (boso chodziło się do szkoły do pierwszego śniegu i gdy tylko śnieg zniknął). Najpierw krzyczałam, płakałam, ale gdy to nie pomogło zaciskałam zęby i w milczeniu znosiłam te razy. "Nauczyciel" wymyślał różne historyjki i skarżył na mnie do ojca. Ojciec nie słuchał żadnych moich usprawiedliwień - rację miał zawsze "pan nauczyciel". W domu dostawałam drugie lanie, nie pomagały nawet prośby mamy, która starała się bronić mnie przed tym biciem. Były to najgorsze chwile mojego życia. Nie życzę żadnemu dziecku na świecie, aby kiedykolwiek chodziło do takiej szkoły.

W pierwszych miesiącach mojej nauki dzieci polskie i ukraińskie podczas przerw między lekcjami bawiły się razem na boiskach szkolnych, razem wracały po nauce do swych domów, nie było żadnej różnicy czy ktoś uczęszcza do szkoły polskiej czy ukraińskiej. Po pewnym czasie rozgorzała między dziećmi okrutna wojna. Toczono

okropne walki na kamienie, kije, tyki od fasoli itp. Ukraińskie dzieci wołały za polskimi "smert Lacham" - śmierć Polakom. Nie wiem kto podburzał dzieci. To wszystko było nienormalne. Aby temu zapobiec nauczyciele postanowili, że ukraińskie dzieci miały przerwy w tym czasie gdy myśmy mieli lekcje i odwrotnie. Również o różnych porach kończyliśmy naukę, aby nie spotykać się w drodze powrotnej do domów.

Głodne lata w Krasieczynie

Późnym latem i jesienią rodzice zabrali plony z pól. Jęczmień, mimo że po-siany w czerwcu obrodził znakomicie. Obrodziły również ziemniaki i buraki cukrowe. Zboże przywiezione z Wołynia, którego jeszcze nie zjedliśmy, ojciec zużył na jesienne siewy. Obsiał duży areal pola, nie tylko nasz, ale i sąsiadujący z naszym, bo właściciele jeszcze nie wrócili do Krasieczyna. Z zapasów nie pozostało nic. Całe zaopatrzenie na zimę to: kilka kwintali jęczmienia, trochę ziemniaków, ok. 2 kwintale buraków cukrowych, trochę suszonych owoców (przetworów nie robiono z braku cukru) i parę kilogramów żołądzi. Pszenicę z uzbieranych kłosów na polu w Korytnikach mama schowała na zaopatrzenie świąteczne, na Boże Narodzenia i Wielkanoc. Odtąd bieda weszła pod nasz dach. Posiłki to placki ze śruty jęczmiennej, pieczone na płycie kuchennej i czarna kawa z palonego jęczmienia i żołądzi, mielonych na młynku od kawy, gotowana na burakach cukrowych, albo placki z tartych ziemniaków pieczone na płycie i taka sama kawa, albo zupa ziemniaczana zaciągnięta mąką jęczmienną, albo prażucha (tzw. czyr) ze śruty jęczmiennej bez odrobiny tłuszczu, czy mleka. Trudne życie miała nasza matka. Ojciec chodził od rana do wieczora głodny, a jak głodny to i zły. Z byle powodu wybuchała awantura. Mama starała się łagodzić sytuację, ale na nic się to zdawało. Ojciec miał jej za złe, że musiał wracać z Wołynia, tam mu chleba nie brakowało. W innych domach głód był o wiele większy. Mało kto zebrał plony latem i jesienią 1942 r. Niewielu zasiało oziminy w 1941 r. a i te zostały zniszczone najpierw przez powódź wiosenną 1942, a następnie przez gradobicie.

Okupacyjna administracja

Pod okupacją niemiecką w Krasieczynie nie było sołectwa. Należał on do Śliwnicy. Władzę sołtysa Śliwnicy i Krasieczyna sprawował Ukrainiec Józef Hrycajko. Siał on ogólny postrach tak wśród mieszkańców Krasieczyna i Śliwnicy. Nie można było sprzeciwiać się postanowieniom sołtysa, należało je wykonywać. Za odmowę groziły bardzo surowe sankcje: zsyłki na przymusowe roboty do III Rzeszy, albo do obozu koncentracyjnego. Dlatego nikt nie chciał narażać się panu sołtysowi. Sołectwo podporządkowane było gminie, która znajdowała się w Olszanach. Budynek gminy (w Olszanach) został spalony w czasie działań wojennych. Po wojnie odbudowano go i znalazła w nim siedzibę miejscowa szkoła oraz Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej i sklep GS. Obecnie w tym miejscu stoi nowa szkoła. Funkcję wójta pełnił niejaki Madej - nic nie mogę powiedzieć o tym człowieku. Ani źle, ani dobrze. Nie znałam go, a ludzie mało na jego temat mówili. Sekretarzem gminy był Mikołaj Dedio z Bryliniec. Miałam możliwość poznać go po wojnie. Pracował w PGRN w Olszanach, cichy, pracowity. Trudno o nim mówić źle. Sołtys podejmował okropne decyzje - nie wiem, czy z własnej inicjatywy, czy na rozkaz władz zwierzchnich, a do ich wykonania zawsze wyznaczał Polaków. Dla przykładu wymienię: Rozbiórkę synagogi żydowskiej w Krasieczynie i zniszczenie nagrobków na cmentarzu żydowskim oraz zużycie kamienia z nagrobków na utwardzenie drogi Przemyśl - Bircza na odcinku Komara - Krasieczyn⁴⁷.

Pierwsze święta w domu

Święta Bożego Narodzenia 1942 r. szczególnie utkwily mi w pamięci. W domu ponownie zawitała choinka, duża od podłogi do sufitu. Nam, dzieciom, sprawiła dużo radości. Przystrojona została ozdobami własnej roboty: łańcuchy z papieru i słomy, pająki z koralowych koralików i pomadki z kolorowych bibulek, wewnątrz wypchane twardymi materiałami - żołędzie i kamyki. Z artykułów ja-

⁴⁷ Wg. relacji Bronisława Majchrowicza i Kazimierza Zybińskiego, którzy byli tego świadkami, decyzję o przeznaczeniu macew na utwardzenie drogi podjął niemiecki oficer.

dalnych na choince zawisły 3 Mikołajki z piernika, parę orzechów włoskich i parę jabłek. Była to jednak moja najpiękniejsza choinka. Kolacja wigilijna była też niecodzienna. W skład po-traw wchodziły: ryba z Sanu uduszona z parze z ziemniakami, pierogi z mąki pszennej mielonej na żarnach – wewnątrz same postne ziemniaki i kompot z suszonych owoców. Prawdziwie postna kolacja. Tego dnia wszyscy byliśmy zadowoleni i cała rodzina śpiewała kolędy do późnych godzin wieczornych.

Handel

Bardzo wiele kłopotów mieszkańcom Krasieczyna i okolicznych wsi sprawiał brak sklepu. W każdy marny towar, taki jak zapalki, nafta, sól, tytoń, bibułki na skręty papierosowe, zeszyty dla dzieci itp. musiano zaopatrywać się w Przemyśle. Przynajmniej raz na dwa tygodnie matka albo ojciec musieli iść do Przemyśla. Tam również z zaopatrzeniem było źle. Sklepy świeciły pustkami, dobrze zaopatrzone były natomiast sklepy niemieckie, ale do nich Polacy nie mieli wstępu. Najwięcej towarów można było kupić na bazarze w Rynku (obecny rynek przed Urzędem Miasta). Handlarze chodzili ze skrzynkami wspartymi o klatkę piersiową, zawieszonymi na szyi i wołali: "Zapalki!!, bibułki!!, igły!! kamyczki do zapalniczek !!!" reklamowali towar, który mieli do zbycia.

Często na bazar wpadali Niemcy, urządzali łapankę na ludzi, albo zabierali ludziom towary. Popłoch, panika, wszyscy uciekali. Wówczas niczego nie można było kupić. Pamiętam ten handel. Kilka razy z mamą szłam do Przemyśla na zakupy. Bywało tak, że nafty albo zapalek nie można było kupić, bo nie było. Wówczas oświetlano wieczorem dom smolnymi szczapkami, a gdy zabrakło zapalek, szło się do sąsiada "pożyczyć ognia". Aby tym trudnościom zaradzić jeszcze w 1943 r. ks. Jan Lasek podjął starania o zorganizowanie w Krasieczynie Kółka Rolniczego. Udało się. Kółko zorganizowano.

W skład Zarządu weszli: Julian Kuczkowski, Władysław Amaro-wicz, Edward Sus i Władysław Mazuryk. Trudno mi dziś ustalić strukturę organizacyjną tego Kółka. Prawdopodobnie władze zwierz-

cznie znajdowały się w Krakowie. Do działalności Kółka należało: szerzenie oświaty rolniczej, organizowanie placówek handlowych i niesienie pomocy rodzinom najbardziej pokrzywdzonych przez działania wojenne. Myślę, że to nie jest istotne, najważniejsze jest to, że w ramach tej organizacji w Krasieczynie uruchomiono sklep. Zarząd Kółka miał nie lada problem z zaopatrzeniem sklepu, ale różnymi, sobie tylko znanymi sposobami, sklep zaopatrywano w towary. W czerwcu, albo lipcu 1943 r. do Krasieczyna przybył nowy ksiądz katecheta - Jan Zima. Przejął na siebie część obowiązków w prowadzeniu rozległej parafii.⁴⁸

⁴⁸ Oto wspomnienia **Józefa Szubana** z Zalesia o ks. Macieju Dudku, który ukrywał się w czasie wojny w Krasieczynie pod nazwiskiem ks. Zima.

Ks. Maciej Dudek urodził się 23.02 1900 w Domaradzu. Od 1938 do 4.03 1941 roku był proboszczem w Niewodnej. W tym dniu Gestapo na plebanii znalazło radio-odbiornik, za to groziła kara śmierci. Organista przestrzegł księdza, by tam nie wracał. Tak zaczęło się jego ukrywanie. Po wielomiesięcznej tułaczce ks. Maciej dotarł do Kurii Biskupiej w Przemyślu, prosząc o bezpieczną placówkę. Ks. Biskup zaproponował mu Krasieczyn, ale nadmienił, że tam panuje głód, chociaż jest bezpiecznie. Ksiądz oświadczył, że na głód jest odporny. Tak znalazł się w Krasieczynie pod imieniem ks. Jan Zima.

Nadto: Krasieczyn t. II str 127: Ks. Maciej latach 1920 – 1924 studiował teologię w Seminarium Duchownym w Przemyślu. Wyświęcony został 1 czerwca 1924 r., po czym rozpoczął pracę jako wikariusz w Targowiskach, skąd odszedł na roczny urlop zdrowotny. Po urlopie był wikariuszem we Frysztaku, Krośnie i Szebnicach. 3 czerwca 1938 r. został mianowany proboszczem w Tryńcy, a 17 sierpnia 1938 r. w Niewodnej, gdzie – z kilkuletnią przerwą wojenną gdy musiał się ukrywać pod zmienionym nazwiskiem oraz trzymiesięcznym urlopie w 1957 r. spędzonym w USA – pracował do 1 lipca 1969 r. W tym też roku przeszedł na emeryturę i zamieszkał w Bielinach, gdzie zmarł 3 marca 1985. Jak często wspominał jego wychowanek z Niewodnej, ks. Edward Banaś (wikariusz krasieczyński), a potem twórca zębów parafii w Olszanach, nazywany był „Ojcem Jakubem”, bo jak biblijny Jakub wychował w Niewodnej 12 kapłanów, niekiedy wybitnych. Za swoją pracę został odznaczony w r. 1945 EC, a w 1956 RM. Ks. Zdzisław Majcher spisał historię jego ukrywania się podczas okupacji. Oto jej streszczenie. *Na plebani w Niewodnej odbywały się komplety tajnego nauczania. 4 marca 1941 r. Jak zeznał organista, gdy ks. Maciej był w Domaradzu, przyjechali „w okrągłych czapkach” gestapowcy. Na plebanii kazali sobie przygotować obiad, a sami rozpoczęli na wsi rewizję w poszukiwaniu skór cielęcych, garbowanych przez ludzi, za co groziły surowe kary – ze śmiercią włącznie. Gdy uprzedzony o tym proboszcz nie wracał, wylamali drzwi do jego pokoju, gdzie znaleźli odbiornik radiowy, za co groziła kara śmierci. W tej sytuacji ks. Maciej nie powrócił na plebanie, ale wyjechał z parafii i do 1944 r. ukrywał się pracując na terenie diecezji pod nazwiskiem ks. Jan Zima. Do Niewodnej wrócił po przejściu frontu w 1944 r. Ukrywał się też na terenie krasieczyńskiej*

Powroty z wygnania

Latem 1943 r. zaczęły do Krasieczyna powracać pojedyncze rodziny wywiezione w r. 1940 na Wołyń. Powracali z tobołkami w rękach, pozostawiając na Wołyniu wszystko co wywieźli z sobą i czego się tam dorobili. Ratowali tylko życie, zabierając ze sobą to, co najpotrzebniejsze w drodze i tyle ile można było unieść w rękach, bowiem na Wołyniu rozszalała okrutna rzeź⁴⁹.

Mordowano Polaków, tylko dlatego, że byli Polakami. Mordowała Ukraińska Powstańcza Armia, oddziały Bulby (tzw. bulbowcy) i Bandery (tzw. banderowcy). Ojciec dowiedział się od powracających, że nasi najbliżsi sąsiedzi, Polacy miejscowego pochodzenia (pisałam o nich wcześniej) - Mędzel z żoną zostali spaleni żywcem w swoim domu. Syn (mój rówieśnik) uciekł do drugiej wsi - Młyny. W tej wsi mieszkali w większości Polacy, stąd pochodziła jego matka i tu mieszkał jej brat Józef Mączka, jeszcze kawaler. Kiedy dowiedział się od chłopca co się stało, nie czekając na nic, uciekł z chłopcem do Polski. Zamieszkali na Zachodzie. Ojciec dowiedział się również, że w domu Makarewiczów, który myśmy opuścili mieścił się główny sztab banderowców (Stefana Bandery). Zrozumiał, że to matka uratowała życie całej rodzinie, bo gdyby nie jej upór, zostalibyśmy na Wołyniu i zapewne byli pierwszymi ofiarami na tym pustkowiu. Zmienił wtedy swój stosunek do mamy. Na Wołyniu zostały wymordowane przez UPA rodziny z Krasieczyna⁵⁰:

parafii. Relacja ta znajduje się w „Teczce personalnej” ks. Macieja Dudka w zbiorach Archiwum Archidiecezjalnego w Przemyślu.

⁴⁹ Zamieszczone wspomnienia z Wołynia prezentują subiektywne odczucia autorów, nie zawsze zgodne z prawdą historyczną, ustalaną w żmudnych badaniach historyków polskich i ukraińskich (ks. BS.). Więcej: Fenczak „Słownica...” rozdział : *Zakończenie okupacji niemieckiej. Tworzenie „władzy ludowej”. Początki akcji przesiedleńczej na Ukrainę radziecką i stosunek do niej Ukraińców i Polaków. Stanowisko Kościoła rzymskokatolickiego wobec deportacji na przykładzie proboszcza krasieczyńskiego Jana Laska. Życie religijne parafii śliwnickiej od lipca 1944 do marca 1945.*

⁵⁰ Niepełną listę ofiar wojny – obejmująca prawie 100 osób zamieściły „Więści” nr 12(94) z 21.03.1993 str. 2; nr 13 z 28.03.1993 str. 3, nr 14 4. 04. 1993 str. 2 i 6, (za: Księga Pamiątkowa” poległych funkcjonariuszy SB.MO. ORM) W-wa 1971 r.); nr 16 (98) z 18.04.1993 str. 2.

Rodzina Aleksandra NOWAKOWSKIEGO	5 osób
Michaliny KUCZKOWSKIEJ	4 osoby
Stefana FEDYKA	3 osoby
WOLANSKICH	2 osoby
Józefa BUCZULIŃSKIEGO	2 osoby
Leona AMAROWICZA	2 osoby
Greckokatolickiego proboszcza ze Śliwnicy ks..Baka	3 osoby

Znalazła się też rodzina, która przeszła na stronę banderowców. Był to S. R. z żoną i dwoma synami. W ich domu odbywały się zebrania banderowców. Rozpoznano ich podczas napadów rabunkowych na Polaków. Nie powrócili już do Krasieczyna i nie wiadomo, jaki spotkał ich los. Tragiczne losy Polaków na Wołyniu przedstawiły w swych wspomnieniach: Stanisława Kucharska, wówczas Zamorska i Stanisława Trojniał z d. Kuczkowska z Przemyśla. Zainteresowanych odsyłam do "Więści Krasieczyńskich" numery 33, 34, 35, 37, 38 z roku 1996, tu zamieszczam jedynie fragmenty niektórych wspomnień.

Ludzie wracali do Krasieczyna, o swoich domów, a tymczasem na miejscu czekały na nich tylko rumowiska po rozebranych domach. Zaludniali więc każdy kąt nadający się do zamieszkania, byle tylko mieć dach nad głową. Nikt nie zwracał uwagi na to, czy budynek nadaje się do zamieszkania, jak długo będzie można w nim mieszkać. Myślano tylko, aby "zamieszkać tymczasem", co będzie dalej, to się okaże. Cóż było innego robić? Niektórzy zabierali się od razu do budowy domu "na tymczasem". Wiele tych "tymczasowych" domów stoi do dziś.

Kazimierz Zybiński po powrocie z Wołynia przyszedł do mojego ojca prosić, aby mógł u nas zamieszkać. Brat ojca Władysław mieszkał już na Komarze w swoim domu. Ojciec zgodził się. Zamieszkali u nas p. Kazimierz z Stanisławą i córeczką Krysią. Moja matka zawsze mile wspominała pobyt Zybińskich w naszym domu. Również Stanisława Zybińska twierdzi, że dobrze jej się mieszało pod naszym dachem. Mieszkali krótko, bo Zybiński zaczął budować domy, najpierw

"na tymczasem" na rodzinnym placu, później drugi, na placu Gwiazdowiczów i trzeci, w którym mieszka do dziś.

Pomoc obcym ludziom

O przeżyciach mieszkańców Krasieczyna deportowanych na Wołyń można pisać jeszcze wiele. Los każdej rodziny to oddzielna karta historii dotychczas nie publikowanej. Kiedy opowiada się o tych dziejach ludziom z innych regionów Polski, dziwią się, mówią: *po co was tam wywieźli, dlaczego o tym nigdzie nie ma wzmianki, jaką granicę niemiecką przekraczaliście, kiedy Niemcy w 1943 roku byli już pod Moskwą?* To wszystko, o czym piszę jest prawdą. Potwierdzają to ci, którzy przeżyli ten koszmar, Ludzie z Krasieczyna nie tylko ratowali własne życie i życie własnych rodzin, ale pomagali również przeżyć ten okropny czas nawet nieznanym osobom.

Dla przykładu podam, że Jan Osiega mimo własnej licznej rodziny, uciekając z Wołynia zabrał ze sobą do Krasieczyna bezdomnego chłopca. Nie wiadomo kim był ów chłopiec (prawdopodobnie dzieckiem żydowskim, którego rodzice zginęli w Międzyrzecu w getcie). Chłopiec mieszkał z rodziną Osiegów do wyzwolenia, dzielili z nim chleb, którego często w domu brakowało. Jak nie wiadomo było skąd pochodził i kim był chłopiec (wiek ok. 15-16 lat), tak nie wiadomo dokąd poszedł i jaki spotkał go los. Kiedy wojsko radzieckie wkroczyło do Krasieczyna - wyzwalać go spod okupacji niemieckiej, chłopiec zniknął. Nie wiadomo czy wstąpił do wojska i poszedł na front, czy udał się w inną drogę - tego nikt nie wie, wszelki ślad po nim zaginął.

Podobnie rodzina Marii i Józefa Mazurkiewiczów: Wracali z Wołynia jako jedni z ostatnich rodzin deportowanych (pod koniec lata 1943). Było już bardzo niebezpiecznie, nawet w miastach. Ostatnią noc spędzili w Międzyrzecu w kościele. Zebrali się tam wiele osób polskich z okolicznych wsi ratując życie - podobnie jak oni. Do zgromadzonych w kościele przyszedł ksiądz proboszcz i wspólnie całą noc spędzili na modlitwie. Państwo Mazurkiewiczowie posiadali wówczas liczną rodzinę, pięcioro dzieci (najmłodszy syn - Zygmunt był nie-

mowlęciem). Rano wszyscy opuszczali kościół, dziękowali księdzu za schronienie.

Wśród ludzi znalazła się samotna dziewczynka (wiek 8-9 lat), nie miała z kim i dokąd iść - płakała. Ksiądz bardzo prosił ludzi, aby ktoś zaopiekował się tą dziewczynką. Nie było chętnych, każdy myślał o tym, jaki czeka go dalszy los. Państwo Mazurkiewiczowie po krótkiej naradzie doszli do wniosku, że jeśli zaopiekują się tym dzieckiem, to może Pan Bóg pozwoli, że ich własne dzieci nie zostaną sierotami, a gdyby do tego doszło, znajdzie się ktoś, kto zaopiekuje się nimi. Przygarnęli dziewczynkę do swojej rodziny. Trudno mi dziś po 53 latach ustalić kim była dziewczynka, kim byli jej rodzice. Nic nie mówiła o sobie ani o swojej rodzinie (prawdopodobnie też była narodowości żydowskiej i udało się jej uratować od zagłady w getcie). Pan Józef dowiózł całą rodzinę (własnymi końmi) szczęśliwie do Równego. Tu załadował żonę i dzieci z tobołkami do pociągu towarowego jadącego w kierunku Polski. Sam został w Równym sprzedać wóz i konie. Zapłata, jaką proponowano mu za wóz i konie była żadna. Żał mu było pozbyć się koni za marną zapłatę. Przed wojną pracował w majątku księcia Sapiehy jako fornał przy koniach, lubił konie. Podjął decyzję powrotu do Krasiczyna końmi. Była to bardzo ryzykowna decyzja. W każdej chwili mógł zostać napadnięty i zamordowany. Do przekroczenia miał granicę, na której również czekało wiele niebezpieczeństw. Mazurkiewiczowa z dziećmi powróciła do Krasiczyna. Jak większość jego mieszkańców nie zastała swojego domu - został rozebrany i ślad po nim nie pozostał. Schronienia jej i dzieciom udzielili ludzie z Dybawki, Krasiczyna i Korytnik. Długo czekała na powrót męża, a on nie wracał. Ktoś rozsiał plotkę, która rozeszła się w mig po okolicy, że Mazurkiewicz został zamordowany. Znaleźli się tacy, którzy znali okoliczności mordu, a nawet widzieli go martwego. Żona odchodziła od zmysłów, nie wiedziała co ma dalej robić. Jak zapewnić dach nad głowami i codzienne wyżywienie dla 7 osób. Księżę Leon Sapieha aby podtrzymać kobietę na duchu zaangażował się w prostowanie tej plotki, a nawet uderzył w twarz swojego robotnika Józefa Podolaka, który upierał się, że to prawda. Po pewnym czasie powrócił do Krasiczyna pan Mazurkiewicz - cały i zdrowy. Przyjechał wozem i

parą koni. Księżę Sapieha zainteresował się dziewczynką przywiezioną z Wołynia przez rodzinę Mazurkiewiczów. Znalazł bezdzietne małżeństwo, które zaopiekowało się nią. Pani Mazurkiewiczowa przyzwyczaiła się do niej, a nawet ją pokochała jak własne dzieci. Długo rozpaczała za nią. Nie wiadomo kim byli ludzie którzy zabrali dziewczynkę i dokąd ją wywieźli. Rodzina Mazurkiewiczów już nigdy nie otrzymała żadnych wieści o jej dalszych losach. Podobnie jak ci, których wywieziono na Wołyń, tak i ludzie, którzy szybciej wrócili do Krasiczyna (lub pozostali na miejscu), pomagali osobom pochodzenia żydowskiego przetrwać czas wyniszczenia rasy semickiej przez Niemców. Znam takie rodziny w Zalesiu, Prałkowcach i Krasiczynie.

W rodzinie Stefanii i Antoniego Fedyków w Krasiczynie w czasie okupacji niemieckiej pracowała młoda dziewczyna. Nie ukrywała się, chodziła wszędzie, również do kościoła i do spowiedzi. Ks. Lasek prawdopodobnie wiedział kim była. Pracowała bardzo uczciwie w gospodarstwie, w domu, w polu, i przy obsłudze inwentarza. Ubierała się po wiejsku, w szerokie spódnice, zapaski, kaftaniki i chusty. Mówiła po ukraińsku, przy pasieniu krów śpiewała ukraińskie piosenki. Nikt z mieszkańców Krasiczyna nie spodziewał się, że była to Żydówka. Pewnego razu rodzinę Fedyków odwiedzili Niemcy. Nie uciekała przed nimi, zachowywała się normalnie. Niemcy rozmawiali między sobą po niemiecku, ona znała język niemiecki i wiedziała o czym mówią. Kiedy odeszli powiedziała do p. Fedykowej, że Niemiec krytykował dom. Mówił, że jest w nim brudno. Pani Fedykowa zapytała "A skąd ty to wiesz?" Odpowiedziała, "tak mi się zdawało".

Po wyzwoleniu, kiedy wojska radzieckie wkroczyły do Krasiczyna, dziewczyna zniknęła. Nie odebrała nawet wynagrodzenia, za ostatni okres pracy, jakie jej przysługiwało. Po wielu latach napisała z Izraela list do Stanisławy Kucharskiej. Opisała swoje losy. Pochodziła z Sanoka z rodziny żydowskiej. Jej ojciec przed wojną był adwokatem w Sanoku, ona też ukończyła uniwersytet. W getcie w Sanoku zginęli jej rodzice, mąż i maleńki synek. Jej udało się uratować. Najpierw znalazła schronienie w rodzinie Fedyków w Krzywczu, a następnie w

Krasiczynie. Na szeroką skalę w niesienie pomocy osobom pochodzenia żydowskiego zaangażował się Stanisław Kurpiel z Krasiczyna.

Stanisław Kurpiel i jego rodzina

Oto relacja Stanisławy Kucharskiej:

Stanisław Kurpiel z żoną Franciszką ze Stachońskich posiadali mały dom w rynku w Krasiczynie⁵¹. Rodzina była liczna, sześcioro dzieci i matka w podeszłym wieku - w sumie 9 osób. Przed wojną żyli skromnie. Stanisław nie miał stałej pracy, był tzw. "wolnym najmitą". Czasem poprosił go ktoś do pomocy, ale nie często. Pola mieli niewiele, trudno było utrzymać rodzinę. Pewnego razu ktoś włamał się do grobowca w Zamku. Podejrzanie padło na p. Stanisława. Odbyły się rozprawy sądowe, zapadł wyrok.. Stanisław znalazł się w więzieniu. Po pewnym czasie sprawa wyszła na jaw. To nie Stanisław dokonał włamania do grobowca, ale mieszkaniec Tarnawiec - Pasternak. Kurpiela zwolniono z więzienia, a ksiązę Leon Sapieha chcąc zadośćuczynić za niesłuszne posądzenie, zatrudnił go w swoim majątku w Korytnikach na stanowisku kierownika. W domu w Krasiczynie pozostała matka P. Stanisława z jednym synem, a pozostałe 5 dzieci i on sam z żoną zamieszkali w Korytnikach. Dzięki temu uniknęli zsyłki na Wołyń, ale w czasie wielkiego głodu p. Stanisław nie mógł się opędzić od kolegów i znajomych z Krasiczyna. Przychodzili i prosili "Choć garstkę zboża" W magazynie było jeszcze trochę jęczmienia. Stanisław rozdawał ten jęczmień głodującym ludziom.

W tym czasie jeszcze, mimo okupacji niemieckiej, majątkiem w Korytnikach rozporządzał ksiązę Leon Sapieha, mieszkający w Hołubli. Kiedy dowiedział się o poczynaniach p. Kurpiela ukarał go. Przeniósł go na Leonczynę, gdzie posiadał stado bydła, do opieki nad tym bydłem. Było to zupełne odludzie z dala od Krasiczyna i Prałkowiec, a od Korytnik oddzielone Sanem. Budynki to mały dom drewniany, obora i duża stodoła. Wokół lasy i pola. Stanisław praco-

⁵¹ Sprawę Stanisława Kurpiela zrelacjonowałem obszernie w : *Krasiczyn* t. II str. 283 i nn. Poniżej przytaczam skrót tamtejszego opracowania.

wali tam z żoną, a do pomocy mieli stałego robotnika z Tarnawiec - Kochanowicza. Pewnego razu do Kurpielów przyszedł mężczyzna - może znajomy p. Stanisława i poprosił o nocleg, a następnie o schronienie. Znalazł i jedno i drugie.

Warunki na przetrwanie były tu znakomite, więc poinformował o tym swoich znajomych, ci znowu członków swoich rodzin i swoich znajomych. Liczba ukrywających się wzrosła do 34 osób. Wykopali oni pod stodołą i pod oborą duże piwnice, połączone tunelami z domem. Zejście do nich znajdowało się w kuchni, za trzonem kuchennym. Wykonano również wyjścia do lasu, umożliwiające nocne spacery. Po wyzwoleniu parokrotnie byłam w tych zabudowaniach i oglądałam pomieszczenia osobiście. Nie wiadomo jak Niemcy dowiedzieli się o tym, że Kurpielowie ukrywali Żydów. Jedni twierdzą, że ktoś z mieszkańców Tarnawiec zdradził ich, a inni, że p. Franciszka robiła w Przemyśle tak duże zakupy żywności i za wszystko płaciła gotówką, że wysłano z nią szpiega, który odprowadzi ją pod sam dom i tu dokonał obserwacji. W 6 tygodni przed wyzwoleniem Krasieczyna, Niemcy otoczyli zabudowania w Leonczynie i wymordowali wszystkie osoby, które tu znalazły schronienie. Zginęły 32 osoby, uratowało się 2 mężczyzn. Jeden z Przemyśla Szpigiel, a drugi z Birczy. Stanisława Kucharska nie pamięta już nazwiska. Franciszka i Stanisław zostali zabrani do Przemyśla. Pani Franciszka była w ciąży (5-ty miesiąc)⁵² Podczas przesłuchań Stanisław nie wydał nikogo. Twierdził, że nikt nie był wtajemniczony w to przedsięwzięcie. Zostali, wraz żoną, rozstrzelani na Lipowicy w lasku, a następnie pochowani na cmentarzu w Lipowicy w zbiorowej mogile. Po ich śmierci pozostałym dzieciom pomocy udzielali mieszkańcy Krasieczyna.

Historia Kurpielów doczekała się poważnego opracowania⁵³.

W październiku 2008 r. pracownicy Instytutu Pamięci Narodowej Elżbieta Rączy i Igor Witowicz⁵⁴ działając z ramienia Okręgowej Ko-

⁵² Mając na uwadze wiek Kurpielów jest to raczej niemożliwe: (uwaga ks. SB).

⁵³ *Krasieczyn t. II* str. 185 – 191 .

misji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Rzeszowie, przeprowadzili w Krasieczynie i Tarnawcach rozmowy w sprawie uzupełnienia informacji o tej rodzinie Kurpielów w związku z zamiarem nominowania jej do nagrody „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Rozmawiali z żyjącymi wówczas jeszcze z świadkami tamtych wydarzeń mieszkającymi w Tarnawcach z Bronisławą Wierzbicką, Anną Stawarz oraz Michaliną Czuryk. Kserokopie zgromadzonych w IPN w Rzeszowie materiałów wspomniani badacze przekazali do Archiwum Parafialnego w Krasieczynie. W oparciu o nie pragnę przybliżyć wiedzę o tych tragicznych wydarzeniach, jakie rozegrały się w Tarnawcach wiosną 1944 r., na kilka tygodni przed wyzwoleniem spod okupacji niemieckiej. Wyrażam wdzięczność obojgu badaczom, za zgodę na wykorzystanie ich ustaleń.

Pierwszym z istotnych dokumentów w tej sprawie jest anonimowy donos z dnia 2 czerwca 1970 r., jaki wpłynął do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Rzeszowie. Znajduje się w nim taka oto informacja, że „Sprawcą zbrodni, która została dokonana na „Leonczynie” na Żydach jest NN (nazwisko wymienione w dokumentach pomijam, ze względu na ochronę danych osobowych - ks. SB), który chciał się ożenić z córką Kurpiela z Wapowiec. Ale ona z tego zamążpójścia zrezygnowała, bo zakochała się w jednym Żydzie. I właśnie z zemsty zameldował on na gestapo o ukrywających się Żydach. Gdyby NN nie wydał, to ci ludzie byliby przeżyli okupację.” Na dokumencie tym znajduje się odręczny dopisek o skierowaniu sprawy do I DS3/70 do Fr. Woleńskiego.

Kolejny dokument o sygnaturze akt: X. Ds. 3/70, to: *Protokół przesłuchania świadka w Sądzie Powiatowym w Przemyślu z dnia 9 marca 1970 r.* Było to następstwem powyższego donosu. Wspomniany Franciszek Woleński z udziałem protokolanta G. Żelazo prze-

⁵⁴ Są oni autorami publikacji dotyczących losów Żydów w czasie okupacji hitlerowskiej na terenie Polski południowo-wschodniej. Zob. E. Rączy, *Pomoc Polaków dla ludności żydowskiej na Rzeszowszczyźnie. 1939-1945*, Rzeszów 2008; E. Rączy, I. Witowicz, *Żagłada Żydów na Rzeszowszczyźnie. Album pamięci*, Rzeszów 2004. Por. także: <http://www.polskieradio.pl/historia/artukul.aspx?id=52032>

słuchał NN rolnika z Tarnawiec w charakterze świadka. Zeznał on, że od wiosny 1943 r. pracował jako polowy w folwarku Leonczyna objętym wtedy administracją Liegenschaftu, którego zarządcą był Stanisław Kurpiel. „W domu tym - zeznawał – mieszkała żona Stanisława Kurpiela Franciszka oraz sześcioro dzieci w wieku od 9 do 20 lat. Wtedy oni przechowali już Żydów. Kryjówka mieściła się pod domem a wejście znajdowało się pod dużą klatką stojącą pod ścianą domu, w której Kurpielowie trzymali króliki... Z biegiem czasu wspólnie z Kurpielami wybudowaliśmy drugą kryjówkę pod podłogą w stajni. ... na obejściu Kurpielów w obu tych kryjówkach ukrywało się 25 Żydów przewaga była mężczyzn, kobiet było zaledwie kilka i dwoje dzieci.

Żywność dla ukrywających się osób Kurpielowa kupowała w Przemyślu dwa do trzech razy w tygodniu. Z końcem maja 1944 r. większą ilość żywności zakupiła w sklepie Ukraińca Madeja, który zwrócił uwagę na to, zakupiono znaczną ilość żywności, co wydawało mu się podejrzane. Zaraz następnego dnia w nocy przed świtem, obudziło go szczekanie psów i na progu stanął mężczyzna w mundurze ukraińskiego policjanta z pistoletem w ręce i krzyczał „ręce do góry”. a na podwórzu sprowadzono już wszystkich Żydów oraz całą rodzinę Kurpielów. Było około 20 uzbrojonych policjantów ukraińskich. którzy po dwóch Żydów prowadzili w głąb lasu i tam ich rozstrzelali. W ten sposób rozstrzelali 22 Żydów. 3 udał się zbiec do lasu.

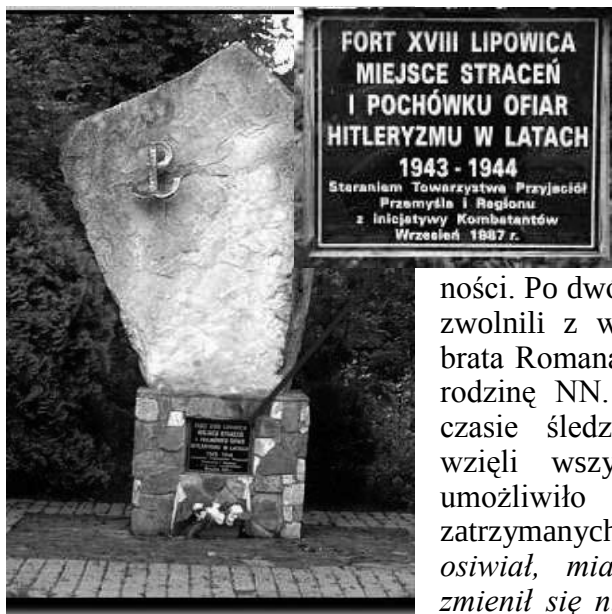
Po egzekucji policjanci ukraińscy załadowali całą rodzinę Kurpielów, NN oraz jego brata i powieźli do Przemyśla. Po drodze oddział 7 lub 8 Niemców w mundurach zatrzymał ich, zrewidował policjantów niektórym poodbierał różne przedmioty zabrane od zastrzelonych Żydów. Niemcy pojechali do budynku policji ukraińskiej przy ulicy Smolki. Po kilku godzinach NN i brata zwolniono, natomiast całą rodzinę Kurpielów zatrzymano. Później zwolnione zostały dzieci, które wróciły do Krasiczyna i zamieszkały u Stanisławy Kucharskiej. Tydzień potem oboje Kurpielowie Stanisław i Franciszka zostali zastrzeleni na fortach w lesie w Lipowicy, wspólnie z kilkudziesięcioma osobami”. Na dokumencie pieczęć i podpisy Przesłuchiwał: Fr. Woleński, protokołował G. Żelazo, Zeznawał: NN.

Trzeci dokument to *Protokół przesłuchania 12 lutego 2003 r. świadka Marii Tkaczyk z domu Kurpiel córki Stanisława i Franciszki Kuprieliów, w charakterze pokrzywdzonej. Mieszkała ona w Leonczynie, wraz z rodzicami i rodzeństwem. Tato – zeznała - był zarządcą majątku. W połowie lat 40-tych Niemcy spędzili do tego majątku bydło z przymusowych kontyngentów, a do pilnowania i wypasu przysyłali 3 Żydów z przemyskiego getta. Jeden z nich - Rubin – nazwiska nie pamięta potem wszedł w kontakty z ojcem i zaczął się ukrywać. Ściągnął do Leonczyna żonę i dwoje dzieci, rodzinę i znajomych, łącznie ponad 20 osób. Te osoby pojawiły się na przełomie 1942 i 1943 r. Wszyscy ukrywali się w podziemnych bunkrach. Żywność i wodę dostarczał ojciec nocą w wielkiej konspiracji, Mama jeździła co jakiś czas do Przemyśla po prowiant. O tym, że rodzice ukrywają Żydów dowiedziała się rodzina fornali o nazwisku NN – Karol, Bolek, Marcela i Bronisław ściągnięci do pracy ze wsi Tarnawce. Rodzice ukrywali Żydów przez ok. 2 lata. Łącznie ok. 25 osób wśród nich dzieci, synowie Rubina o imionach Jankiel i Izaak w wieku 12 i 14 lat i dziewczynka Basia w wieku 10 lat, ona była córką lekarza. Wszyscy byli obywatelami polskimi.*

W maju 1944 r. ok. godz. 3 nad ranem do majątku przyjechali żołnierze niemieccy. Majątek otoczyło co najmniej kilkunastu ss-manów. Byli uzbrojeni w karabiny. Tato z mamą wyszli na ganek. Niemiec, który znał język polski pytał, gdzie ukrywa Żydów. Kazali pokazać wejście do bunkrów, a całą rodzinę trzymali pod bronią. Ojciec popychany i bity wskazał wejście do bunkrów. Do tego bunkra, co mieścił się pod klatką dla królików, Niemcy wrzucili świece dymne i wszyscy wyszli. Dwóch Żydów zdołało uciec szybem wentylacyjnym, który prowadził do zagajnika. To byli Józef i Herrman. Również usiłował uciec Rubin, ale został zastrzelony przez ss-mana, seria pocisków rozerwała mu głowę. Po wyprowadzeniu z bunkrów Niemcy przeszukali ich, zabrali wszystkie pieniądze i kosztowności. Następnie kazali mamie wynieść stół na podwórko i zrobić dla żołnierzy śniadanie. Po śniadaniu Niemcy dokonali egzekucji wszystkich zatrzymanych Żydów, brali ich w grupach po 3, 4 osoby, zaprowadzali ok. 250 m w pole, tu już był wykopany przez robotników z majątku na pole-

cenie Niemców dół. Maria egzekucji nie widziała. Później opowiadali jej robotnicy z majątku, że ss-mani kazali kłaść się Żydom na ziemi i strzelali im z pistoletu w głowę. Ciała zabitych robotnicy musieli wrzucać do tego wykopanego dołu.

Na rozstrzelanie jako ostatni poszli lekarz i dwie siostry Gerda i Lika. Lekarz powiedział jeszcze do rodziców: „Zostańcie z Bogiem”. Niemcy kazali robotnikom po wrzuceniu ciał zasypać dół. Pochodzili z Krasiczyna. Po egzekucji dowódca ss-manów powiedział po polsku „Szykujcie się na rozstrzelanie”. Moja mama i siostra Irena zemdlaly. Nie wiem dlaczego Niemcy odstąpili od naszej egzekucji. Kazali zaprząć furmanki z majątku i wsadzili na nie rodziców, siostrę Irenę i brata Romana oraz rodzinę NN. Zostawili ją - Marię - z młodszą siostrą Łucją.



Maria nie wie skąd Niemcy dowiedzieli się, że rodzice ukrywali Żydów. Być może ktoś zainteresował się tym, że Franciszka kupowała dużo żywności.

Po dwóch tygodniach Niemcy zwolnili z więzienia siostrę Irenę, brata Romana i siostrę Alfredę oraz rodzinę NN. Stanisław Kurpiel w czasie śledztwa razem z matką wzięli wszystko na siebie, co umożliwiło zwolnić pozostałych zatrzymanych. Mówiła, że tato osiwiiał, miał powybijane zęby i zmienił się nie do poznania. Oficer SS, który dowodził żołnierzami w

majątku, chwalił się, że brał udział w pacyfikacji getta w Przemyślu. Mówił bardzo dobrze po polsku, nie kalecząc żadnych słów. Musiał wychowywać się i mieszkać w Polsce.

W drugiej połowie czerwca albo lipca 1944 r. Maria przypadkiem przeczytała obwieszczenie władz niemieckich naklejone na tablicy w Przemyślu, w języku polskim. Z jego treści wynikało, że jej matka i ojciec zostali straceni 19 czerwca 1944 r. Niemcy ciał nie wy-dali. Latem 1945 r. w lesie na Lipo-wicach odkryto groby zamordowanych. Wśród 38 wykopanych zwłok córka Irena rozpoznała ciała rodziców. Protokół podpisała Maria Tkaczyk z domu Kurpiel jako świadek.

To streszczenie niektórych dokumentów zgromadzonych w Instytucie Pamięci Narodowej w Rzeszowie. O ile mi wiadomo, nikt z rodziny Kurpielów po wojnie nie zabiegał o nadanie ich rodzicom medalu „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”. Niech przynajmniej to krótkie wspomnienie będzie jakąś formą rekompensaty za lata niepamięci, która z jednej strony skry-wała tragedię, a z drugiej bohaterstwo rodziny Kurpielów. ks. BS

Bataliony Chłopskie

Podczas okupacji hitlerowskiej na terenie Krasiczyna oraz we wsiach Śliwnica i Zalesie działał zorganizowany ruch oporu⁵⁵. Mężczyźni zdolni do walki i obrony zrzeszyli się w Batalionach Chłopskich.

Wspomnienie p. Bronisławy o Batalionach Chłopskich wymaga też zarysowania nieco szerszego tła. Wtedy lepiej można zrozumieć sens niektórych wypowiedzi. Dlatego dodałem rozdział o „Ruchu Ludowym”.

Ruch ludowy

Ruch ludowy rozlał się na cały kraj z zaboru austriackiego w Galicji⁵⁶, gdzie sytuacja wsi była szczególnie ciężka (Nędza galicyjska). Można wspomnieć ks. Stanisława Stojałowskiego, jego wydawnictwa: „Wieniec” i „Pszczołka”, powołanie w 1893 r. z jego inicjatywy pierwszej chłopskiej partii politycznej - Związek Stronnictwa Chłopskiego, z programem wyrosłym z encykliki *Rerum novarum*, ale wkrótce bardzo zradykalizowanej i skonfliktowanej w hierarchią kościelną. Ówczesną, bo dzisiejsza często potępianych w tamtych czasach, dziś wynosi na piedestał⁵⁷. Warto wspomnieć jego, „wychowanków”: Karola Lewakowskiego, Jana Stapińskiego, Jakuba Bojko którzy w 1895 r. założyli w Rzeszowie Stronnictwo Ludowe.

Prześladowania i spychanie -w okresie międzywojennym - działaczy Stronnictwa na margines, mobilizował chłopów do akcji: w 1928 powstał Związek Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej

⁵⁵ Autorka we wspomnieniach pomija działania na tym terenie Armii Krajowej. Dziś, po latach, jest już na ten temat wiele opracowań. Zainteresowanych odsyłam m. in. do książki „Pamięć i sprawiedliwość. Pismo IPN”, gdzie w art. P. Chmielowca i E. Rączy, „Polskie Państwo Podziemne na Rzeszowszczyźnie – stan badań i postulaty badawcze” na str. 121 -139 jest obszerna biografia, zawierająca kilkadziesiąt prac na temat AK na naszym terenie, Niestety, brak opracowań dotyczących Krasiczyna. Książka dostępna: http://www.ipn.gov.pl/PIS_2.pdf Nadto: Emil Czerny: (w latach 1940-1942 zastępca i komendant Obwodu AK Przemyśl) *Moja działalność w AK*” wyd. Przemyśl 1994 szereg wzmianek o działalności AK na terenie Krasiczyna.

⁵⁶ <http://www.psl.rzeszow.pl/index.php>

⁵⁷ Mam na myśli np: Piłsudskiego, ks. Stojałowskiego,

"Wici", w 1931 roku Polskie Stronnictwo Ludowe "Piast", pojawili się działacze-politycy: Wincenty Witos i Maciej Rataj. Rodzą się – jak to wśród chłopów - wewnętrzne podziały na grupy "Piasta" i "Wyzwolenia". Coraz większa radykalizacja, która doprowadziła do w maju 1936 do masowych manifestacji Np. w Nowosielcach k. Przeworska 29 czerwca 1936 roku manifestowało 150 000 chłopów, na co rząd zaczął odpowiadać siłą.

Zagrożenie ze strony Niemiec wywołało postawy patriotyczne, a po podbiciu Polski, polityka eksterminacyjna okupanta, pchnęła wielu do walki czynnej w ramach Polski Podziemnej i Batalionów Chłopskich, Coraz młodszy działacze próbują scalać podzielonych chłopów, wśród których najliczniejsze jest SL "Roch" (w 1941 r. liczyło 97 kierownictw powiatowych, 684 gminne i 3733 wiejskie) podporządkowane wprawdzie kierownictwu ZWZ, ale niezadowolone z tej współpracy. 4 sierpnia 1940 roku działacze "Rocha" powołali "*Straż Chłopską*"- załączek *Batalionów Chłopskich*, (oficjalna nazwa dopiero od 1944r.) poza strukturami ZWZ, a od 1943 roku scalane z Armią Krajową, stały się jedną z największych polskich organizacji podziemnych okresu II wojny światowej. Zdaniem historyków BCh w sumie przeprowadziły: 6000 różnych akcji bojowych, stoczyły 900 potyczek i bitew, dokonały - 233 dywersji na szlakach komunikacyjnych oraz inne akcje liczone w tysiącach, chociaż organizacja w zamyśle nie miała być siłą militarną do walki z okupantem, ale raczej do działań ochronnych, i specjalnych, na wypadek wybuchu ogólnonarodowego powstania. Gdy w 1942 roku na Zamojszczyźnie rozpoczęła się akcja wysiedleńcza zmobilizowała ona Bataliony Chłopskie do czynnych wystąpień przeciwko okupantowi, zaczęto też formować oddziały specjalne na wzór wojskowy. Warto jeszcze wspomnieć o przywoływanej przez p. Rudaka w tekście Bronisławy Mazuryk

Akcja scaleniowa z Armią Krajową.

W celu wzmocnienia sił Polskiego Podziemia kilkakrotnie podejmowano wysiłki scaleniowe AK i BCh. Stronnictwo Ludowe, uznając formalnie zwierzchnią rolę Rządu Emigracyjnego starało się jednak odwlekać moment scalenia obu organizacji, mimo świadomości, że rozdrobnienie nie służyło obronności kraju. I tak: w lutym 1943

przyjęto plan scaleniowy. W teorii, bo praktyka nie była łatwa, przy obopólnej niechęci i nieufności ze strony BCh.

Bataliony Chłopskie w Krasieczynie

Jednym z organizatorów BCh był p. Władysław Amarowicz z Krasieczyna - ojciec Wacława Amarowicza.⁵⁸ Ze wspomnień byłych żołnierzy BCh wynika, że każdy nowo wstępujący członek BCh musiał posiadać dwóch żołnierzy, którzy wprowadziliby go do oddziału i poręczyli za niego, oraz musiał złożyć przysięgę, która zobowiązywała do dotrzymania wierności.

Oto rota przysięgi:

"W obliczu wiekuistości minionych pokoleń ojców i praojców, w obliczu nieśmiertelnego ducha Ojczyzny mojej - Polski, w obliczu zakutego w kajdany niewoli narodu polskiego - postanawiam i ślubuję w swym sumieniu człowieczym i obywatelskim, że na każdym miejscu i we wszystkich okolicznościach walczyć będę z najeźdźcą o przywrócenie całkowitej wolności narodu polskiego i niepodległości państwa polskiego. Do walki tej stoję świadomie i dobrowolnie w bojowych szeregach BCh, kierowanych przez znaną mi organizację ideowo-polityczną zmierzającą do Sprawiedliwej Polski Ludowej - na chrześcijańskich zasadach demokracji opartej. Na tej drodze walki wszelkie zlecenia i rozkazy wykonywać będę rzetelnie i karnie. Powierzonych tajemnic nie ujawnię przed nikim, nawet przed najbliższymi mi osobami. W wykonywaniu rozkazów, oraz zachowaniu powierzonych mi tajemnic nie powstrzyma mnie nawet groza utraty życia. Stając w szeregach BCh do szeregów żadnej innej organizacji ideowo-politycznej nie wejść i w żadnym wypadku z szeregów BCh samowolnie nie wy-

⁵⁸ Walki BCh z Niemcami, a także z UPA prześladowającą ludność polską w dorzeczu Sanu dokładnie opisał w swej książce p. t: *"Bez munduru my żołnierze"* Roman Kisiel pseudonim "Sep"- organizator konspiracyjnego ruchu ludowego w powiecie przemyskim, działającego pod kryptonimem **"Roch"**, oraz komendant Batalionów Chłopskich. Bataliony Chłopskie zostały rozwiązane we wrześniu 1943 decyzją CKRL (Centralne Kierownictwo Ruchu Ludowego), natomiast AK dopiero 10. stycznia 1945.

Polecam stronę o AK: http://wilk.wpk.p.lodz.pl/~whatfor/armia_krajowa.htm

stąpię. Przyrzeczenie to składam i ślubuję dotrzymać - tak mi dopomóż Bóg".

Te słowa miały wielką moc oddziaływania na nowo wstępującego do BCh partyzanta. Składał je klęcząc z uniesionymi w górę dwoma palcami.

Wg wspomnień Romana Kisiela⁵⁹ skład organizacyjny BCh w Krasiczynie przedstawiał się następująco:

⁵⁹ **Zdaniem Juliana Rudaka** zam. dziś w Sanoku, ostatniego Komendanta "*Książka Romana Kisiela nie może być podstawą do dokładnej analizy konspiracji i związanej z nią walk w rejonie Krasiczyna, ponieważ w latach 1941-44, ani w okresie początkowej Chłostry, ani po zmianie nazwy, BCh w rejonie Krasiczyna nie było. Polityczne komórki PSL powstawały dopiero w Krasiczynie po przystąpieniu PSL do Tymczasowego Rządu Lubelskiego w r. 1945 i przedstawicielem PSL - tak go nazwę - był wójt Jan Szuban. Roman Kisiel z St. Młodożeniec-Warowną książkę opracował wyłącznie w oparciu o swoje wspomnienia ułożone już po wojnie. Znałem mi są zachody p. Kisiela w zbieraniu materiałów, ponieważ w tej sprawie chciałem zasięgnąć mojej opinii na przełomie lat 1958/60. Spotykaliśmy się na terenie Polskiego Towarzystwa Historycznego w Przemyślu. P. Romana Kisiela znam osobiście z kontaktów służbowych od 1942 r., a szczególnie w pertraktacjach scaleniowych, które podpisał, ale w żadnej literze nie wykonał.*

Rozmowy scaleniowe prowadzone były pomiędzy kierownictwem "Rocha" i Komendą Główną Armii Krajowej od X 1942 zakończono umową podpisaną 30.V.1943, zgodnie z którą do Armii Krajowej miały zostać włączone wszystkie oddziały taktyczne Batalionów Chłopskich, liczące ok. 115 tys. żołnierzy. Wobec zatargów, głównie na tle obsady stanowisk dowódczych, do AK włączono jednak tylko ok. 51 tys. żołnierzy Batalionów Chłopskich. Z oddziałów terenowych nie podlegających włączeniu do AK utworzono Ludową Straż Bezpieczeństwa, działającą faktycznie w ramach struktur Batalionów Chłopskich oraz Państwowy Korpus Bezpieczeństwa i Straż Samorządową podlegające Delegaturze Rządu na Kraj.

Na wzajemne relacje AK i BCh dziś możemy i powinniśmy już patrzeć bez zbędnych emocji i licytowania się, kto był lepszym patriotą.

Ostatnie lata wniosły wiele nowych ustaleń do mrocznej dotąd historii powojennej Polski. W oparciu o ustalenia Jana Pisulińskiego – można poznać dokładniej życiorys Romana Kisiela: Roman Kisiel Urodził się 1 lipca 1916 w Bystrowicach, koło Jarosławia W 1933 związał się z ruchem ludowym: "Wici", potem Stronnictwem Ludowym, głównie na terenie pow. przemyskiego. Był 13 razy. więziony i karany. Uczestnik kampanii wrześniowej, w konspiracji tworzył struktury SL "Roch", Straż Chłopską, przekształconą później w Bataliony Chłopskie, w których został komendantem obwodu przemyskiego w stopniu podporucznika. 18 maja 1944 podpisał umowę scaleniową z Armią Krajową, - wspomnianą wcześniej. W lecie 1944 organizował w powiecie przemyskim Straż Obywatelską oraz sieć posterunków Milicji Obywatelskiej, obsadzając je swoimi ludźmi (głównie w gminach Krzywca, Dubiecko i Orzechowce). 29 kwietnia 1946 aresztowany podpisał zobowiązanie do współpracy (której nie podjął). Wypuszczony, został znów aresztowany i uwolniony. Ukrywał się tworząc Powstańcze Siły

Trójka Gminna "Rocha"
Mazuryk Józef "Ptak" - przewodniczący (mój ojciec)
Szuban Jan "Longinus" - członek
Sus Edward "Diabeł" - łącznik
W okresie późniejszym:
Szuban Jan "Longinus" - przewodniczący
Mazuryk Józef "Ptak" - członek
Katan Ludwik "Odważny" - łącznik
Komenda Gminna BCh:
Amarowicz Władysław "Kruk" - komendant (Krasieczyn)
Katan Ludwik "Odważny" - zastępca (Zalesie)
Sus Edward "Diabeł" - szef łączności (Śliwnica)
Komenda wiejska BCh Krasieczyn
Pańczyszyn Jan "Krasicki" - komendant
Pańczyszyn Józef "Topola" zastępca
Sus Michał "Olcha" - łącznik
Komenda wiejska BCh w Śliwnicy
Majchrowicz Andrzej "Sprytny" komendant
Podolak Józef "Krępy" zastępca
Trójka wiejska "Rocha" w Zalesiu
Rodzeń Adam "Groch" - przewodniczący
Rodzeń Ludwik "Kozieł" - członek
Szuban Józef (Mieczysław) "Topola" - łącznik
Komenda wiejska BCh w Zalesiu:
Brem Władysław "Orzeł" - komendant
Rodzeń Jan "Rogacz" - zastępca
Katan Stanisław "Chytry" - łącznik

Wiem, że we wsiach Olszany i Dybawka byli też partyzanci BCh, ale należeli oni do Krasieczyna, Zalesia albo Śliwnicy. W tych wsiach

Zbrojne, za co w 1953 został skazany przez Okręgowy Sąd Wojskowy w Rzeszowie na karę śmierci, którą zamieniono na 15 lat więzienia. Wypuszczony warunkowo w 1956. rozpoczął działalność w ZBoWiD i ZSL, a w 1965 podjął współpracę z SB pod pseudonimem Roman.

Pisuliński oskarża oddziały dowodzone przez "Sępa" o wiele mordów na ukraińskiej ludności cywilnej w okolicach Przemyśla, np. Korytnikach (53 osoby), i Olszanach (11 osób), co kwestionuje autorka Br. Mazur. (ks. BS red).

nie działały Trójki "Rocha", ani Komendy BCh. Pamiętam, że częstym gościem w naszym domu był ksiądz katecheta, ukrywający się w parafii pod nazwiskiem Jan Zima (prawdziwe nazwisko Maciej Dudek). Zamykali się z ojcem w pokoju i długo rozmawiali. Mama pilnowała dzieci, aby nie kręciły się w pobliżu. Nie wiem, na jaki temat prowadzili rozmowy, mogę się jedynie domyślić, że chodziło o działalność konspiracyjną. Mama wiedziała o tajnej działalności ojca, ale nie wiedziała, w jakiej organizacji działał i jaki charakter miała ta działalność. Nieraz rozmawiałam z nią na ten temat, ale nic konkretnego nie mogła mi powiedzieć.

Jesienią 1943 r. Niemcy przeprowadzili rewizję w naszym domu. Kiedy pojawili się w Krasieczynie i zaczęli kogoś lub czegoś szukać wieść rozeszła się po domach bardzo szybko. Ojciec dowiedział się o ich wizycie w Krasieczynie szybciej nim do nas przyszli. W kuchni pod płytą kuchenną palił się ogień, zdążył wszystkie tajne dokumenty włożyć pod kuchnię i założyć je drewnem, także były niewidoczne. Przyszli Niemcy, przetrząsnęli każdą rzecz w domu, a w budynku gospodarczym słomę przebijali miejsce w miejsce bagnietami. Nie znaleźli żadnej rzeczy, która by ich interesowała. Jak się okazało szukali osób z którymi kontaktowała się p. Zofia Ryczan (obecnie Zofia Kozak). Chodziło o Józefa Mazuryka mieszkającego po przeciwnej stronie parku. Dowiedziałam się później od kolegów ojca, że rewizja ta była powodem zmiany jakiej dokonano na stanowisku przewodniczącego Gminnej Trójki "Rocha". Powierzono je kawalerowi, aby w razie "wpadki" nie osierocił dzieci. Na ile jestem zorientowana, z rąk niemieckich na naszym terenie zginął jeden żołnierz BCh - Szary Jan "Krawiec" lat 42 z Dybawki (ojciec p. Bronisławy Fedasz). Został on rozstrzelany w lasu na Lipowicy. Spoczywa na cmentarzu w Lipowicy w zbiorowej mogile⁶⁰.

⁶⁰ P. Mazuryk opiera się na relacji Romana Kisiela. Natomiast córka Jana Szarego Bronisława Fedasz nadesłała sprostowanie *"Jan Szary ps. 'Krawiec' należał do Armii Krajowej" (co mogę udokumentować) a nie do Batalionów Chłopskich. Przez długie powojenne lata moja mama Antonina Szara tłumaczyła ludziom, że mąż należał do BCH, ukrywała natomiast fakt przynależności do AK w obawie przed represjami ze strony władz. Takie były czasy". O Janie Szarym czytaj córka br. Fedasz Więści nr. 7 (89) z 12 02 1993str. 6: Jan Szary urodził się 15 września 1902 r. w Tarnawcach. W r. 1916 ukończył 7-letnią*

Z rąk UPA śmierć ponieśli:

Goraś Marcin "Nieznany"	lat 35 z Zalesia,
Katan Stanisław "Chytry"	lat 32 z Zalesia,
Mazuryk Józef "Ptak"	lat 35 z Krasieczyna,
Molenda Adolf "Kruk"	lat 22 z Krasieczyna,
Pańczyszyn Jan "Krasicki"	lat 29 z Krasieczyna,
Rodzeń Adam "Grot"	lat 26 z Zalesia",
Stańkowski Franciszek "Liść"	z Zalesia,
Stodoliński Michał "Łabędź"	z Dybawki,
Sus Jan "Bukwa"	z Krasieczyna,
Sus Michał "Olcha"	z Krasieczyna,
Sus Tadeusz "Brzoza"	lat 21 z Krasieczyna.

Nadszedł rok 1944

Wszyscy zastanawiali się "co ów Nowy Rok przyniesie". Zima była sroga - śnieżna i mroźna. W miesiącach styczeń i luty w Krasieczynie stacjonowali Kozacy z nad Donu. Byli to Kozacy niemieckiego pochodzenia, którzy po wkroczeniu wojsk niemieckich nad Don ujawnili i udowodnili swój niemiecki rodowód oraz wyrazili zgodę wpisania na listę folksdolczerów. Niemcy wcielili mężczyzn do swojej armii i teraz prowadzili nie wiadomo dokąd. Nic nie wskazywało na to, że mogą to być ludzie pochodzenia zachodnio-europejskiego. Skośnoocy, brudni, awanturnicy, często pijani i bardzo niebezpieczni. Pamiętam, że mieszkańcy Krasieczyna bali się nowych przybyszów. W naszym domu zakwaterowano kilku Kozaków. Jeden z nich był zaopatrzeniowcem. Zauważył, że mama ma zmieloną na żarnach mąkę na chleb dla rodziny. Poprosił, żeby z tej mąki upiekła dla nich chleb,

Szkołę Powszechną w 1923 został powołany do wojska, gdzie ukończył kurs Szkoły Podoficerskiej, a później służył w armii przez 6 lat jako żołnierz AK miał stopień sierżanta.

Po założeniu rodziny zamieszkał w Dybawce i do drugiej wojny pracował w tartaku w Przemyślu i w Kuńkowcach, aż do aresztowania i śmierci. W lutym 1944 r. został aresztowany przez Gestapo, przez 2 tygodnie więziony w Przemyślu, torturowany. Nikogo nie wydał. Został rozstrzelany na Lipowicy. Pozostawił żonę i sześćoro dzieci., z których jedno urodziło się po jego śmierci.

a on jutro zwróci mamie podwójną ilość mąki pszennej z młyna. Mama upiekła chleb, on postąpił jak obiecał. Tę mąkę z młyna mama zatrzymała na wypieki do Świąt Wielkanocnych. Rozkazał też ojcu opróżnić budynek gospodarczy ze słomy i siana. Zorganizowali w nim magazyn żywnościowy. W magazynie tym wisiały połówki tuszy wołowych, wieprzowych i cielęcych /zamarzniętych na mrozie/. W worach stała pszenica, mąka, różne kasze, groch polny i fasola. Każdego dnia rano magazynier wydawał Kozakom towar, a dla tych, którzy kwaterowali u nas, towar oddawał mamie, żeby przygotowywała dla nich posiłki. Mama myślała, że jeśli doda do tych towarów swoje ziemniaki i warzywa, to będzie mogła z jednego garnka nakarmić również i swoją rodzinę /rodzina tak dawno nie jadła mięsa/. Niestety tak się nie stało. Kozacy czekali chwilę, aby mięso się zagotowało, porywali garnek z kuchni i spożywali potrawę na wpół surową. Do ziemniaków i warzyw nie byli przyzwyczajeni. Spółka nie popłaciła, więc gotowała im na ich sposób - mięso z fasolą, kaszą lub grochem, dla rodziny musiała przygotowywać inne posiłki. Magazynier różnił się bardzo od pozostałych Kozaków, był starszy od nich, spokojny, nie pił alkoholu. Często rozmawiał z ojcem. Mówił, że nad Donem pozostawili swoje rodziny /on żonę i trójkę dzieci/. Nie wiedział, jaki los zgotują im Niemcy i czy jeszcze będą mogli zobaczyć swoich najbliższych. Jak mi wiadomo, potem skierowano ich w okolice Dukli i tam zginęli w walce o Przełęcz Dukielską.

W zamku krasiczyńskim Niemcy zorganizowali wojskowy szpital polowy. Zajęli również piętro szkoły, kwaterowali po domach. Do nauczania dzieci - dwóch szkół /polskiej i ukraińskiej/ pozostała jedna klasa na parterze. Do południa uczyły się dzieci ukraińskie, a po południu polskie. Klasy łączono po 2-3, a nauka trwała 2-3 godziny lekcyjne dziennie. Wiosną 1944 r. zaczęłam uczęszczać na naukę do I Komunii Św. Przygotowywał nas ksiądz Jan Zima /Maciej Dudek/. Pamiętam, że dzieci było bardzo dużo z Zalesia, Tarnawiec, Korytnik, Dybawki, Śliwnicy i Krasiczyna. Naukę w kościele Ksiądz prowadził 2 razy w tygodniu w godzinach popołudniowych, więc w tych dniach nie uczęszczałam do szkoły. Bardzo mi się to podobało. W tych dniach p. nauczyciel mnie nie bił. Do Komunii Św. byłam jednym z

najlepiej przygotowanych dzieci. Odpowiadałam poprawnie na każde pytanie. Ksiądz chwalił mnie przed ojcem. Wtedy ojciec przeprowadził ze mną rozmowę i wreszcie zrozumiał, że w szkole nie mogę odpowiadać, bo myślę tylko o karze, jaka mnie spotka. Poszedł do szkoły i zabronił nauczycielowi bicia mnie. Nie na wiele to się zdało, bo zbliżał się już koniec roku szkolnego. Otrzymałam promocję do kl. III. Świadectwo to w języku polskim i niemieckim posiadam do dziś.

Na początku lipca 1944 r. Niemcy zebrali kilka furmanek młodych chłopców z Krasieczyna i Śliwnicy na wyjazd do Wyszatyc do kopania okopów. Moja mama kiedy dowiedziała się, że jadą do Wyszatyc wsadziła mnie na jedną z furmanek, abym pojechała na parę dni do wujka. Rodzina mamy brata była bezdzietna. Wuj bardzo nas lubił i cieszył się kiedy go odwiedzaliśmy. Jechałam na furmance, chłopcy rozmawiali, byłam wsłuchana w te rozmowy tak, że przegapiłam dom wujostwa. Przy końcu wsi rozpoznała mnie na wozie kuzynka, zabrała i odprowadziła do wuja.

Kiedy wujek mnie zobaczył przestraszył się. W domu wujostwa kwaterował oficer niemiecki, chwycił mnie w ramiona, zaczął nosić, tulić, częstować cukierkami i płakać. Bałam się okropnie, nie wiedziałam co to wszystko znaczy. Wujek dobrze władał j. niemieckim i często rozmawiał z tym oficerem. Niemiec zaczął opowiadać wujowi, że w domu zostawił taką córkę jak ja, że jestem bardzo do niej podobna. On wie, że Hitler przegrywa wojnę, ale nie wie, czy uda mu się wrócić do domu, czy zobaczy jeszcze żonę i córkę. Tej nocy nie nocowaliśmy w domu. W polu za wsią wujek miał wykopany w ziemi schron, tam spędziliśmy noc. Rano wujek zaprzągnął konie i odwiózł mnie do domu.

Wprawdzie gazety niemieckie i audycje donosiły o niemieckich sukcesach na froncie wschodnim, ludzie jednak podawali sobie wiadomości z ust do ust że: Niemcy kapitulują, zbliża się front, Rosjanie zawarli porozumienie z Ameryką i wspólnie toczą wojnę, a wreszcie o tym, że na Wschodzie zorganizowane zostało Polskie Wojsko, które przyniesie nam wolność. Nadszedł dzień, w którym Niemcy pośpiesznie ewakuowali szpital z zamku, opuszczali kwatery i uciekali. Wieczorem ojciec wyprowadził krowę ze stajni (jedyną żywicielkę ro-

dziny) i poszedł ją gdzieś ukryć. Zostaliśmy w domu z mamą. W dniu 27 albo 28 lipca, bawiłam się z bratem i siostrą przed domem ojca siostry - Zofii Lisowiec, ona na ganku robiła masło. Koło południa przyszli dwaj radzieccy żołnierze, pytali o Niemców. Ciocia poczęstowała ich chlebem ze świeżym masłem i maślanką, a dzień później do Krasi-czyna wkroczyła Armia Czerwona, Byli wszędzie w parku, w zamku, w lesie, nad Sanem w domach.

Tak przyszła wolność.

My dzieci czekaliśmy na Polskie Wojsko, ale Polskiego Wojska wśród nich nie było.... Na tym Bronisława Mazuryk zakończyła swoje wspomnienia.

W II wydaniu uzupełniłem je - za jej wiedzą i zgodą o poniższe wspomnienia, w III z 2013 r. – wprowadziłem

- mapki ułatwiające zrozumienie tekstu, niektóre fotografie, opis 130-lecia OSP, czy - poświęcenia krzyża nad Sanem.

Dołączyłem też udostępnione tylko w internecie wspomnienia kilku osób, pomijając inne zamieszczone w Krasiczyn t II str. 170-192.

Wspomnienia

Droga do Polski niektórych mieszkańców Krasieczyna

Stanisława Kucharska

Wieś Żelaźnica na Wołyniu, do której wywieziono dużą część mieszkańców Krasieczyna była wsią wyłącznie ukraińską. Wokół niej znajdowały się trzy kolonie niemieckie. Jeszcze w r. 1939 Niemcy na mocy porozumienia z ZSRR (pakt Ribbentrop - Mołotow) Niemcy zabrali swoich z tych kolonii i wywieźli na Zachód. Na miejscu pozostało kilka rodzin mieszanych (mąż, Niemiec, żona Ukrainka, - mąż Niemiec, żona Polka, albo odwrotnie). Ludziom tym pozwolono pozostać na własne życzenie - ale była to grupa niewielka. W pustych ponemieckich gospodarstwach osiedlono mieszkańców Krasieczyna.

Każda z tych kolonii była oddalona od wsi ok. 3 km. We wsi znajdowała się cerkiew prawosławna i szkoła ukraińska. Natomiast kościoły rzymsko-katolickie znajdowały się w Międzyrzeczu i Korcu⁶¹, w prawie jednakowej odległości. Stanisława Kucharska z matką mieszkaly obok rodziny Bronisława Lisowca. Po ich wyjeździe do Krasieczyna w r. 1942 pozostały same. Twierdzi, że życie na Wołyniu miała dobre. Zajmowała się szyciem odzieży. Przychodziły do niej kobiety ukraińskie. Szyła im różną odzież, czasem z nowego materiału, ale głównie przerabiała. Młode dziewczyny przychodziły uczyć się robótek na drutach. Otrzymywała zapłatę w formie żywności i w różnych innych miejscowych wyrobach. Znała dobrze język ukraiński, tak ze szkoły, jak i z rozmów z Ukraińcami, których wielu mieszkało w okolicach Krasieczyna, więc od pierwszej chwili pobytu na Wołyniu mówiono do niej "wy nasza".

⁶¹ **Korzec** starożytne miasteczko na Wołyniu, 65 km od Równego, przed wojną w 3/4 zamieszkiwane przez Żydów (prawie 5 tys.) Polaków i Ukraińców. Podczas okupacji niemieckiej Żydów eksterminowano w czterech "akcjach": w lipcu 1941 20 sierpnia 1941 21 maja 1942 (oraz 25 września 1942 Egzekucji dokonało SD z Równego niemiecka żandarmeria i ukraińska policja 6 października 1943 UPA spaliła miasto; liczby ofiar ataku nie ustalono.

Kiedy zaczęto napadać na Polaków, grabić, palić i mordować, wszyscy żyli w okropnej trwodze. Nie nocowano w domach, tylko w różnych kryjówkach (w zbożu, w zagajnikach, w szuwarach nad stawami). Ludzie uciekali do Międzyrzecza, stąd do Równego, by dostać się do Polski. Ukrainki przychodziły do niej i mówiły, żeby się nie bała, żeby nie uciekała. Docierały coraz nowe wieści: o wymordowanych Polakach z Krasieczyna:

O rodzinie Nowakowskich - zamordowano 5 osób. Jedyne syn Franciszek zdołał uciec, mieszka do dziś w Kielcach. Przy okazji pobytu w Krasieczynie odwiedza Stanisławę.

O rodzinie Michaliny Kuczkowskiej, która została zamordowana wraz z córką i dwoma synami. Jeden z jej synów, Jan, został zastrzelony jeszcze w Krasieczynie w r. 1939 przez sowiecką straż graniczną.

O rodzinie greckokatolickiego księdza Baka ze Śliwnicy. Zginął on, zamordowany wraz z żoną i córką w miejscowości Aleksandria, podczas odprawiania Mszy św. w kościele rzymsko-katolickim.

Wiedziała, że nie może zaufać żadnym zapewnieniom, musi uciekać. Poprosiła sąsiada Ukraińca, starszego człowieka, a którego rodziną żyła w przyjaźni, żeby zawiózł jej maszynę do szycia do Międzyrzecza. Posłuchał. Matka poszła do Międzyrzecza pieszo, a p. Stanisława ratowała konia, prowadząc go polami, aby nie wzbudzać żadnych podejrzeń. Wszyscy dotarli do Międzyrzecza. Gospodarz wrócił do domu, a one zanocowały u rodziny Katarzyny i Władysława Kuczkowskich. Znalazło tu schronienie więcej uciekających polskich rodzin. Spali wszyscy na podłodze, jeden obok drugiego. Z Międzyrzecza do Równego (56 km.) przedostali się z rodziną Władysława i Piotra Amarowiczów. W Równem Stanisława sprzedała konia za 1 litr bimbru i 2 kg. słoniny. Ten bimber i słoninę dała kolejarzom, aby pozwolili im załadować się do odkrytego wagonu pociągu towarowego wiozącego do Niemiec złom wraków samolotów i samochodów zniszczonych na wojnie. Tak dojechali wszyscy do Żurawicy.

Udało jej się uratować i przywieźć ze sobą maszynę do szycia, jedną poduszkę i jedno prześcieradło. W Krasieczynie okazało się, że

nie ma gdzie zamieszkać - wszystkie domy były pozajmowane. Zamieszkała więc wraz z matką na poddaszu domu gminnego w jednym pokoiku - dziś mieszka w nim p. Helena Ściera i Zbigniew Bryliński.

*

Stanisława Trojniak z domu Kuczkowska, siostra p. Antoniego Kuczkowskiego z Przemyśla tak zapamiętała tamte lata:

W kwietniu 1940 r. nastał tragiczny czas dla Krasiczyna. Sowieci wywieźli wszystkich jego mieszkańców - nas najdalej - na Wołyń, do miejscowości Kołowerta⁶² - kolonia Żelaźnicy. W Kołowercie była nasza rodzina: rodzice Katarzyna i Władysław Kuczkowscy, dzieci: Teresa, Józefa, Antoni i ja Stanisława oraz brat ojca Kazimierz Kuczkowski. Tam urodziła się moja siostra Maria. Prócz nas w Kołowercie osiedlono Leona Rożka z żoną, Górskiego z córką Heleną i synem Janem i Stefana Fedyka z synem Włodzimierzem. Należeliśmy do parafii Międzyrzec, ale chodziliśmy również do kościoła w Niwirkowie i do Korca – wszędzie była ta sama odległość ok. 10 km. Do szkoły ukraińskiej chodziłam do Żelaźnicy (3 km w jedną stronę).

*

Stanisława Zybińska z Krasiczyna

Po osiedleniu nas na Wołyniu stosunki nasze z tamtejszą ludnością zaczęły układać się bardzo dobrze. Świadczyliśmy sobie na wzajem różne przysługi. Szanowaliśmy się wzajemnie. Jednak z nastaniem wiosny 1943 r. ruszyła cała „akcja”. Żadna polska rodzina nie była spokojna. Chowaliśmy się gdzie tylko było można. Wymyślano coraz nowe miejsca schronienia, myśląc że "tu będzie bezpieczniej". Nie mogłam nocować poza domem, było mi bardzo ciężko – spodziewałam się dziecka. W końcu postanowiłam, że nie będę uciekać - zdaję się na łaskę P. Boga. Zaczęliśmy się przygotowywać do ucieczki w rodzinne strony. Mąż zamienił krowę na konia, kupił wóz i uprzęż. Nie mogliśmy jechać, czekaliśmy jeszcze na moje rozwiązanie.

Po rozwiązaniu zaczęliśmy się przygotowywać do drogi na dobre. Pewnego dnia przy szedł do nas sąsiad Ukrainiec - Wania (nazwiska

⁶² Wioska w gm. Międzyrzec mieszkało w niej dużo Ukraińców i Czechów, mało polskich rodzin.

nie pamiętam) i powiedział, żebyśmy nie ociągali się tylko uciekali jak najprędzej - nawet nie oglądając się za siebie. Wyjechaliśmy do Międzyrzecza, a następnie do Równego. W Równym mieszkał Paweł Mróz, miał on znajomych kolejarzy i pomagał ludziom z Krasiczyna wsiąść do pociągu. Pojechał z nami na stację kolejową do Zdołbunowa i tu pomógł nam wsiąść do pociągu towarowego, który jechał w kierunku Przemyśla i wioził rudę żelaza. Zajęliśmy jeden wagon odkryty z rudą: p. Anna Rokitowska, moja siostra Janina Winnicka z 2 synami i córką o 2 miesiące starszą od mojej Krysi, syn mojego brata Feliks Gwiazdowicz (16 lat), córka mojej siostry Roma Ligęza (10 lat) moi rodzice i ja z 3 tygodniową córeczką. Szwagier Winnicki i mój mąż pozostali w Równym sprzedawać konie i wozy. Przyszli do nas kolejarze i nakazali dużą ostrożność przy przekraczaniu granicy w Radziłowie. Tam pociąg zatrzyma się dłużej, nastąpi zmiana kolejarzy, a niemiecka straż graniczna może również sprawdzać skład pociągu.

Podczas jazdy nocą widzieliśmy wokół duże łuny pożarów - to płonęły polskie domy. Dojechaliśmy do Radziłowa. Przyszedł koło wagonu kolejarz i powiedział półszepem "jesteśmy na granicy, proszę zachować szczególną ostrożność", odszedł. Po pewnym czasie usłyszeliśmy tupot mocnych męskich butów - to Niemcy. Usłyszeli jakiś szmer w wagonie. Jeden wspiał się w górę i zajrzał do środka wagonu. Coś mówił. Zrozumiałam tylko słowo "familia". Za nim do środka zaglądnął drugi Niemiec. Powiedział łamaną polszczyzną "ruski - strzela". Pokiwaliśmy głowami. Nic więcej nie mówili, zostawili nas w spokoju odeszli. Tym otwartym wagonem jechaliśmy do domu ponad tydzień. W czasie wysiadania z pociągu zemdląła moja siostrzenica - Roma Ligęza. Nie widzieliśmy co robić, jak ratować dziecko na tym upale. W pobliżu przy rozładunku rudy żelaza pracowali jeńcy włoscy. Jeden z jeńców zobaczył co się dzieje. Przyniósł jakiś płyn w butelce i pokazywał na migi żeby go wlać dziecku do ust. Wlałam trochę tego płynu na rękę, była to gorąca kawa. Ostudziłam ją trochę na dłoni i zwilżyłam dziewczynce twarz, troszeczkę po palcach wlałam do ust - odzyskała przytomność. Kolejarze (nowa zmiana, prowadząca pociąg od Radziłowa) nie wiedzieli że mają w jednym

wagonie pasażerów. Kiedy zauważyli wysiadające osoby, przybiegli do nas i zaczęli robić awantury: „jak mogliśmy wsiąść do tego wagonu, czy my wiemy co ich czeka za przewóz osób itp”. Mój ojciec (Jan Gwiazdowicz) uciszał ich: "widzicie sami, tamci kolejarze to byli ludzie, pozwolili nam wsiąść do pociągu, a wy co wyprawiacie. W końcu dał kolejarzom bimber i załagodził sytuację.

Z dziećmi i tobołami jesteśmy w Żurawicy, ale co dalej? Ojciec zostawił nas i poszedł szukać jakiegoś środka lokomocji, aby zawieść nas do Przemyśla. Był to dzień przed jakimś świętem kościelnym, ale nie sobota (może przed Wniebowstąpieniem NMP - dokładnej daty nie pamiętam). Poszedł do jakiegoś gospodarza i prosił go żeby nas odwiózł do Przemyśla. Gospodarz miał jechać w pole po trawę dla inwentarza i nie bardzo chciał posłuchać. Z domu wyszła żona, kiedy dowiedziała się o co chodzi, zaczęła krzyczeć na męża żeby nie słuchał tylko jechał do swojej roboty. Ojciec był nieustępliwy, zaczął prosić gospodynię całując ją raz w jedną raz w drugą rękę. W końcu kazała mężowi pojechać. Załadowaliśmy tobołki i dzieci na ten wóz, na ostatku usiedli dorośli i tak pojechaliśmy do Przemyśla. Pani Anna Rokitowska wysiadła w Śródmieściu, powiedziała, że już sama da sobie radę. Nie wiem jak dostała się do Krasieczyna. Nas gospodarz zawiózł na Bakończyce na ul. Zielińskiego, tam mieszkał mój brat - Antoni Gwiazdowicz. Gospodarz za wyświadczoną nam przysługę otrzymał wynagrodzenie - bimber i słoninę (najpopularniejszy środek płatniczy), nie pamiętam w jakich ilościach.

Kiedy już trochę doprowadziliśmy się do porządku, ojciec postanowił, że pójdzie do Krasieczyna, zorientuje się jaka tam panuje sytuacja i zobaczy, co dzieje się z naszym domem. Rankiem wyruszył w drogę. Doszedł na Marusię. Tu z lasu wyszło dwóch ludzi (cywile) i zaczęli go legitymować. Dokumentów nie miał przy sobie. Mówił im, że *"jest z Przemyśla, dał sobie do jednego majstra na wsi robić buty, ten długo tych butów nie przynosi, idzie dowiedzieć się co z tymi butami"*. Widząc starszego człowieka, - coś poszeptali między sobą i puścili go, kazali iść dalej. Przed południem dotarł do Krasieczyna i udał się w kierunku swojego domu.

Domu nie zastał, został rozebrany. Pozostała tylko kupka gruzu po piecach i kominie. Na gruzie tym w słońcu wygrzewał się wąż. Na szelest kroków leniwie uniósł w górę głowę, ale ułożył ją ponownie na zwinięty w kłóbkę tułów. Wrócił do domu wieczorem, był smutny. Powiedział nam, że naszego domu nie ma i nie mamy dokąd wracać.

Po kilku dniach przyjechali z Równego szwagier Winnicki i mój mąż. Handel końmi i wozami udał się. Szwagier sprzedał konia i wóz za 1 l bimbrowy i 1 kg słoniny, a mój mąż za 1/2 l bimbrowy i męski zegarek kieszonkowy - zegarek był zepsuty i żaden zegarmistrz nie podjął się jego naprawy. Na Wołyniu pozostały jeszcze dwie moje siostry z mężami i dziećmi. Szwagier Ligęza zaraz po przyjeździe na Wołyń wpadł w niełaskę miejscowych Ukraińców. Ktoś z ludności krasiczyńskiej powiedział, że on był sierżantem Wojska Polskiego. Zaczęli go prześladować. Pod domem, w którym mieszkał wykopali grób, był on przeznaczony dla szwagra. Musiał się ukrywać. Oddzielnie ukrywał się on, a oddzielnie siostra z dziećmi. Nie każdą rodzinę stać było na kupno konia, aby dojechać do Międzyrzecza i Równego. W takiej sytuacji znalazły się obydwie moje siostry.

Po tragicznej śmierci rodziny Stefana Fedyka, Adolf Molenda (syn Zofii i Franciszka) rzucił się w wir niesienia pomocy rodzinom bezradnym. Codziennie zaprzęgał konia i jechał ludziom na pomoc. Matka prosiła: "Tolek uważaj, uważaj", a on jechał i zwoził ludzi do Międzyrzecza. Przywiózł moje siostry Ligęzową z dziećmi i Władysławę Amarowiczową z dziećmi. Pani Zybińska wspomina, że na Wołyniu oprócz już wymienionych rodzin z Krasieczyna wymordowani zostali:

Wolański (imienia nie pamięta) z żoną Jadwigą w miejscowości Czarne Łozy, Józef Buczułiński z żoną (imienia żony nie pamięta) i Leon Amarowicz z żoną (też imienia żony nie pamięta). Była też rodzina, która weszła w dobre układy z miejscowymi Ukraińcami. U nich w domu odbywały się zebrania banderowców. To rodzina Stanisława Rawki (żona i 2 synów). Oni też nie wrócili do Krasieczyna i nie wiadomo jaki spotkał ich dalszy los.

Wspomnienia Józefa Dorocha

28 stycznia 1988 w czasie kolędy spotkałem w Śliwnicy p. Józefa Dorocha, pochodzącego ze Śliwnicy mieszkańca Szczecina. Często bywa w Śliwnicy, wpierw u rodziców, potem u siostry, której pomaga. Interesuje się przeszłością regionu, jest czynnym działaczem ukraińskim. Pochodzi z rodziny mieszanej /ojciec Ukrainiec, matka Polka/. Podczas długiej rozmowy opowiedział mi wiele ciekawych rzeczy.

Józef Doroch urodził się w Śliwnicy w 1927 roku. W kwietniu 1940 został wysiedlony do Pikulic, gdzie mieszkał do maja 1948 roku. Po powrocie do Śliwnicy, skończył szkołę średnią w Przemyśle i w 1950 roku poszedł na studia ekonomiczne do Szczecina. Po studiach z nakazu pracy pracował w Krakowie w latach 1951- 1954, po czym wrócił do Szczecina, gdzie pracuje i mieszka do dziś.

Wzajemne współżycie

Wspominając lata dziecięce stwierdził, w szkole polskiej w Krasiczynie był jako przedmiot j. ukraiński. Współżycie wśród młodzieży ocenia dobrze: chodzili do kościoła wszyscy, wspominają wspólne święcenie wody na Sanie, przychodziły procesje ze Śliwnicy i Krasiczyna, spotykali się przy Domu Ludowym i wspólnie szli nad San.

Nie pamięta bójek między młodzieżą polską a ukraińską, raczej jeśli były, to między „piergiesami” z Krasiczyna a śliwniczanie. Jako przykład zgodnego współżycia wspomina rodzinę Wilczyńskich. Była tutaj straż pożarna, kiedy w cerkwi był Boży Grób, wszyscy wspólnie i Polacy i Ukraińcy trzymali straż od Wielkiego Piątku do Rezurekcji. Na święta, obydwie święta, zapraszali się i odwiedzali sąsiedzi. Uroczystości były skromne, pijaństwa takiego nie było.

Cerkiew

Gdy wybuchła I wojna Austriacy spalili ponad 30 wiosek, wśród nich i Śliwnicę, jesienią Madziarzy podpalili cerkiew. Było to w nocy. Msze przez dwa lata były w kaplicy zamkowej. Potem z fundacji Sapiehy odbudowano drewnianą cerkiew na starych fundamentach.

Potem opowiadał o ks. Baku, o odmalowaniu cerkwi i Sprowadzeniu ikonostasu z Felsztyna. Przed malowaniem cerkiew została pokryta blachą. Przed przesiedleniem część chorągwi i obrazów przeniesiono do Olszan. Po przesiedleniu władze radzieckie rozsprzedawały domy. – także murowany dom rodzinny Dorocha. W 1941 roku po napaści Niemiec na Rosję ludzie wracają. Na plebanii w Śliwnicy gnieździło się kilka rodzin i jeszcze była kaplica. P. Doroch zapamiętał - chyba w 1942 roku - zbiórkę pieniędzy na odbudowę cerkwi prowadzoną koło katedry w Przemyślu. Zebrano na zakup desek, na oszalowanie i na gonty na dach. Cerkiew została oszalowana. Proboszcz, którego nazwiska p. Doroch nie pamięta mieszkał na plebanii.

Opowiadał jak zdobył zdjęcie ks. Małyniaka, i o jego zesłaniu do Linzu. Opowiadał jak rodziła się wrogość między Polakami a Ukraińcami. W 1946 w wyniku likwidacji Unii nie było oficjalnego obrządku. Niemala ilość księży grekokatolickich odmówiła przejścia na prawosławie i została pozbawiona możliwości odprawiania nabożeństw. Część przeszła na prawosławie. Ks. Bak nie przeszedł. Niektórzy odprawiali w kościołach łacińskich.

Sprawa śliwnickiego obrazu

P. Doroch nie wie co się z obrazem stało, czy spłonął podczas pożaru, czy nie. Jako chłopiec pamięta obraz, pamięta też, że malarz oficer armii carskiej namalował nowy obraz, a stary zabrała Stefania Fenik. Chodziło do niej paru kupców i nie wiadomo, czy obraz sprzedała czy przekazała księżom za odprawienie gregorianki. W albumie ikon jest obraz MB Śliwnickiej w dobrym stanie. A ten stary był na płótnie. Podobno jest koło Wrocławia w cerkwi. Doroch opowiada, że chciałby, by obraz powrócił, oraz aby umieścić jakąś tablicę pamiątkową, albo postawi krzyż.

Stosunek władz radzieckich do księdza.

Doroch nie zauważył jakichś specjalnych szykan wobec księży obu obrządków. O wysiedleniu w 1945 roku, część wyjechała, część została wysiedlona w ramach akcji „Wisła”.

*

Wspomnienia Marii Amarowicz z Krasieczyna

W roku podczas kolędy rozmawiałem na temat śliwnickiego obrazu z p. Marią Amarowicz, mieszkanką w Krasieczynie, liczącą 72 lata. Jako dziewczynka (z domu Fenik) mieszkała w Śliwnicy w pobliżu cerkwi greckokatolickiej. W czasie wojny wpierw zesłana do Pikulic, potem wysiedlona do Niemiec. Przed wojną 1939 roku był na Śliwnicy ksiądz Łazurko (mąż uzupełnia, że potem był Maciuch). Ks. Łazurko i jego żona „to byli ludzie” (znaczeniu pozytywnym). Amarowiczowie nie wiedzieli co się stało z ks. Maciuchem. Obydwoje wspominają wspólne procesje na Jordan: „Razem szli nad San, razem śpiewali, razem służyli.” Po wojnie cerkiew nie była używana, została rozebrana przez Jana Szubana, a Hrycajko zaczął rozbierać synagogę (?), ale wywieźli go na Ukrainę i cegła zgniła. Rozmowa jednak była mało konkretna nie udało mi się potwierdzić znanych mi skąd inąd faktów.

Wspomnienia Wasyla Fenika

Pan Wasyl mieszkaniec Śliwnicy, urodził się w lutym 1900 r. Opowiadał o spaleniu cerkwi w 1915 roku: „Cerkiew była duża, drewniana, szalowana gontami, podobna do tej w Krasieczynie. Madziarzy przynieśli słomę i podpalili. Następnie wybudowali ludzie miejscowi. Budował ją ks. Łazurko. On poszedł na inną parafię do wioski Nahaczów, a przyszedł ksiądz Maciuch. Był rok, tymczasowo. Po nim przyszedł ks. Michał Bak. Był do końca, potem go wysiedlili do Równego. Tam umarł 1942 roku. Tam był z Amarowiczami. Kazali mu przejść na prawosławie, a on nie poszedł”.

P. Fenik potwierdza, że stosunki między księżmi układały się dobrze: „Odwiedzali się, ksiądz polski przychodził, odprawiał nabożeństwo, potem ksiądz ruski tam (w Krasieczynie) odprawiał. Tu nie było u nas żadnej różnicy. Ludzie żenili się między sobą. To dopiero teraz zrobili takie różnice, a przód tego nie było.” Gdy przyszli Rosjanie 1939 roku wpierw nic nie robili, ksiądz odprawiał, ale nie wolno było dzwonić, potem ludzi wysiedlili – opowiada gdzie. Gdy przyszli Niemcy Fenik był w Pikulicach. Po powrocie domu nie zastał: „na Cisową poszedł dom, stodoła”. Ksiądz Bak nie wrócił, biskup nadał innego, który odprawiał na plebanii do wysiedlenia w 1945 roku. Pojechał na wschód. Ludzie na wschód jechali niechętnie,

bo każdy zastawiał swój dom. Cerkiew jeszcze stała, ale Szuban „rozbirał, rozbirał, rozbirał, potem wziął i przewrócił.”

Obraz

„Był stary obraz, a potem w 1926 roku malarz namalował nowy – duży taki, metr miał, więcej. Stary był tak na boku, a nowy wstawili. Potem jak rozbierali cerkiew do kościoła zabrali. Jeden obraz na wschód zabrali, drugi obraz ten stary Stefka nieboszczka Fenikowa sprzedała. Dużo pieniędzy za to wzięła. Jakichś przyszło „dwech”, zapłacili dobrze jakichś 10 tysięcy, czy jakoś”.

Na koniec Fenik opowiada o ludziach ze Śliwnicy, którzy byli na frontach i zginęli. Wspomina księdza Lewickiego, który *odprawiał u księcia w kaplicy. Księżę nie był kiepski człowiek, pozwolił. Potem pomagał przy budowie cerkwi, dawał drzewo, deski z tartaku, pieniądze dawał, bo był kolatorem. Ksiądz dostawał 18 sągów na rok drzewa opałowego. Zaraz po wojnie był ks. Łoziński, on był samotny. Potem dojeżdżał z Prądkowiec ksiądz. Potem biskup nadał takiego młodego, a potem nastał ksiądz Lewicki. Miał dwie córki i syna. Siostra Fenika, Amarowiczowa chodziła z jedną z nich do szkoły. Ona raczej chodziła z córką księdza Łazurka.*

Fenik wspomina jak ludzie w Tarnawcach, wspólnie Ukraińcy i Polacy, wypalali cegły na kościół i cerkiew, którą podobnie jak w Śliwnicy, spalili Madziarzy. Z przejęciem opowiada, że dawniej *nie było różnicy, dopiero teraz coś się porobiło. Tam na wschodzie, na Wołyniu, zrobili to zamieszanie. Jak był chłopakiem chodził do kościoła jak szedł do szkoły (w Krasiczynie). Także jak w jedną niedzielę msza była w Śliwnicy, a na drugą ksiądz jechał do Tarnawiec, ludzie szli do kościoła. Ślub brał w cerkwi, a ponieważ matka była łacinniczką, jego siostra Maria Amarowicz była wychowana jako łacinniczka.*

*

Wspomnienia Stelmaszczyk Albiny

Mieszkanka Śliwnicy, lat 82. Mieszkała bliźniutko cerkwi. Potwierdza (przy pomocy córki Ścierowej, którą słyszeć w tle), że księża żyli w zgodzie, odbywały się wspólne uroczystości Jordanu. Nie pamięta czy ksiądz wyjechał sam, czy go wywieźli. Sami byli wysiedleni do Żrótowic. Po powrocie domu nie zastali, („ruski” sprzedali go do Bryliniec), stodoła murowana stała. Dużo powiedziałaaby księdzu na ten temat Zwolińska. (Maria z domu zameżna w Krasiczynie)

Wspomnienie o Wiktorze Kuriańczyku

W 1996 r. pożegnaliśmy śp. Wiktora Kuriańczyka, który odszedł od nas na wieczny odpoczynek. Zнали Go mieszkańcy Krasieczyna i okolicznych wiosek: pracowity, uczciwy, spokojny, uczynny i życzliwy dla każdego. Ale - czy znaliśmy go naprawdę?

Wiktor Kuriańczyk urodził się 21 maja 1920 r. we wsi Jaśkówka, gmina Dolhinów, powiat Wilejka woj. Wilno. Ziemie te wówczas należały do Polski i rodzina Wiktora była rodziną polską. Rodzice byli rolnikami po-siadali 6 hektarowe gospodarstwo rolne z którego musieli utrzymać i wyży-wić 9 dzieci. Kiedy Wiktor ukończył 4 klasę szkoły podstawowej rodzice oddali go na służbę do bogatszego gospodarza - paść krowy. Po ukończeniu 16 lat awansował na parobka sezonowego do ciężkich prac (po 12 godzin dziennie) w majątku Izabelino. Tu pracował 6 lat.

W 1939 roku wybuchła wojna z Niemcami, po 17 września rodzinne jego strony znalazły się pod okupacją sowiecką. Nastaly bardzo ciężkie czasy. Z 6 hektarowego gospodarstwa musiano zdawać obowiązkowe dostawy dla państwa sowieckiego: dużo zboża, mięsa i mleka. Ponadto zabierali ludzi na przymusowe roboty do lasu. Plan na jedną pilę wynosił 40 m³ drewna: ściąć, wyrobić, a kto posiadał konie - jeszcze wywieźć. Za nie wykonanie planu - zsyłka na Sybir - bez sądu i wyroku.

Kiedy rozpoczęła się wojna niemiecko - sowiecka i na Litwę wkroczyli Niemcy, niektórzy ludzie cieszyli się i witali ich kwiatami. Wiktor nie mógł tego czynić, bo enkawudziści uciekając przed Niemcami zabrali go z końmi i wozem - za furmana. Odwoził ich w rodzinne strony w głąb Rosji. Uciekali przez 2 tygodnie dzień i noc, prawie bez wypoczynku (ponad 300 km). W mieście Witebsk w czasie nalotu niemieckich samolotów przy wozie Wiktora porwały się postronki. Musiał się zatrzymać, aby je naprawić. Za to enkawudzista chciał Go zastrzelić. Przyłożył mu pistolet do głowy, siedząca na wozie Rosjanka wybiła pistolet i wystrzelił w górę, obok głowy Wiktora.

Dojechali do miejscowości Uta i Tuła. Tam kazano im oddać konie i wozy do kołchozu, a samym wracać do domu. Wracali bez

pieniędzy, żywności i środków lokomocji. Po dwudniowej wędrówce zatrzymali ich rosyjscy żołnierze z czerwonymi otokami na czapkach. Powiedział, że dalej iść nie można, bo tam są Niemcy. Musieli razem z frontem uciekać w głąb Rosji.

Ponieważ jego rocznik podlegał służbie wojskowej, wcielono go do Armii Czerwonej. Otrzymał karabin na sznurku i 5 naboji do walki z Niemcami. Znow rozpoczął się kilkudniowy marsz dzień i noc. Spanie na stojąco. Po pewnym czasie znaleźli się między lasami na terenach bagnistych, porośniętych mchem i małymi sosnami. Nie wiadomo było gdzie postawić nogę, bo wszędzie bagna bez dna. W tym miejscu zaatakowali ich Niemcy. Okrążyli na motocyklach i z góry strzelali z samolotów. Wszyscy rozproszyli się po tych bagnach. Jedni ginęli od pocisków, drudzy tonęli w błocie. Wiktor i jego kolega (nazwiska nie pamiętał), pochodził z jego rodzinnych stron ze wsi Niebeszyno zawiesili się na wodorostach i tak w moczarach przebywali przez 2 tygodnie. Żywili się jagodami i miazgą młodych drzew. Powoli dotarli do twardego gruntu. Karabiny pogubili w błocie. Wyjść z lasu nie mogli, bo ciągle słysząc było strzelaninę. Wreszcie kolega postanowił wyjść z lasu i pójść do wsi po żywność (wieś nazywała się Biarozki). Złapali go Niemcy i powiesili w tej wsi. Wiktor pozostał sam. Spał na drzewach, bo wokół grasowały wilki. Wyjść z lasu nie mógł bo ciągle słyszał strzały.

Po ustaniu oblężenia rozpoczął wędrówkę do domu. Spotykani ludzie byli bojaźliwi i niechętnie udzielali schronienia i żywności obcemu. Późną jesienią 1941 r. na czworaka (na rękach i nogach), bo na nogach iść nie miał sił, dotarł do domu we wsi Jaśkówka. Był bardzo chory na żołądek i na płuca. Rok chorował i ukrywał się przed Niemcami.

W roku 1943 pewnej nocy do domu Wiktora przyszli partyzanci sowieccy. Zmusili go do współpracy z nimi. Grozili, że jeśli tego nie uczyni, to go zabiją - za dezercję z Armii Czerwonej i z frontu. Byli dobrze poinformowani przez ludzi. Czasy były bardzo trudne. W domu nie było co jeść. W nocy przychodzili sowieccy partyzanci i rabowali, w dzień rabowali Niemcy i urządzali łapanki na młodych ludzi, wywozili ich na przymusowe roboty do Niemiec. Na rodzin-

nych terenach Wiktora, działała partyzantka sowiecka pod nazwą Kurowa, znał dowódcę partyzantki, nazywali go Barysuk, a sekretarzem był Askibowicz. Jemu przydzielali najtrudniejsze zadania. Nie bacząc na to, że jest chory i głodny, musiał każdego dnia iść lasami i obserwować ruch niemieckich wojsk na głównej szosie, (w którym kierunku się odbywa). Raz w tygodniu (a bywało i 2 razy) prowadził partyzantów na zasadzki na Niemców, po 15 i 20 km, do minowania torów kolejowych i różnych niemieckich magazynów. Nie zawsze zasadzki się udawały, uciekano, byli ranni. Winę za nieudaną zasadzkę przypisywano jemu.

W maju 1944 r. na Litwę ponownie przyszedł front i wkroczyły wojska sowieckie. Dowódca partyzantki oświadczył, że Wiktor nie odbył regularnej służby w partyzantce i musi iść walczyć na front. Zgłosił się do RKW w Krywicze. Został skierowany na przeszkolenie do Smoleńska, a ze Smoleńska na front. Przydzielono go do łączności: II Białoruski Front, 186 dywizja, 237 pułk, 8 bateria. Walczył cały rok bez przerwy do zakończenia wojny. Przeszedł całą Polskę ze swoim kablem i aparaturą nadawczo-odbiorczą. Bił się z Niemcami o każdy metr polskiej ziemi. Zdobywał miasta: Sokołów Podlaski, Wyszaków, Warszawę, Starogard, Gdynię, Gdańsk i Szczecin (wymieniam większe miasta). Forsował rzeki Narew (kilkakrotnie), Bug, Wisłę i Odrę. W Narwi tonął, kilka razy był przysypany ziemią - z każdej opresji wychodził cało. Pociski, które spadały obok niego, nie wybuchały, doznawał tylko powierzchownych ran. Mówił, że w bojach miał więcej szczęścia niż rozumu. Walczył przez cały okres na pierwszej linii frontu, z trudnym i lepiej przygotowanym wrogiem - tylko cudem został przy życiu. Walczył w armii czerwonej, o polskim wojsku nie wiedział.

Pod Warszawą dowiedział się o istnieniu polskiej dywizji - chciał do niej przejść, ale dowódca rosyjski mu nie pozwolił, powiedział, że to "*wsio rawno. Do polskiej armii pójdziesz po skończonej wojnie*". Walki były okrutne. Żeby zdobyć bunkry czy czołgi niemieckie, ginęło dużo żołnierzy Armii Czerwonej, często musiano iść po trupach, aby nie pozwolić Niemcom odbić raz zdobytych terenów. Mówił, że prawdziwi bohaterowie polegali na polach bitew. Ci, którym udało się

zwycięzać i uratować życie, byli dekorowani medalami (On też nabiierał tych medali) a ich dowódcy otrzymywali nagrody pieniężne i urlopy. Często bywało tak, że podczas walki zabrakło amunicji, żeby walczyć dalej musiano ją zdobyć od wroga.

Najokrutniejszą walkę jaką wspominał, to obrona małego skrawka ziemi nad Odrą. Były tam ogromne bunkry, o które Niemcy walczyli zaciekle. Przez 5 dni i nocy trwała walka, było już beznadziejnie. Wzywał o pomoc. Skierowano im do pomocy katiusze. Po kilku wystrzałach katiusze zdobyły bunkry, paliła się wokół ziemia. Trupy leżały bez rąk i nóg z popalonymi głowami. Niemcy najbardziej bali się katiusz.

Swoją walkę zakończył nad Łabą - 90 km od Berlina. Tu doszła go wieść o zakończeniu wojny. Po 2 tygodniowym wypoczynku nad Zalewem Szczecińskim zostali zmotoryzowani w amerykańskie maszyny bojowe i wyruszyli w drogę powrotną do Rosji. Nie mógł dojść do porozumienia z dowódcą rosyjskim, że jest Polakiem i nie ma potrzeby jechać do Rosji. Bardzo spieszyli się z tym powrotem. Planował dezercję, ale w Polsce nie miał rodziny, ani znajomych, nikogo, kto mógłby mu udzielić pomocy. Nagle coś się odmieniło. Rosjanie zawrócili z drogi, cieszył się bardzo tą zmianą decyzji. Okazało się, że jechali na front japoński, ale wojna z Japonią zakończyła się.

Jeszcze cały rok był w Armii Czerwonej i stacjonował w Ząbkowicach Śląskich. Pewnego dnia przyszedł rozkaz oddzielenia Polaków z Armii Czerwonej. Odczytano rozkaz na zbiórce i podano komendę, aby Polacy wystąpili z szeregu. Wystąpił z szeregu. Zaczęły się namawiania, aby pozostał w Armii Czerwonej, a kiedy nie wyraził zgody; śledztwo, przesłuchania, pi-sanie wyjaśnień w końcu areszt i zsyłka do Związku Radzieckiego. We Włodzimierzu Wołyńskim został uniewinniony i zdemobilizowany z armii. Wrócić do Polski nie mógł - nie miał przepustki na przekroczenie granicy. W rodzinne strony wracać nie chciał - tam już nie było Polski. Rozpoczął starania w Konsulacie Polskim we Lwowie o kartę repatriacyjną i jako repatriant wrócił do kraju. Starał się o gospodarstwo rolne na Ziemiach Zachodnich, ale było już za późno, dobre gospodarstwa były już pozajmowane, a te które jeszcze zostały były wyszabrowane i

wymagały dużych inwestycji. Podjął pracę w majątku rolnym Tymianów jako dozorca, a następnie wstąpił do Milicji Obywatelskiej w Kątach. Skierowano go do szkoły milicyjnej we Wrocławiu.

Po śmierci generała Świerczewskiego dostał rozkaz wyjazdu do Rzeszowa na likwidację UPA. Tak znalazł się w Krasieczynie - jako *"utrwalacz władzy ludowej"* (sam się tak określił). Tu założył rodzinę i zadomowił się. Życie w Krasieczynie też nie było łatwe. Na posterunku w Krasieczynie uważano go za najgorszego - Moskała, stalinowca, służył w Czerwonej Armii, przyjechał zakładać kołchozy - taką miał opinię w komendzie powiatowej w Przemyśle. Żli ludzie wykorzystali sytuację, której nie zawinił, oskarżyli go, odbył się proces, zapadł wyrok, dostał się do więzienia w Rzeszowie. Następnie został rehabilitowany, proponowano mu ponownie pracę w milicji, ale jej nie przyjął. Podjął pracę w PGR Olszany - Mielnów jako brygadzysta polowy. Rozpoczął starania o zdobycie zawodu. Było trudno: dom, małe dzieci, gospodarstwo rolne, budowa nowego domu, praca zawodowa - jeszcze nauka. Ukończył szkołę weterynaryjną w Łodzi i zdobył zawód sanitariusza weterynarii. W tym zawodzie pracował do przejścia na emeryturę. Swoją pracowitością, spokojem, życzliwością i niesieniem pomocy każdemu, kto jej potrzebował zasłużył na to, aby jak najdłużej pozostał w naszej pamięci.

Wspomnienie opracowane przez Bronisławę Mazuryk ukazał się we „Wieściach” nr z roku 1996

„Wojna i ja”

Wojenne losy Zofii Rodzeń z Tarnawiec spisała Sabina Łuka ucz. Gimnazjum im A.S Sapiehy w Krasieczynie na ogólnopolski konkurs historyczny Instytutu Pamięci Narodowej w r. 2003.(fragmenty).

Okupacja rosyjska rozpoczęła się w 1939 roku od przekazania przez wojsko niemieckie władzy wojskom rosyjskim. Wprowadzono język rosyjski i ukraiński, 90 % ulic przemianowano, aresztowano i mordowano inteligencję polską oraz działaczy społecznych. Polityka obu okupantów była jednakowa, także w odniesieniu do prostych ludzi. Z opowiadań Zofii Rodzeń, zapisanych przez Sabinę wynika, że „Pewnego kwietniowego dnia 1940 roku wszyscy mieszkańcy Tarnawiec otrzymali nakaz opuszczenia wsi, ponieważ wzdłuż Sanu, który przepływa przez wieś, okupanci wyznaczyli linię frontu. Zapanowała rozpacz. Każdy zaczął pakować dobytek i przygotowywać się do opuszczenia wsi. Chłopi z sąsiednich wsi przyjechali wozami i zawieźli nas na stację kolejową Przemyśl-Bakończyce. Stamtąd po-ciągami towarowymi wywozili ludzi na Wołyń, w ZSRR. Przewozili nas w nieludzkich warunkach, utłoczonych ile wlezie w wagonach. Przez kilka dni jedliśmy tylko to, co wzięliśmy ze sobą, czyli naprawdę niewiele.

Wreszcie dotarliśmy do miejsca przeznaczenia. Była to Stara Lubomirka⁶³. Przydzielono nam gospodarstwo po rodzinie wysiedlonej na Sybir. Była wiosna, trzeba było brać się za uprawę ziemi. Sadziliśmy ziemniaki, siali zboże, ale ziemia tam była jałowa, więc nie było urodzajnych plonów. A przy tym panował straszny głód. Drugi rok pobytu był o wiele trudniejszy. Oprócz tęsknoty za domem powstawały bandy ukraińskie, które napadały na Polaków. Trzeba było się ukrywać, chować żywność, a samemu uciekać w pola i tam koczować po nocach. Czasem starzy mieszkańcy tej kolonii udzielali nam schronienia. Kto był trochę bogatszy to uciekał do miasta. Do

⁶³ Lubomirka Stara, leżała w gminie Aleksandrja, w pow. Równe, woj. wołyńskie.

kościół mogliśmy chodzić tylko przez pierwszy rok, ponieważ droga wiodła przez las i było niebezpiecznie. Dzieci chodziły do szkoły. Uczono tylko języka rosyjskiego i rachunków.

W 1941 roku został zerwany pakt Ribbentrop-Mołotow, i okupant niemiecki zaczął masowe wywózki na roboty przymusowe. Wszyscy urodzeni w latach 1923 – 25 musieli stawić się do Urzędu Gminy. Dali nam 24 godziny na spakowanie się i pożegnanie. Następnego dnia spod Urzędu Gminy zabrał nas niemiecki samochód na stację kolejową w Aleksandryji. W pociągu towarowym warunki były podobne do tych, jak jechaliśmy na Wołyń. Przez dwa tygodnie tylko raz dostaliśmy zupeł, musieliśmy jeść to, co zabraliśmy z domu. Jechaliśmy przez Polskę i Czechy do Niemiec. Tu czekali na nas gospodarze. Każdy dobierał sobie robotników według potrzeb. Mnie wybrał sobie gospodarz z Posesdorfu, niedaleko miasta Horn. Nasi gospodarze nazywali się Maria i John Marhold. Mieli troje dzieci, dwóch synów i córkę. Córka, mężatka, mieszkała we Wiedniu i czasem odwiedzała rodziców, synowie byli w wojsku. Młodszy był lotnikiem, starszy żołnierzem, wylapywał bandy, które ukrywały się po lasach. W ich gospodarstwie pracował już parobek z Wadowic, nazywał się Czesław, był studentem. Dostałam oddzielny pokój, ale zimny, ciemny i nieprzyjemny. Moje ubrania zostały spalone, gospodyni kazała mi się wykapać i dała mi swoje. Moje obowiązki to praca przy krowach i w polu. Codziennie rano gospodarz budził mnie o 4.00. Brałam się za dojenie krów, Było ich osiem sztuk. Potem karmiłam cielaki, wywoziłam obornik i dopiero szłam na śniadanie. Była czarna kawa zbożowa i postny chleb. Mieliśmy na tyle dobrych gospodarzy, że jadaliśmy przy jednym stole. Obiad, który składał się z dwóch dań, przygotowywała gospodyni. Kolacja była trochę lepsze niż śniadanie. Przy każdym posiłku mogliśmy najeść się do syta. Praca na roli to sadzenie ziemniaków, buraków siew zboża. Latem plewienie, pielęgnowanie, zbiór we żniwa. W zimie omłoty i ścinka drzew w lesie na opał. Jedyne buty to trepy, czyli drewniaki. Zimą trzeba było owijać nogi. Jedyne ciepło to stajnia. Cięliśmy sieczkę dla

bydła i kroili buraki na buraczarce. Przy tej robocie buraczarka obciąła mi palec. Znalazłam się w szpitalu w Hornie. Bez środków przeciwbólowych zaszyto mi palec i po miesiącu wróciłam do pracy. Przez dwa lata tylko raz byłam w kościele. Raz w tygodniu, w niedzielę, mogłam odwiedzić kuzynkę, która pracowała w sąsiednim gospodarstwie. Powoli nauczyłam się języka i rozumiałam swoich gospodarzy.

Po wkroczeniu armii rosyjskiej moi gospodarze i wielu innych, ukrywało się poza domem przed żołnierzami, którzy nie oszczędzali nikogo.. To był dla nas dobry znak. Spakowałam się, mogłam zabrać, co chciałam. Parobki z sąsiednich gospodarstw zaprzęgli konie i wyruszyliśmy w drogę powrotną. Jechaliśmy przez Czechy do Polski. W czeskich lasach grasowały bandy, które zrabowały nam wszystko, co wieźliśmy z Niemiec. W Bielsku musieliśmy zostawić konie. Stamtąd, z moją kuzynką, wróciłyśmy pociągiem do Przemyśla, a stąd piechcą do Tarnawiec., w tym tylko, co miałam na sobie. Szłam do domu z radością, że nareszcie spotkam rodzinę w komplecie. Niestety, w domu zastałam tylko ojca i najmłodszą siostrę. Reszta rodziny została na Wołyniu...

Zofia Rodzeń z domu Leńczyk ur. 3.05. 1924. zam Tarnawce 71 była wywieziona w marcu 1943 r. do III Rzeszy Niemieckiej na roboty przymusowe gdzie pracowała do maja 1945 roku. Potwierdzili to, na potrzeby Komisji niemieckiej w celu otrzymania odszkodowania, Józef Paska, wywieziony razem z nią i Stanisława Pilipiec wywieziona tym samym transportem, Wpierw, czego, nie potwierdzili bo Rosja odszkodowań nie wypłaca, była zesłana na Wołyń.

„Trzy lata, które trudno zapomnieć”

Wspomnienia Emilii Koreckiej⁶⁴ zamieszkałej w Olszanach spisane przez Joannę Korecką uczennicę Gimnazjum im A.S Sapiehy w Krasicy na ogólnopolski konkurs historyczny Instytutu Pamięci Narodowej. w roku 2003. (fragmenty).

Tak to wspomina:

„24 lutego 1942 roku musiałam wstać o trzeciej nad ranem, aby wyruszyć do Krakowa. Mój tata zawiózł mnie wozem na punkt zborny w Przemyślu, gdzie czekały ciężarówki. Do jednej wsiadały kobiety, a do drugiej chłopcy. W samochodzie nie tylko było ciasno, ale zimno i brudno. Jechaliśmy ok. 10 godzin. W Krakowie, w niepewności czekaliśmy na pociąg towarowy, który podstawiono dopiero drugiego dnia. Gdy nadeszła pora na naszą grupę, wsiadaliśmy pojedynczo, każdy zajmował miejsce wyznaczone przez gestapo. Było ciasno i zimno, Jechaliśmy długo, z wieloma przesiadkami, często kontrolowani przez Niemców, Strasznie się bałam czy mnie nie wezmą. Ludzie zawsze byli przerażeni. Po miesiącu byłam na miejscu, w gospodarstwie rolnym Kamila Schneidera w wiosce Lagensdorf, gdzie miałam wykonywać zlecone prace. Pracowałam od rana do nocy. Najcięższe były pierwsze tygodnie, trudno było przyzwyczaić się do panujących tam warunków. Było to wielkie gospodarstwo,. Zimą pracowałam przy koniach, krowach, owcach i innych zwierzętach. Wykonywaliśmy też roboty domowe jak sprzątanie, gotowanie.

Latem było gorzej. Harówka od rana do nocy przy sianokosach, zbieraniu warzyw, takich jak kapusta, marchew, często oraliśmy w polu, Rzadko kiedy mieliśmy czas dla siebie Z początku kontaktowałam się z rodziną w Polsce, lecz potem brakło mi czasu i sił na korespondencję. Prawie nie opuszczaliśmy terenu gospodarstwa, ze względu na „łapanki” jakie panowały, Było bardzo groźnie.

⁶⁴ Emilia Korecka urodziła się w 1921 roku. Mając 22 lata została wywieziona na roboty do miejscowości Langendorf w Czechach.

Na początku w Langendorfie jadło się i piło co się zabrało w podróż. Ale potem z jedzeniem i piciem nie było problemu. Najczęściej jadło się zupy mleczne z ziemniakami oraz drożdżówki z serem tzw. buchty. Do roboty dostawaliśmy specjalne ubrania, W lecie nosiło się długie spódnice i krótkie bluzki, a na wierzch krótki fartuch oraz sandały, noszone bez względu na płeć. W zimie zaś, czarne szerokie spodnie z kieszeniami, Czasem dostawaliśmy swetry, a na wierzch kożuch. Na nogi zakładano nieocieplane kalosze. Takie ubranie obowiązywało w pracy. W wolnym czasie na strojenie nie było głowy: harowało się do nocy, później się jadło, piło i szło spać. Nawet na mycie, w miednicy, bez mydła, nie było czasu. Innych środków czystości nie było.

Miedzy sobą mówiliśmy po czesku. Nie wolno było mówić głośno po polsku. Za ojczystą, polską mowę, można było być skarconym np. kilkudniową głodówką. Dlatego z czasem opanowałam język czeski. Zwyczaje i religie były takie same, lub podobne jak w Polsce. Gdy przychodziło Boże Narodzenie, czy Wielkanoc, wszyscy starali się jakoś przygotować, choć wyznania były zróżnicowane. Trudno było iść do kościoła na Msze św. choć niedziela to był jedyny dzień wolny od pracy, ale nie zawsze. Zresztą do kościoła było daleko, w mojej miejscowości nie było kościoła, tylko mała kapliczka, nie często otwierana. Jednak niekiedy byłam na Mszy św, w kościele oddalonym o 6 km. Modliłam się codziennie, prosząc Boga, bym wytrzymała w tej męczarni i wróciła szczęśliwie do rodzinnego domu .

Wreszcie dostałam wiadomość o zwolnieniu mnie z robót i że mogę wracać do domu do Polski. Bardzo się cieszyła, jednak trudno mi było rozstać się z ludźmi, z którymi tak bardzo tak ciężko „harowałam” i dzieliłam się, gdy im brakowało chleba, czy też potrzebowali pomocy.

15 maja 1945 r. wróciłam do Polski. Wracałam także wagonami towarowymi. Po miesiącu podróży spotkałam się z rodziną. Miałam już 25 lat. Trzy lata wielkiej męczarni, harówki, strachu, przed Niemcami, niebezpieczeństwa skończyły się. Nareszcie w domu. Dziś

mam 82 lata. Jest mi trudno to wszystko wspominać. Nie chce do tego wracać, Do tej niepewności, strachu, męczarni, to tego terroru. Nie życzę nikomu, by znowu przeżywał wojnę. Dziś, będąc staruszką, pragnę jedynie spokoju i żeby nie było wojny. Myślę, że nigdy nie wrócą dni, straszne, jak kiedyś.

Słuchając wspomnień mojej babci, stwierdzam, że lata okupacji sowiecko-niemieckiej były trudne. Polaków wysiedlano i na Sybir, i gdzieś do rzeszy. Były masowe egzekucje, Polska najbardziej wycierpiała ze wszystkich państw okupowanych, bo obaj okupanci prześcigali się w represjach na polskiej ludności.

*

*Wspomnienia Emilii Koreckiej spisała Joanna
Korecka*

Gdy przygotowywałem do druku drugie wydanie tych wspomnień, odbyła się w Krasieczynie uroczystość 130 lecia istnienia Ochotniczej Straży Pożarnej. Przypadkowa, czy opatrnościowa zbieżność, skłoniła mnie do zamieszczenia szczegółowego sprawozdania z tej uroczystości, w oparciu o oryginalne teksty i program Uroczystości. Może to stanowić ciekawostkę dla przyszłego Czytelnika czy Historyka.

ks. St. Bartmiński

130 lecie OSP w Krasieczynie

1 lipca 2006 roku odbyły się uroczystości stutrzydziestolecia Ochotniczej Straży Pożarnej w Krasieczynie zorganizowane przy współudziale Gminy Krasieczyn. Uroczystość rozpoczęła się o g. 14,45 przemarszem Członków OSP w strojach galowych, z remizy do kościoła, gdzie Mszy Św. przewodniczył ks. proboszcz Stanisław Bartmiński, a uroczystość uświetniła Orkiestra Strażacka z Sośnicy. Następnie wszyscy przemaszzerowali na dziedziniec krasieczyńskiego zamku, gdzie we wspianalej scenerii orkiestra OSP z Sośnicy odegrała Hymn Państwowy, a Marek Sus Komendant OSP w Krasieczynie, prowadzący całą uroczystość, powitał zaproszonych Gości:

Z okazji uroczystości obchodów 130-lecia istnienia OSP Krasieczyn pragnę serdecznie powitać zaproszonych na tę uroczystość gości:

a) „Z „Agencji Rozwoju Przemysłu Warszawa” – jako Gospodarza Obiektu - obecnością swoją zaszczytili naszą uroczystość:
- P. Dyrektor - Andrzej Zając;
- P. Dyrektor - Stanisława Majewska;
-b) Równie serdecznie witamy proboszcza parafii Krasieczyn – ks. Stanisława Bartmińskiego – Honorowego Obywatela Gminy Krasieczyn, jak też wikarego - ks. Lesława Kubickiego.
c) Witamy przedstawicieli władz samorządu terytorialnego Panów
- Wójta Gminy Krasieczyn – p. Jerzego Kowalskiego;
- Przewodniczącego Rady Gminy P. Mieczysława Wojciechowskiego
- Zastępcę Przewodniczącego Rady Gminy – P. Adama Koziola;

- Sekretarza Gminy Krasieczyn – P. Tadeusza Bobka;
- Skarbnika Gminy Krasieczyn – P. Alicję Pilch;
d) Przedstawicieli Państwowej Straży Pożarnej w Przemysłu:
- Zastępcę Komendanta Miejskiego PSP – Witolda Klepackiego; oraz
Adama Sosnowskiego, Wiesława Bazanowskiego i Zdzisława Wójcika
e) Przedstawicieli Związku OSP RP:
-Dyrektora Biura Adama Szumelę, oraz Prezesa Juliana Sieradzkiego;
f) Przedstawicieli Policji: Bogdana Sawickiego i Henryka Lechocińskiego;
g) oraz innych zaproszonych gości:
- Prezesa OSP Sośnica, z której pochodzi Orkiestra uświetniająca naszą uroczystość
- P. Bogdana Świdra; - Prezesa OSP Bircza – Andrzeja Atamańczuka;
i) Serdecznie witamy też Orkiestrę Strażacką z Sośnicy, która będzie nam dziś wraz ze swoją muzyką towarzyszyć;
j) I na koniec witam wszystkich druhów Strażaków i ich żony, oraz koleżanki, bo to dzięki postawie ich i ich poprzedników - OSP Krasieczyn trwa już od 130-lat.
„Dziękujemy wszystkim za przybycie i wzięcie udziału w naszym Jubileuszu, oraz zapraszamy do udziału w dalszych uroczystościach”.

Po przywitaniu, odczytany został rys historyczny OSP Krasieczyn, poczym nastąpiło poświęcenie przez ks. proboszcza i przekazanie sztandaru ufundowanego przez policję w Krasieczynie dla OSP Krasieczyn, Sztandar przedstawiający Św. Floriana przekazali policjanci w ręce pocztu sztandarowego:

Stanowili go Rafał Krzywiński, Mariusz Prokopski, Rawicki Mateusz. Po poświęceniu Sztandaru Ks. proboszcz – już w strugach deszczu poświęcił sprzęt strażacki: samochód tarpan Honker i łódź ratunkową do ratownictwa wodnego. Sprzęt ten dzięki bardzo dobrej współpracy miejscowej OSP z Policją w Krasieczynie, został przekazany i wyremontowany we własnym zakresie przez członków OSP Krasieczyn, którzy przy remoncie poświęcili swój czas i umiejętności. Nie możemy też zapomnieć o znacznej pomocy finansowej ARP w Warszawie, za którą serdecznie dziękujemy. Samochód już niejed-

nokrotnie brał udział w akcjach ratowniczych. Natomiast Łódź już w najbliższym czasie będzie mogła być wykorzystana dla celów ratownictwa wodnego. Po przerwie, gdy koncertowała orkiestra, odbyło się wręczenie medali i odznaczeń przez Dyrektora Biura Terenowego OSP RP – Członka Zarządu Wojewódzkiego – Adama Szumelę, oraz Prezesa Zarządu Powiatowego – Juliana Sieradzkiego następujących Strażakom:

Złotym Medalem "ZA ZASŁUGI DLA POŻARNICTWA" odznaczeni zostali:

Zbigniew Pisarski, Tomasz Pankiewicz, Jacek Amarowicz.

Srebrne medale otrzymali: Tomasz Sekuła i Piotr Rodzeń

a brązowe: Łukasz Kruk i Robert Uchman

Okolicznościowe statuetki od członków OSP Krasiczyn otrzymali” Prezes Witold Kazienko i Naczelnik - Jerzy Pisarski.

Kolejny etap, to wbicie okolicznościowych gwoździ (z wygrawerowanymi nazwiskami) w tablicę upamiętniającą powstanie



OSP Krasieczyn. Dokonali tego wszyscy drhowie OSP, oraz goście w liczbie 70 osób. a podczas uroczystości przygrywała Orkiestra Strażacka z Sośnicy

Ks. proboszcz, Stanisław Bartmiński,	Ks. wikariusz Lesław Kubicki
Wójt Gminy Jerzy Kowalski,	Przew, Rady Gminy Miecz. Wojciechowski
Zast. Przew. Adam Kozioł	Sekretarz Gminy Tadeusz Bobko
Skarbnik Gminy Alicja Pilch	Prezes ARP W-Wa Arkadiusz Krężel
Prezes ARP W-wa Andrzej Zając	Dyrektor Zamku Stanisława Majewska
Zast. Dyr, Bartłomiej Cielecki	Komendant miejski PSP Jezry Swist
Z-ca kom. miejskiego PSP Witold Klepacki	PSP w Przemysłu Wielaw Bazanowski
Dowódca JRG w Przemysłu Artur Domagalski	Z-ca dowódcy JRG w Przem. Adam Sosnowski
PSP w Przemysłu Zdzisław Wójcik	PSP w Przemysłu Wiesław Bazanowski
Dyr Biura Zarządu OSP Adam Szumelda	Prezes Zarządu Pow. OSP Julian Sieradzki
Komendant Policji w Kras. Bogdan Sawicki	Z-ca Komendanta Henryk Lechociński
Firma Domator Beata, Bariusz Sokół	Prezes OSP Sośnica Bogdan Swider
Prezes OSP Bircza Andrzej Atamańczuk	Józef Racobor
Prezes Zarządu Gm OSP Kras. Józef Zwoliński	Komendant Gminny OSP Marek Sus
OSP Kras. Aleksander Staroniewicz	Zca-Naczelnika OSP Kras Zbigniew Pisarski
Sekretarz OSP Kras. Tomasz Pankiewicz	Skarbnik OSP Kras. Tomasz Sekuła
Gospodarz OSP Kras. Jacek Amarowicz	Kronikarz OSP Kras. Łukasz Kruk
Komisja Rew. OSP Kras. Czesław Pańczyszyn	Komisja Rew. OSP Kras. Piotr Rodzeń
OSP Kras. Bogdan Prokopski	OSP Kras. Grzegorz Amarowicz
OSP Kras. Roman Lisowiec	OSP Kras. Henryk Staroniewicz
OSP Kras. Franciszek Iwanicki	OSP Kras. Zygmunt Urycz
OSP Kras. Jan Wójcik	OSP Kras. Marek Prokopski
OSP Kras. Stanisław Kołodziej	OSP Kras. Andrzej Mazurkiewicz
OSP Kras. Tomasz Amarowicz	OSP Kras. Mariusz Prokopski
OSP Kras. Robert Uberman	OSP Kras. Grzegorz Sekuła
OSP Kras. Waław Amarowicz	OSP Kras. Krzysztof Mulas
OSP Kras. Piotra Amarowicz	OSP Kras. Piotr Wojciech Amarowicz
OSP Kras. Rafał Krzywiński	OSP Kras. Krzysztof Pańczyszyn
OSP Kras. Marcin Zwoliński	OSP Kras. Marcin Zapoloch
OSP Kras. Tomasz Katan	OSP Kras. Mariusz Amarowicz
OSP Kras. Łukasz Oleksów	OSP Kras. Mariusz Potaczek
OSP Kras. Mateusz Sawicki	OSP Kras. Piotr Grochoła
OSP Kras. Szymon Rostecki	OSP Kras. Dawid Dziuban
OSP Kras. Rafał Kurasz	OSP Kras. Mateusz Sus
Naczelnik OSP Kras. Jerzy Pisarski	Przew. Kom Rew. OSP Kras. Piotr Kazienko
Prezes OSP Kras. Witold Kazienko	

Uroczystość zakończyły okolicznościowe przemówienia, po czym prowadzący imprezę podziękował wszystkim za przybycie, a gości zaprosił na poczęstunek do "Restauracji Zamkowej" w krasiczyńskim zamku, gdzie wydany został uroczysty obiad, po którym przy dźwiękach muzyki bawiono się do późnych godzin wieczornych.

Historia

Ochotniczej Straży Pożarnej w Krasieczynie

W roku 2006 krasiczyńska OSP obchodziła bardzo uroczyście 130 lecie swego istnienia. Powstała tu, gdzie teraz zgromadziliśmy się dla uczczenia 130-lecia istnienia Naszej Jednostki. Pożar jaki tu miał miejsce w 1852 roku oraz założenie browaru krasiczyńskiego w latach 1854 – 1855 spowodowały potrzebę założenia straży ogniowej, która znalazła swoje miejsce przy browarze krasiczyńskim, dla ochrony dóbr Księcia Sapiehy.

W latach 1872 i 1875 odbywały się zjazdy Straży Pożarnych w Galicji. Pod wpływem tych wydarzeń w 1876 roku książę Adam Sapieha prze-mienia straż ogniową browarną w Ochotniczą Straż Pożarną w Krasieczynie. Liczyła wtedy 15 czynnych członków. Pierwszym Prezesem został Książę Adam Sapieha, a naczelnikiem Michał Ryż, zarządca browaru.

W latach następnych tradycje strażackie podtrzymywali książęta Leon i Jan Sapieha, którzy byli naczelnikami Straży krasiczyńskiej. W 1883 r. odbył się II Walny Zjazd Związku Ochotniczych Straży Pożarnych Królestwa Galicji i Lodomerii z Wielkim Księstwem Krakowskim gdzie wybrano Naczelnikiem księcia Adama Sapiehę potwierdzając jego zaangażowanie dla rozwoju pożarnictwa.

W 1909 roku Straż krasiczyńska zostaje wyposażona w konny wóz strażacki z którego do chwili obecnej przetrwała tylko ręczna pompa. W latach 30-tych XX wieku zamknięto browar krasiczyński, a straż przeprowadziła się do drewnianego budynku nieopodal obecnej

remizy. W 1940 roku mieszkańcy Krasieczyna zostali wysiedleni, a cały dobytek strażacki został rozkradziony.

Dopiero na przełomie lat 1948 i 1949 OSP Krasieczyn wznawia swoją działalność. W 1957 roku otrzymuje pierwszy samochód bojowy amerykańskiego DODZA popularnie zwanego „doczką”. Następnie w 1973 r. strażacy krasieczniacy otrzymują prawdziwy strażacki wóz bojowy star 26 GBAM. Dla rozwijającej się jednostki celem nadrzędnym stało się wybudowanie nowej remizy. Z inicjatywy strażaków w 1982 r. rozpoczęto budowę, która została przyjęta i sfinalizowana przez Urząd Gminy Krasieczyn.

W 1987 r. oddano remizę do użytku otrzymując jednocześnie samochód Żuk GLM. W następnym roku 1988 OSP Krasieczyn przekazała samochód Star do Nizin, a otrzymała nowego Star 266 GBM, który do chwili obecnej jest użytkowany. W 1991 r. nasza jednostka otrzymała od społeczności Gminy Krasieczyn nowy sztandar. W 1995 r. jako jedna z pierwszych jednostek OSP z powiatu przemyskiego zostaje włączona do Krajowego Systemu Ratowniczo – Gaśniczego. W 1999 r. OSP Krasieczyn za swoją służbę dla społeczeństwa została odznaczona złotym krzyżem zasługi dla pożarnictwa.

W 2002 r. pozyskujemy z Policji samochód Tarpan Honker, a w 2004 - łódź strumieniową. Oba pojazdy zostają wyremontowane przez druhową naszej jednostki i dziś zostaną po-święcone.

Przez wszystkie lata istnienia OSP Krasieczyn druhowie i osoby wspierające naszą Jednostkę odznaczyły się wielkim zaangażowaniem na rzecz rozwoju OSP Krasieczyn. Co przekłada się na to, że od wielu lat nasza jednostka uczestniczyła w wielu akcjach ratowniczo – gaśniczych np: w ratowaniu ludzi mienia w powodziach: 1997, 1999, 2001- Gorzyce, w pożarach 2002 w Medyce, 2003 – hotelu w Przemyśle. Ponadto braliśmy udział w licznych akcjach ratowniczych ofiar wypadków samochodowych. Średnio wyjeżdżaliśmy do akcji co piąty dzień.

W sporcie pożarniczym nasza jednostka odnotowała również sukcesy zajmując w Powiatowych Zawodach w Sporcie Pożarniczym 2 miejsce w Dubiecku w 2003 r. i 3 miejsce w Birczy w 2005 r.

Najstarszym członkiem naszej jednostki jest druh Aleksander Staroniewicz, który 16 listopada tego roku będzie obchodził 100 lecie swoich urodzin i 84 lat działalności w OSP Krasieczyn. W chwili obecnej nasza jednostka liczy 41 członków czynnych i 4 kandydatów. Życzymy wszystkim druhom naszej jednostki, aby druh Staroniewicz był dla nich przykładem i aby tak jak on służyli swojej jednostce przez wiele, wiele lat.

Oprac. Witold Kazienko

Poświęcenie Krzyża nad Sanem



W niedzielę 24 września 2006 r. odbyła się w Krasieczynie Uroczystość Poświęcenia Krzyża upamiętniającego Poległych i Pomordowanych na granicy, jaka w wyniku Paktu Ribbentrop-Mołotow podzieliła Polskę, a od połowy września 1939 do sierpnia 1940 r. przebiegała środkiem Parafii, wzdłuż Sanu. Przez długie dziesiątki lat władze komunistycznej Polski fałszowały historię, starając się ukryć fakt, że II wojna światowa rozpoczęła się w rzeczywistości od Paktu Ribbentrop-Mołotow, jaki w sierpniu 1939 r., pod dyktando Stalina, zawarli dwaj późniejsi agresorzy. Układ ten, a zwłaszcza tajny załącznik do niego, poza rozbiorem terytorialnym Polski miał na celu

likwidację polskiej inteligencji. Zobowiązywał on też ZSRR do zbrojnego wystąpienia przeciw Polsce, gdy III Rzesza wypowie jej wojnę.

Stało się to 17 września 1939 r. Ponieważ Rosja jako oficjalny pretekst agresji podała rozpad państwa polskiego i konieczność ochrony mienia i życia zamieszkujących wschodnie tereny polskie Ukraińców i Białorusinów oraz uwalnianiu ludu polskiego od wojny, wycofała się później z części zajętych terenów na naszym terenie m.in. z Krasieczyna, a także z Lubelszczyzny, otrzymując od Hitlera

jako rekompensatę tereny Litwy. Ten "Układ o przyjaźni i granicy" zawarty w Moskwie 28 września 1939. historycy nazywają drugim układem Ribbentrop-Mołotow. Niedługo potem 10 października Wileńszczyzna została przekazana Litwie w zamian za zgodę na stacjonowanie garnizonów radzieckich na jej terytorium. Dzięki takiej wymianie przyszła "granica" między obu państwami przesuwiała się na wschód - na linię Bugu, a państwa bałtyckie w całości dostawały się pod władzę ZSRR.

W wyniku agresji na Polskę powstała nowa granica, która przetrwała zaledwie 21 miesięcy, choć miała istnieć - jak zapowiadała niemiecka propaganda - przez 1000 lat. Podzieliła ona rodziny, gospodarstwa, miejscowości, zerwała tradycyjne więzi, przecięła tradycyjne szlaki komunikacyjne. Z tych powodów, a także z powodu spodziewanych i aktualnych represji granica była często nielegalnie przekraczana, wiele osób uciekało i to w obie strony, narażając się na śmierć i zsyłki. W samym Krasieczynie śmierć na granicy, i z powodu granicy, poniosło przynajmniej kilkadziesiąt osób, chociaż liczba ta jest dziś niemożliwa do ustalenia.

Zmiana granicy spowodowała zmianę koncepcji obrony terytorium, Powstała tzw. „Linia Mołotowa”, pas żelbetowych i pancernych fortyfikacji stałych i polowych od Bałtyku na Litwie, aż za Przemyśl, oparta na Rejonach Umocnionych obejmujących front o długości 80 do 100 km. Takich RU było 13. Budowa linii spowodowała wysiedlenia tysięcy ludzi, innych zmuszanie do niewolniczej pracy, liczne ofiary. Przed kilku laty postanowiliśmy upamiętnić te tysiące poległych i pomordowanych. Znalazło się wielu chętnych, gotowych przygotować stosowną uroczystość.

Włączyli się policjanci z Krasieczyna: Bogdan Sawicki i Henryk Lechociński, którzy ufundowali okazały dębowy krzyż, wykonany przez Piotra Kochanowicza z Tarnawiec, członkowie Ochotniczej Straży Pożarnej z Krasieczyna Jerzy Pisarski i Witold Kazienko. Zebrali oni po lasach kamienie, złom z wyminowanych bunkrów linii Mołotowa, z których - po uzyskaniu stosownych zezwoleń od „Rady

Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa” – zostanie wymurowany wysoki cokół i umieszczona na nim gotowa już tablica z napisem.

Parafia koordynowała prace i ufundowała okazałego orła – symbol odrodzonej Rzeczypospolitej, który wspiera się na jednym



kamieniu. Gmina przygotowała i przekazała teren, finansowała prace, w które bardzo angażował się Henryk Majchrowicz. W przygotowanie uroczystości włączyła się młodzież miejscowego Gimnazjum i Szkoły Podstawowej, przygotowując akademię patriotyczną oraz Dyrekcja Zamku udostępniając dziedziniec zamkowy na uroczystości, koncert i organizując na nim biesiadę.

Przebieg uroczystości

24 września 2006r. o g. 15,00 przy Krzyżu w pobliżu Sanu zgromadzili się liczni mieszkańcy.



Przybyło ok. 500 osób. Po hejnale orkiestry Wójt Gminy p. Jerzy Kowalski jako gospodarz przywitał gości, a orkiestra odegrała hymn państwowy



Od lewej ks. M Rusin, ks. J. Mokraus ks. Bogdan Kruba i ks. Jan Tarapacki

Aktu poświęcenia dokonał w obrządku rzymskokatolickim ks. prałat Mieczysław Rusin archiprezbiter przemyski i jednocześnie ka-

pelan Straży Pożarnej, oraz ks. prałat Kazimierz Pańczyszyn rodak. W obrzędzie grekokatolickim ks. Bogdan Kruba z Parafii archikatedralnej w Przemyśle i ks. dziekan Jan Tarapacki kapelan wojskowy. Z kolei Komendant posterunku policji w Krasieczynie p. Bogdan Sawicki poprosił duchownych 4 Kościołów o poświęcenie Krzyża. W rycie prawosławnym ks. por. Jerzy Mokraus kapelan i proboszcz z Przemyśla, delegat ks. abp Sawy z Sanoka, a na koniec w rycie ewangelickim ks. podpułkownik Zbigniew Kowalczyk, dziekan Wojsk Lądowych wyznania ewangelickiego, który przybył z małżonką Aleksandrą, znanym teologiem luteranskim. Zakończył on obrzęd pięknym kazaniem.



Po pieśni „Boże, coś Polskę” miejscowy proboszcz podziękował duchownym za poświęcenie Krzyża, rozpościerające go symbolicznie ramiona nad ludźmi wielu narodowości, przynależnych do wielu wyznań i religii, a młodzież miejscowego Gimnazjum im Kard. A. S. Sapiehy i Szkoły Podstawowej zapaliła znicze i

ustawiły kwiaty doniczkowe, po czym wszyscy, prowadzeni marszowymi dźwiękami orkiestry udali się na Zamek.



Tutaj powitała Gości p. dyrektor Stanisława Majewska i zleciła prowadzenie uroczystości p. Markowi Susowi. Słowo wstępne wygłosił Starosta Powiatu p. Stanisław Bajda, a po nim wystąpiła ze swoim programem artystycznym, przygotowanym przez p. Jolanta Żółkiewicz-Pantułę i Jana Pikulę, młodzież z Gimnazjum im. Stefana Kard. Sapiehy i Szkoły Podstawowej z Krasieczyna. Dr Stanisław Stepień Dyrektor Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyślu zapoznał, zebranych, z wydarzeniami roku 1939, do niedawna skrzętnie skrywanymi przed Polakami.



Hołd Pomordowanym i Poległym złożył w wiązance pieśni patriotycznych solista Opery Warszawskiej Rafał Bartmiński. Na organach elektronicznych towarzyszył mu Franciszek Łamasz akompaniator chóru Magnificat oraz profesor z War-

szawy artystyczny opiekun Rafała.

W nieoficjalnej części uczestnicy słuchając występu orkiestry strażackiej z Sośnicy, przy kawie, herbacie, napojach, słodkich wypiekach przygotowanych przez żony strażaków i kielbaskach z grilla - przygotowanych przez Dyрекcję Zamku, mieli okazję do wspomnień i refleksji.



Uczestnicy uroczystości na dziedzińcu zamkowym





Przebieg granicy między rzeszą Niemiecką a ZSRR
Pokrywała się ona z „linią Mołotowa”

Spis treści:

Od autora i wydawcy	3
Krasiczyn jaki trwa w mojej pamięci	5
Miejskie zwyczaje i zajęcia	11
Krasiczyn pod zaborem austriackim	16
Wojenne losy ludzi (I Wojna Światowa)	17
Gmina, jej władze i organizacje po I wojnie światowej	21
Wybuch II Wojny Światowej	29
Warunki życia, przekraczanie granicy, wywózki na zesłanie	33
Miejsce zesłania Niewirków, Wola Małyńska	39
Życie na zesłaniu pod podwójną okupacją	42
Pod okupacją sowiecką w Krasiczynie ``	48
Decyzja powrotu z zesłania	53
Sytuacja krasiczyńskich Żydów getcie	56
Powrót do Ojczyzny Wreszcie w domu lata okupacji	58
Nauka w czasie okupacji	65
Okupacyjna administracja i codzienność	68
Powroty z wygnania	71
Pomoc obcym ludziom	73
Stanisław Kurpiel jego rodzina i pomoc Żydom	76
Bataliony Chłopskie wyrosłe z ruchu ludowego	82
Nadszedł rok 1944	89
Wspomnienia Drogi do Polski mieszkańców Krasiczyna	
Stanisława Kucharska opowiada	93
Wspomnienia Stanisławy Zybińskiej	95
Wspomnienia Józefa Dorocho	99
Wspomnienia M. Amarowicz i W. Fenika i A. Stelmaszczy	101
Wspomnienie o Wiktorze Kuriańczyku	103
Wojna i ja Wojenne losy Zofii Rodzeń z Tarnawiec	108
Wspomnienia Emilii Koreckiej z Olszan	111
130-lecie OSP w Krasiczynie	114
Historia OSP w Krasiczynie	118
Poświęcenie Krzyża Poległych nad Sanem	121
Przebieg granicy między Rzeszą Niemiecką a ZSRR	128

